

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

93

HERBERT
LIBERA
SOMMER
MYSZKOWSKI
KĘDZIERSKI
GŁOWIŃSKI
CHWIN

REDAKCJA:

Krzysztof Myszkowski – redaktor naczelny

Barbara Laskowska – biuro redakcji

ZESPÓŁ:

Adam Bednarek, Jan Błoński (1931–2009), Stefan Chwin, Aleksander Fiut,
Michał Głowiński, Marek Kędzierski, Julian Kornhauser, Leszek Szaruga

ZBIGNIEW HERBERT	4	O pisaniu • Kontemplacja
	5	[...] (<i>Palec masztu wskazuje gwiazdę.</i>)
		Trzy stany materii
	7	*** (<i>moje biedne królestwo jeszcze ciebie bronię...</i>)
	8	*** (<i>Przeczuwał tylko Nie zawsze i niejasno...</i>)
ANTONI LIBERA	11	Kosmos w Dolinie Pyszej (4)
EMILY DICKINSON	26	Wiersze
R.S. THOMAS	31	HM
	32	Astronaucci • Na marginesie
	33	Przy stole
	34	Drogowskaz
	35	Przyjazd
PIOTR SOMMER	37	Środki do pielęgnacji chmur
JOACHIM SARTORIUS	48	Za Biblioteką Aleksandryjską
	49	Aleksandria • Aleksandria, bulwar Ramleh, 1903
	51	Wstępna rozmowa o fragmencie
	52	Kawafis zaprzecza Seneca
JOSÉ ÁNGEL LEYVA	55	Emigranci
	56	Acrotiri • Poświęcenie
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	59	Thorn (6)
BOGUSŁAW KIERC	72	Notesprospera
PIOTR SZEWC	75	Czas czuwał • W przytulisku
	76	Torba pani Szmigi • Światelko • Boże drzewko
MAREK KĘDZIERSKI	77	Warszawa – Chiny (4)
ADRIANA SZYMAŃSKA	96	Postulat ostateczny
	97	Ostatnie życzenie
	98	Słuchając Chopina
EWA SONNENBERG	99	Brama
	100	*** (<i>Skladał dom jak meble z Ikea</i>)
MICHAŁ GŁOWIŃSKI	101	Historia jako zmyślenie
		(wokół Żeglarza Jerzego Szaniawskiego)
KATARZYNA BOLEC	108	Wielka noc
	109	Przypląwy
	110	Obrazki z wystawy

ALEKSANDRA FRANCUZ	111	roboty malarskie • nawiasem mówię
	112	międzywęźła • w ilu dnach
JUREK HIRSCHBERG w rozmowie z RENATĄ GORCZYŃSKĄ	113	<i>Traktaty Miłosza</i> po szwedzku
PIOTR PIASZCZYŃSKI	123	Do wyobraźni
	124	*** (<i>Chwile...</i>) • F.H. – dwa haiku
MICHAŁ CZORYCKI	125	Nad oceanem
	126	Wariacje na temat ojczystej geografii

VARIA

JULIA HARTWIG	127	Z notatnika
	128	Kartka z Pensylwanii
STEFAN CHWIN	129	Dziennik 2017
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	139	Sam
	142	Promień i cień
LESZEK SZARUGA	144	Nowa Polska (9)
PIOTR SZEWC	149	Z powodu i bez powodu (45)
ARTUR SZŁOSAREK	152	Fragmenty (9)

RECENZJE

JERZY MADEJSKI	158	„Nie, nic się nie kończy”
ANNA NASIŁOWSKA	162	Księga Szarugi
PIOTR SZEWC	164	Dwie natury
NOTY O KSIĄŻKACH	167	Jacek Gutorow, Krzysztof Lisowski, Rafał Moczgodan, Krzysztof Myszkowski, Krystyna Rodowska, Agnieszka Salska, Leszek Szaruga, Artur Szłosarek, Konrad Zych
NOTY O AUTORACH	197	
„KWARTALNIK ARTYSTYCZNY”		
W 2016 ROKU	200	
NOWE KSIĄŻKI	206	

bit znow

Przeznawiał tylko karyzawie i nie jono
~~nie ma w wignach i w innych i w innych~~
do tej nie potrzeba byś zlewać
zmenit nie zas i niejako z prubuję karyzawie
bit i zmił / istosze sie chwosi

dowody pentecistów: ^{szkoda} znowy par i moze
miłostwie . kowlo iasy, zatom wadera
karyzawie dla nieca karyzawie w postle w pialach

w wielki opuznem miście w serwicie
włoch losu o trzymant w zloszy

przeznawiał tylko że jest i że jest ^{pojed} ~~wyfolke~~ ^{pojed}
[pojed] ocenam melistku i hebem ^{z sztyg wemz opio} ~~opio~~

ZBIGNIEW HERBERT

O pisaniu

1

Po niewybuchłych gładach ciszy
po stopniach tercyn jak po schodach
i po drabinie bardzo chwiejnej
którą na czole sen ustawia –

po bluszczach kładkach lunatycznych
dachach bez ścian i fundamentów
nad wodą blasków i zamętów

ja łowca tonów pulsów ziemi
uchodzę coraz wyżej głębiej
za ręką nitką echem rzeczy

[Tu rękopis się urywa]

Kontemplacja

Nareszcie chwila ciszy. Nareszcie nikt nie podgląda. Mogę podnieść oczy (spiskowałem o tym dawno) na mały graniasty i pospolicie brązowy przedmiot. Mogę zadumać się nad jego egzystencją. Im mocniej patrzę, tym bardziej przedmiot podchodzi do oczu i przypomina mi, że jest moim bratem. Nic nie wiem o jego zmysłach. Nie mogę go obdarzyć życiem. Ale potrafię wymyślić mu duszę. To niewiele, to niewiele.

[...]

Palec masztu wskazuje gwiazdę.

Być poetą rzeczy nie metafor to jest pokazywać nie miazgę zmieszanych obrazów i snów ale przedmiot, mówić przedmiotami, to jest językiem zmien-
nym i realnym.

Miłość jest cierpliwa.

Pamiętaj: kiedy już nie będzie nikogo komu mógłbyś wierny bądź wierny
sobie. Intelktualnie wybierać można tylko wszystko lub nic: Boga lub skoń-
czoność. W życiu potrze[ba]

[Tu rękopis się urywa]

Trzy stany materii

współczesna fizyka
zna już pięć stanów materii
ale Pan Cogito – tradycjonalista
doświadczył tylko trzech
klasycznych

najpiękniejszy jest
stan stały
być jak kamień
ale to zdarza się Panu Cogito
tylko w momentach
ostatecznych

kiedy mówi nie
i waga jego losu
zatrzymuje się na chwilę

||

niestety najczęściej
obrzydliwy stan ciekły
jest udziałem Pana Cogito

wymyka się
wrogom i przyjaciołom
oplata się wokół rzeczy
jak błuszcz
albo jak strumień

a przecież pragnie dociec
do istoty rzeczy
przez zasłonę pozorów
do jądra tajemnicy

stan lotny
niesłuchanie rzadki
kiedy dusza szybuje

[Tu rękopis się urywa]

moje biedne królestwo jeszcze ciebie bronię
naprawiam mur niewysoki który szturmują najeźdźca
wznoszę szańce z ziemi chociaż nie mam armii

nikt tutaj nie zagląda prócz tych którzy mają mnie zabić
a jednak staram się nawet bardzo żeby było ładnie
proste ścieżki szarym wysypane żwirem zielona altana

a także dąb i sosna i miedziane buki
kwiaty leśne i polne owady i ptaki
zaskroniec sowa bardzo śmieszny jeź

dawno mógłbym się poddać albo uciec nocą
a jednak ciebie bronię sam nie wiem dlaczego
jak król żaloszny na starej monecie

moje biedne królestwo królestwo zwątpienia

10 IX [1979?]

Przeczuwał tylko Nie zawsze i niejasno
w różnych miejscach i czasach
do tego niepotrzebne były dekoracje
Zmieniał się czas i miejsce a pulsujący kryształ
był i zanikał był znowu iskrzyła się ciemność

dowody panteistów: szczyty gór i morze
nieustanne, krople rosy, atomy wodoru
były zbyt cenne dla niego który na łóżku szpitalnym

w wielkim opuszczonym mieście w szorstkich
rękach losu otrzymywał rozkazy

Przeczuwał tylko że jest i że jest wysoko ponad
oceanem niebieskim i niebem ognistym

[Tu rękopis się urywa]

Z rękopisu odczytał Ryszard Krynicki.
Copyright by Katarzyna Herbert i Halina Herbert-Żebrowska.

Nota

O pisaniu

Zachowały się jedynie dwa, zapisane ołówkiem, bruliony tego nieukończonego utworu: brulion I w Notatniku 42 na karcie 5 *verso* oraz brulion II w tym samym notatniku na karcie 9 *recto*. Na przedniej okładce notatnika wpisana jest ręką Zbigniewa Herberta data: „1952”.

Brulion I, zatytułowany *O pisaniu* i opatrzony cyfrą 1, znajduje się na stronie, na której u góry wpisany jest tytuł *Wiersz o trudnych pojęciach* oraz trzy początkowe wersy utworu zatytułowanego później *Drży i faluje niepokojem* i włączonego do tomu *Struna światła* (1956). Natomiast na przeciwległej, 6 karcie notatnika znajduje się brulion pierwszej wersji tegoż utworu, niewiele się zresztą różniącej od wersji ostatecznej, z tym, że niemającej żadnego tytułu. Możliwe jest zatem, że oba pisane czternastozgłoskowcem utwory pomyślane były jako części *Wiersza o trudnych pojęciach*.

Brulion I jest dłuższy o sześć (jeżeli nie liczyć przekreślonych) wersów od brulionu II, mającego charakter czystopisu; tak więc również swoją budową stroficzną oba te utwory zdają się być blisko związane.

Pod brulionem I wiersza *O pisaniu* widać niewyraźnie zapisaną datę „16 IX [?] [1952]”, a pod brulionem wiersza *** (*drży i faluje niepokojem...*) początek tej daty: „16 [IX 1952]”; pełna data: „16 IX 1952” znajduje się u dołu brulionu II wiersza *** (*drży i faluje niepokojem...*), zapisanego (również ołówkiem, z drobnymi dopiskami atramentem) w tym samym Notatniku 42 na karcie 6 *verso*. Nad trzema gwiazdkami, oznaczającymi wiersz bez tytułu, dopisany jest tu trudno czytelny, potencjalny tytuł: *O zachwycie* [?].

Kontemplacja

Jedyny brulion tego wiersza prozą z cyklu *Bajki* znajduje się w Notatniku 46 na karcie 13 *verso*. Na tej samej stronie miał być prawdopodobnie wpisany inny wiersz z tego cyklu: *Epizod w bibliotece*, o czym może świadczyć wpisany (urwany w połowie) tytuł oraz pozostawione miejsce.

Notatnik 46 (szesnastokartkowy zeszytek do słówek) opisany jest na przedniej okładce ręką Zbigniewa Herberta datą „1953”. Jedyny datowany w nim wiersz to dedykowany Jerzemu Turowiczowi *Wawel*, napisany 29 marca 1953 roku; *Kontemplacja* wpisana jest kilka stron dalej.

[...] (*Palec masztu wskazuje gwiazdę.*)

Strona z notatkami, zapisanymi w Notatniku 50 (marzec 1954 roku) na karcie 9 verso bezpośrednio po brulionie nieukończonego wiersza *List do Jerzego w potrzebie* (karty 8 verso – 9 recto); tytułowy Jerzy to najpewniej Jerzy Turowicz.

W Notatniku 50 znajdują się między innymi bruliony utworów napisanych wiosną 1954 roku: *Dedal i Ikar* (14–15 marca), *Prowincjonalna niedziela* (15 marca) oraz *Odpowiedź na nieprzyzwoitą propozycję* (ostateczny tytuł w tomie *Hermes, pies i gwiazda: Odpowiedź*), podpisana datą „17 III [1]954”, z dopiskiem: „po rozmowie z Nikiem” (zapewne Rostworowskim, działaczem PAX-u).

Trzy stany materii

Jedyny brulion tego nieukończonego wiersza znajduje się w Notatniku 88 na stronach 15–16, pośród innych utworów z cyklu *Pan Cogito*, opublikowanych (i nieopublikowanych) w tomie *Raport z obłożonego Miasta i inne wiersze* (1983).

W Notatniku 88 poprzedza go brulion wiersza *Złe przeczucia eschatologiczne P. C* (ostateczny tytuł: *Przechucia eschatologiczne Pana Cogito*), natomiast po nim następuje brulion wiersza *Damastes z przydomkiem Prokrustes mówi* oraz dwa bruliony niedokończonego wiersza bez tytułu o trzech słynnych snach Kartezjusza w nocy z niedzieli na poniedziałek 10/11 listopada 1919 roku.

*** (*moje biedne królestwo...*)

Jedyny brulion w Notatniku 109 na karcie 12 verso.

Notatnik 109 zawiera notatki do utworów pisanych pod koniec roku 1979 i na początku roku 1980 (między innymi do *Arachne* i *Antajosa z Króla mrówek* oraz wiersza *Do Michaela Krügera* (tutaj jeszcze pod tytułem *Do przyjaciół Niemców*); ponieważ wiersz *** (*moje biedne królestwo...*) podpisany jest niepełną datą: „17 IX”, można przypuszczać, iż powstał 17 września 1979 roku.

*** (*Przeczuwał tylko...*)

Jedyny brulion w Notatniku 114 na karcie 4 recto.

Notatnik 114 (osiemnastokartkowy zeszyt do słówek, pod koniec niezapisany) opisany jest ręką Zbigniewa Herberta datą: „V [19]84”.

Pierwsze trzy linijki wiersza prawie całkowicie skreślone; pomiędzy wersami dziesiątym a jedenastym i dwunastym (które wyraźnie pełnią rolę puenty) pozostawione miejsce na nienapisane strofy. W ostatnim wersie, ponad słowami: „i niebem ognistym” dopisane wariantowe sformułowanie: „a niebem ognistym”.

Ryszard Krynicki

ANTONI LIBERA

Kosmos w Dolinie Pysznej (4)*

Jest ONR-u spadkobiercą Partia

Wracalem do Warszawy niezwykle ozywiony. Jakbym cos odkryl lub stworzil, choc byla to zaledwie interpretacja powiesci. Owszem, moze i celna, lecz przeciez nie bezwzględna. A jednak to odczytanie jawilo sie jako cos wiecej: jako wytlumaczenie samej rzeczywistosci, pojecie natury swiata i ludzkiego umyslu.

W glowie roily mi sie pomysly roznych prac – teoretycznych, krytycznych – w ktorych bym wydobywal ukryta mysl Gombrowicza, a dalej, juz po swojemu, rozwijal ja i poglębial. I w owym podnieceniu nie zważalem zupełnie na sens tych rewelacji. Ze sa one złowrogie, „bezbozne”, nihilistyczne. A wiec ze jako ich rzecznik bylbym heroldem absurdu. W ślad za autorem *Kosmosu* ogłaszałbym bądź co bądź, ze światem rządzi przypadek, nieodgadniony traf, a człowiek wobec niego jest całkowicie bezradny i nie ma najmniejszych szans, aby cokolwiek pojąć, nie mówiąc o wprowadzeniu jakiegokolwiek ładu. I nie raziła mnie wcale sprzeczność między tą prawdą a niemy, lecz ewidentnym zadowoleniem z siebie jako jej akuszerem. A może nawet i dumą. Ze patrzę na świat bez złudzeń, bez szczypty znieczulenia.

Liczyłem, że tym wszystkim podzielę się wkrótce z ojcem. Ciekawy byłem, co powie o mojej egzegezie i wyciągniętych wnioskach. Nie spodziewałem się wprawdzie z jego strony uznania ani tym bardziej pochwał. Przewidywałem raczej takie lub inne obiekcje i w ogóle sceptycyzm, zresztą nie tylko względem m o j e g o *voilà*, lecz głównie jej autora. Niemniej uznając swe racje za dostatecznie mocne, nie bałem się dyskusji, wręcz jej oczekiwałem.

Ale do żadnej dyskusji, a nawet krótkiej rozmowy na ten temat nie doszło. Powodem był niepokój, jaki zastałem w domu. Matka, a zwłaszcza ojciec, byli jacyś nieswoi. Nie rozmawiali jak zwykle, mówili jakby szyfrem – skrótowo, telegraficznie. Wymieniali ze sobą jakieś niejasne zdania, a raczej strzępy zdań,

* Kolejny fragment większej całości, której poprzednie ukazały się w „Kwartalniku Artystycznym” w numerach 88, 90 i 91.

albo szeptali po kątach. Ojciec częściej niż zwykle słuchał Wolnej Europy. Codziennie wieczorami dochodził mnie z jego pokoju dźwięk zagłuszanych audycji. Moje nieśmiałe próby wysondowania czegoś nie przynosiły skutku. Zbywano je milczeniem albo wzruszeniem ramion. A na otwarte pytanie, co się właściwie dzieje, odpowiadano niechętnie, zniecierpliwionym tonem: „A niby co ma się dziać? To samo. To samo, co zawsze”. Brzmiało to jednak nieszczerze.

W końcu stało się jasne, co kryje się za tym wszystkim.

Właściwie powinienem zorientować się szybciej, bo sprawa była nienowa. Ciągnęła się już od dobrych sześciu–siedmiu tygodni, od pierwszej połowy czerwca, czyli jeszcze od czasu, nim ojciec wyjechał do Francji. Lecz byłem w tym okresie tak skupiony na sobie – na egzaminach wstępnych i przyjęciu na studia, a potem na wakacjach i lekturze *Kosmosu* – że mało mnie obchodziło, co dzieje się dookoła, zarówno w świecie, jak w kraju. A działy się rzeczy doniosłe, o wielorakich następstwach. Tyle że nie od razu było to rozumiane. Aby zdać sobie sprawę, co się właściwie stało i jakie to może mieć skutki, potrzeba było czasu. Gdy wróciłem znad morza, mniej więcej pod koniec lipca, owa świadomość znaczenia toczącej się historii była już w pełni zbudzona.

Chodzi, rzecz jasna, o to, co zaszło na Bliskim Wschodzie. O wojnę sześciodniową, w wyniku której Izrael zdobył półwysep Synaj, zachodni brzeg Jordanu ze wschodnią Jerozolimą i część terytorium Syrii, opanowując w ten sposób tereny znacznie większe od własnego obszaru. Ta militarna akcja, będąca odpowiedzią na skrajnie agresywną politykę Egiptu i innych państw arabskich, wspieranych od lat przez Moskwę, wywołała na świecie różnorakie reakcje i sprzeczne komentarze. Te kontrowersje jednak nie dziwiły specjalnie. Bądź co bądź niespodzianie przesunięto granice i zmienił się układ sił w tym strategicznym regionie. A to dla potęg światowych było ogromnym wyzwaniem. Bo jedne traciły tam wpływy i niemałe korzyści, a drugie, by je zachować i pogodzić tę grę z deklarowaną wolą dialogu i kompromisu, a zwłaszcza z umowami międzynarodowymi, musiały się nieco natrudzić w tłumaczeniu swych racji i zręcznie lawirować. Bo owe ideały wzbraniały użycia siły w rozstrzyganiu konfliktów, a także nakazywały stosować się do werdyktów komisji ONZ. Tymczasem w danym wypadku ignorowano je. Izrael zmienił porządek metodą militarną i faktów dokonanych, i nie chciał ustąpić za darmo.

Oczywiście miał rację. Słuszność pod każdym względem była po jego stronie. Dla Zachodu jednakże, który formalnie mu sprzyjał, cała ta operacja była też pewnym problemem, wzbudzając wewnętrzne spory. Ponieważ

strategicznie musiał się opowiedzieć po stronie Izraela, a takie stanowisko klóciło się nie tylko z opinią ONZ, ale również z kodeksem tak zwanych obrońców pokoju, którzy w takich wypadkach zawsze wszczynali alarm. Jak wytłumaczyć takim konieczność akcji zbrojnej, a tym bardziej aneksję? Bo ostatecznie tę pierwszą zawsze można przedstawić jako samoobronę. W historii nieraz bywało, że jakieś państwo nękanie przez agresywnych sąsiadów broniło się, przechodząc do szybkiej kontrofensywy. Lecz potem, gdy się powiodła i odepchnięto wroga, siadano na ogół do stołu, negocjowano rozejm i warunki pokoju, po czym wojsko wracało na swoje terytorium. Tutaj było inaczej. Mediacje i rokowania nie przynosiły skutku. Wschodnia Jerozolima, a także wzgórze Golan zostały w rękach zwycięzców. Rząd Izraela twierdził, i miał w tym pełną rację, że jest to dla niego jedyna gwarancja bezpieczeństwa.

Od końca drugiej wojny był to właściwie precedens. Inne konflikty zbrojne, do jakich dochodziło od tego czasu na świecie – w Korei, Wietnamie, na Kubie – miały tło ustrojowe i charakter wewnętrzny. Były to w gruncie rzeczy – wzniecane z reguły przez Moskwę – sztuczne wojny domowe. Natomiast rajd Izraela na Egipt, Jordanię i Syrię był autentycznym starciem narodów, religii i kultur. No i, co najważniejsze, zmieniał dość radykalnie mapę tego regionu.

To stąd właśnie owa wrzawa, jaka podniosła się w świecie na wieść o rozgromieniu koalicji arabskiej i konsekwentnej postawie przywódców Izraela. Lecz nawet najostrzejsi krytycy jego działań (związani na ogół z lewicą) musieli się mitygować i uważać na słowa, bo czuli, że ta sprawa ma wyjątkowy charakter, i to z wielu powodów.

Po pierwsze, zwycięskie państwo było ojczyzną narodu, który jak żaden inny w historii naszej ery doświadczył prześladowań i masowych pogromów. W dodatku największy z nich – metodyczna zagłada sześciu milionów ludzi dokonana przez Niemców pod przywództwem Hitlera – miał miejsce dopiero co, 25 lat temu, i było to pamiętane w cywilizacji Zachodu, i stanowiło źródło nieczystego sumienia, zarówno u samych sprawców, jak i u tych, co zbrodni nie zdołali zapobiec.

Po wtóre, państwo to było spełnieniem marzeń i, wydawałoby się, nierealnych nadziei kilkudziesięciu pokoleń wspólnoty żyjącej w diasporze przez dwa tysiące lat, co w perspektywie dziejowej czyniło je fenomenem. Był to, inaczej mówiąc, wypadek bez precedensu. Bo jakież inny naród, wygnany ze swej ziemi, a potem przez setki lat rozproszony po świecie – tułający się, bity, dziesiątkowany przez wrogów – zdołał powrócić do źródeł i wskrzesić ojczyznę przodków? A raczej ją stworzyć od nowa – na pustyni – od podstaw.

I wreszcie państwo to – niezależnie od tego, co kto sądził na temat sprawiedliwości dziejowej i zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy – było jedynym remedium na wypadek nawrotu tak zwanej kwestii żydowskiej, z którą świat, wbrew staraniom i wzniesłym deklaracjom, nie mógł sobie poradzić i ciągle się borykał. Było więc ono wartością nawet dla takich sił, które miały na względzie jedynie profilaktykę, czyli zapobieganie potencjalnym konfliktom, a zwłaszcza niespodziewanym ekscesom antysemickim. Krótko mówiąc, i takie – cyniczne – środowiska stały na stanowisku, że lepiej, aby Izrael istniał i funkcjonował, niż aby był zwalczany, a zwłaszcza by go nie było.

To właśnie z tych wszystkich względów rozmaite obiekcje, jakie się pojawiały w politycznej debacie Wspólnoty Atlantyckiej, pozostawały w cieniu. Jej kurs był prożydowski. Zachód przy wszelkich wahaniach właściwych demokracji wziął stronę Izraela i udzielił mu wsparcia.

Sowieci naturalnie, będąc w konflikcie z Zachodem, poparli świat arabski, i to nie tylko bez wahań i najmniejszych zastrzeżeń, lecz z niesłychaną siłą. Rozpoczęli natychmiast niezwykle agresywną kampanię propagandową wymierzoną w Izrael, którego zwyczajny atak chętnie porównywali do *blitzkriegu* Hitlera. Nim się jeszcze skończyła operacja wojskowa, zwołali w Moskwie naradę komunistycznych przywódców, na której potępili „agresję” Izraela i zażądali od wszystkich podległych im prowincji, by zerwały z tym państwem stosunki dyplomatyczne. Było to niebywałe. W powojennej historii nie zdarzyło się jeszcze, aby Kreml w takiej sprawie aż tak narzucał swą wolę.

Dla Polski ta wytyczna była szczególnie drażliwa. Po pierwsze stała w sprzeczności z proizraelskim kursem, jaki Warszawa obrała jeszcze w latach czterdziestych, głosując w ONZ najpierw za przydzieleniem stronie żydowskiej ziemi na bezwzględną wyłączność, a później, w czterdziestym ósmym, po proklamacji tej strony jako wolnego państwa, uznając je od razu i nawiązując z nim szybko stosunki dyplomatyczne. Po drugie zaś godziła, pośrednio, lecz nieuchronnie, w relacje polsko-żydowskie, które po Holokauście i tak były napięte – pełne pretensji, urazów, nieufności i żalu. Zerwanie stosunków państwowych było aktem wrogości i kojarzyło się wielu z wypowiedzeniem wojny.

Niektórych dziwiło więc, że Gomułka stojący na czele partii i kraju, polityk świadomy przecież tych wszystkich niekorzystnych czy wręcz fatalnych następstw, a jednocześnie przywódca, który umiał w przeszłości postawić się Sowietom, tym razem tak im uległ. Zwłaszcza że nie byłby sam, gdyby oparł się presji, bo miałby za sojusznika niepokorną Rumunię, która ze względu na jakiś narodowy interes zachowała odrębność i nie spełniła żądania.

Dla ludzi jednak, którzy nie mieli żadnych złudzeń, co to jest i jak działa demokracja ludowa, i w jaki sposób Kreml sprawuje nad nią kontrolę, nie było w tym nic dziwnego. Bo doskonale wiedzieli, czym kończy się samowola, a zwłaszcza nieposłuszeństwo przywódcy „bratniego kraju”, szczególnie gdy chodzi o sprawy o kluczowym znaczeniu. Otóż kończy się zwykle „spontaniczną reakcją zdrowych sił” własnej partii, które „w trosce o dobro i bezpieczeństwo narodu” poddają krytyce błędy pierwszego sekretarza i odbierają mu władzę. Czemuż by więc Gomułka miał ryzykować upadek?

Czy jednak rzeczywiście aż tyle by ryzykował? Czy nie miał dostatecznie mocnej pozycji w partii, by w razie czego stłumić wzniecony sztucznie bunt? A zwłaszcza czy istniały w niej odpowiednie siły (ów wiecznie „zdrowy rdzeń”), które nawet przy pełnym i jawnym poparciu Moskwy mogłyby go obalić?

Otóż nie tylko istniały, lecz już od dobrych trzech lat – party, by przejąć władzę. Była to owa frakcja, zwana nieoficjalnie plebejsko-partyzancką, o której wspominałem, szkicując tło polityczne chybotliwej pozycji twórczości Gombrowicza. Skupiała ona ludzi wyznających rzekomo wartości narodowe i etos kombatancki, i głosiła, że dąży do przywrócenia Polsce większej niezależności. Oczywiście w zakresie, w jakim to było możliwe w panującym ustroju i pod kontrolą Moskwy. Miała to być jednakże zupełnie inna jakość. „Prawdziwie” polska, „rodzima”.

Tego rodzaju dążenia, a w każdym razie hasła były w upokorzonym, spodlonym społeczeństwie atrakcyjne, chwytliwe. Tyle że to orędzie niewiele było warte. Poza funkcję przynęty nie istniało nic więcej. Jedynym prawdziwym celem było przejęcie władzy i związane z nią dobra.

Zwolennicy Moczała, bo to on stał na czele tej „narodowej” frakcji, to byli ludzie w większości zupełnie bezideowi i słabo wykształceni, za to niezwykle pazerni na wszelkie możliwe korzyści. Nie wywodzili się wcale, jak zwykli to podkreślać, ze ściśle pojętego proletariatu i chłopstwa, ale z nizin społecznych – z lumpenproletariatu. Tak więc ów „zdrowy trzon” partii, o którym zawsze w kryzysie trąbiła propaganda, składał się w gruncie rzeczy z pospolitego motłochu.

A znalazł się on w szeregach tej „awangardy postępu” bynajmniej nie przez przypadek lub czyjeś niedopatrzenie, lecz najzupełniej legalnie – z planowego werbunku pionierów socjalizmu, czyli pierwszych kadr władzy nowego ustroju i państwa. Bo to właśnie ta kasta – speców od praw historii, walki klas i „diamatu” – wcielając w życie swe wzniosłe, obłąkańcze idee, pragnęła jak najszybciej pomnożyć masy partyjne, głównie aby wykazać słuszność samej doktryny, a poza tym by stworzyć zależną od siebie gwardię. A z kogóż

by jak nie z lumpów miała ją rekrutować? Z kogóż jak nie z parobków i ludzi marginesu? Przecież reszta będąca w czymkolwiek zakorzeniona – w ziemi, mieście, własności, w tradycji religijnej – nie pisała się na to. Przeciwnie, nie chciała tego i z lękiem to odrzucała. A z czasem, kiedy już baza powstała i okrzepła, zaczął działać mechanizm selekcji negatywnej. Wreszcie ta „młoda gwardia” szeregowych działaczy od brudnej, niewdzięcznej roboty poczuła własną siłę i pojęła, jak działa „nowy wspaniały świat”, zwłaszcza w zakresie podziału i dystrybucji dóbr. I zaczęła się o nie gwałtownie upominać, i coraz ostrzej stawiać, i grozić sabotażem.

To właśnie tej ciemnej siły – awansowanej przecież z pełną premedytacją, a potem hołubionej – bał się teraz Gomułka. A bał się nie tylko dlatego, że należał do starszej generacji działaczy, którzy już byli w mniejszości, lecz również, a raczej głównie, że miał w swym otoczeniu pokąsną liczbę Żydów... to znaczy „towarzyszy o żydowskich korzeniach”. Ci zaś na oponentów działali jak płachta na byka i byli idealnym celem do uderzenia.

Moczarowskie „psy wojny”, ale nie tylko one (to było w partii nagminne), miały awersję do Żydów co najmniej z trzech powodów. Po pierwsze z natury rzeczy, czyli z właściwych sobie uprzedzeń i niechęci do wszystkiego, co obce, odmienne i nieznanne. Po wtóre wskutek zaszłości, czyli z poczucia winy wobec ofiar Hitlera, na których eksterminację patrzyli obojętnie lub wręcz z upodobaniem, nie mówiąc o wypadkach, gdy ze strachu, dla zysku lub bez żadnej przyczyny przykładali się do niej. I po trzecie z zawiści i przez upokorzenia, jakie ich spotykały, zwłaszcza w pierwszym okresie budowy socjalizmu, kiedy to towarzysze „z żydowskim rodowodem” cieszyli się szczególną estymą i poważaniem, stali w partii wysoko, na ogół wyżej od innych, i rozdawali karty.

Pozycję tę z pozoru zawdzięczali dojrzałszej świadomości społecznej, głębszemu rozumieniu prawideł dialektyki, teorii walki klas i mechanizmu dziejów (to znaczy wyrobieniu ideologicznemu), i z pewnością większemu oddaniu sprawie „postępu”, to znaczy rewolucji i jej zbawczego celu. Istotnie, pod tym względem nie mieli sobie równych. Ale nie to faktycznie czyniło z nich święte krowy. O ich szczególnym statusie decydowała centrala mieszcząca się na Kremlu, a zapewne sam Stalin, który po pierwsze wiedział, że w Polsce brakuje kadr z odpowiednim zapleczem, czyli ze znajomością marksizmu-leninizmu, a po drugie rozumiał, że kiedy tylko już spełnią swoją dziejową rolę, będzie się łatwiej ich pozbyć.

Doprawdy trudno pojąć, jak ci „uczeni w piśmie”, tak bystrzy i rozgarnięci, tak biegli w rozwiązywaniu największych zawiłości i antynomii „diamatu”,

tak obeznani z historią ruchu robotniczego, a zwłaszcza WKP(b), i tak dalekowzroczni w najprzeróżniejszych sprawach, w tym jednym, drobnym wypadku zupełnie nie nadążali za Wodzem Rewolucji – za jego jakże prostą w swej genialności myślą. I że całkiem stracili poczucie rzeczywistości, gdy na wieść o sukcesach izraelskiego wojska spychającego Arabów daleko w głąb ich ziemi zaczęli bez osłonek okazywać swą radość, a nawet z tej okazji urządzać huczne libacje. Bo tak się właśnie działo. I to gdzie! Właśnie w wojsku i w innych resortach siłowych.

Gomułka złąkł się na dobre. Wyglądało to w końcu na otwarty sabotaż. Tu oto Moskwa potępia „bezprzykładną agresję” i każe natychmiast zerwać stosunki dyplomatyczne z izraelskim „jastrzębiem”, a tutaj towarzysze „żydowskiej proveniencji”, w dodatku „na odcinku obrony i bezpieczeństwa”, ostentacyjnie się cieszą i świętują zwycięstwo! Wychwalają strategię. Podziwiają Dajana! Czyż to nie krecia robota? Tak zachowują się ludzie tworzący „piątą kolumnę”!

To właśnie to pojęcie cieszące się złą sławą, użyte przez Gomułkę w mowie do delegatów ze Związków Zawodowych, rozniosło się błyskawicznie i wzbudziło niepokój. Zwłaszcza że oprócz niego padły też inne słowa, wyrażenia i zdania jeszcze bardziej złowróżbne, takie jak „kręgi Żydów” albo po prostu „Żydzi” (a już nie towarzysze o „żydowskich korzeniach”), a także „ruch syjonistyczny”, no i wreszcie że każdy z polskim obywatelstwem „ma tylko jedną ojczyznę” – właśnie Polskę Ludową.

Była to niby tylko partyjna retoryka, mająca uspokoić zirytowaną Moskwę, a zarazem usadzić rwącego się do ataku zuchwałego Moczara, w rzeczywistości jednak miała charakter działania i skutkowała odwrotnie. Stwarzała możliwości coraz ostrzejszej gry. Gomułka karząc publicznie „obywateli polskich narodowości żydowskiej” za jawną nielojalność wobec partii i państwa, rzucił ich na pożarcie nie tylko „partyzantom”, ale i własnym ludziom, którzy czując, że władza wymyka im się z rąk, widzieli dla siebie ratunek w szybkiej wymianie kadr. I rzeczywiście, wkrótce zaczęły się pierwsze czystki – z początku w partii i wojsku, a z czasem w bezpieczeństwie i prasie.

Było to wszystko okropne. Lecz jeszcze bardziej szkodliwe. Przede wszystkim dla państwa, które chociaż od lat nie było suwerenne, miało jednak formalnie status niepodległego, przez co psuło mu w miarę neutralną opinię na arenie światowej; lecz i dla społeczeństwa, które wciągano w ten sposób w antysemitkę hecę, a które przecież z początku – w spontanicznej reakcji – jednogłośnie stanęło po stronie Izraela. I to nie tylko dlatego, że bisurmanów wspierał zniechęcony Kreml, lecz również z tego powodu, a może nawet

bardziej, że w zwycięskiej kampanii dostrzegano swoisty element czy akcent polski. Chodzi o kraj pochodzenia dziesiątków czy nawet setek izraelskich żołnierzy, a zwłaszcza kilku dowódców. W oczach warszawskiej ulicy, żyjącej od ćwierćwiecza w dławiającym poczuciu klęski zadanej przez Sowietów, przynajmniej „polscy Żydzi” dali im się we znaki, roznosząc ich wasali.

Ta satysfakcja i radość naprawdę były szczere. A przy tym pokazywały, że niechęć wobec Żydów, ewidentnie obecna w nieszczęsnym społeczeństwie, ma jednak w znacznej mierze podłoże polityczne, a nie religijne, społeczne czy nawet ekonomiczne, i wiąże się ze stosunkiem do polskiej racji stanu – do aspiracji narodu, by zrzucić wreszcie jarzmo okupacji sowieckiej i wybić się ponownie na wolność i niepodległość. Jeżeli ów stosunek w taki lub inny sposób był zbieżny z powszechnymi tęsknotami Polaków, nie było antagonizmu, była wręcz solidarność, jak właśnie w owym wypadku pośredniego konfliktu z Rosją na Bliskim Wschodzie. Złość dochodziła do głosu, gdy rozmijały się z nimi, jak z kolei w wypadku bezpośredniej współpracy z tą samą Rosją w Polsce.

Działania komunistów były więc i haniebne, i perfidne zarazem. Haniebne, bo dla swych celów – dla rozgrywki frakcyjnej – najzupełniej świadomie wskrzeszali antysemityzm, a perfidne dlatego, że podjęli tę akcję w chwili, kiedy nie tylko nie było wrogich nastrojów, lecz gdy panował wręcz inny. Wszczepiali więc społeczeństwu ten okropny zarazek, właśnie gdy było ono – przynajmniej chwilowo – odtrute.

Jakkolwiek cała ta sprawa budziła obawy i wstręt, nie była jednak czymś nowym w realiach peerelu ani tym bardziej niezwykłym. Rządząca od lat ekipa zdążyła przyzwyczaić, że działa w gruncie rzeczy na przekór społeczeństwu i jego aspiracjom, i że stosuje przy tym niegodziwe metody. Zastanawiało mnie więc, dlaczego ojciec i matka akurat na to szaleństwo – bądź co bądź notoryczne w wypadku władzy ludowej – reagują inaczej: nie drwiąco, ironicznie, jak mieli to w zwyczaju, lecz „głucho” i posępnie, nieledwie neurotycznie. Oczywiście wiedziałem o naszym pochodzeniu i dobrze rozumiałem, jakie to ma znaczenie, a jednak nie odnosiłem tej afery do siebie. Zupełnie nie odczuwałem, że w ogóle mnie dotyczy. Dla mnie cała ta gra toczyła się w innym świecie – w świecie partii i władzy, który był i daleki, i zamknięty zarazem. Nie przychodziło mi na myśl, że wywołana fala może rozlać się dalej, a zwłaszcza uderzyć we mnie, to znaczy w nas, bezpośrednio. Rodzice nie byli w partii i stronili od władzy; i pochodzili z rodzin, które jeszcze przed wiekiem wybrały asymilację. Nie mieli więc powodu, by się czegoś obawiać. A jednak na tę sprawę reagowali silniej niż na inne alarmy wszczynane przez komunę.

Czyżby tłem tych emocji – zastanawiałem się – była trauma wojenna? Czyżby amok Gomułki, w jaki popadł ze strachu, że może stracić władzę, wystarczył, aby obudzić okupacyjne koszmary? Nie chciało mi się wierzyć. I słusznie, bo było inaczej. Lecz abym w pełni zrozumiał istotę ich depresji, musiał upłynąć z miesiąc – a może nawet i dwa – kiedy to niespodzianie i nie z własnego wyboru odbyłem przyspieszony zaległy kurs tożsamości.

U schyłku sezonu urlopów – mniej więcej od końca sierpnia – zaczęli odwiedzać ojca nieznani mi dotąd ludzie. Byli to zwykle mężczyźni w jego wieku lub starsi, ale zdarzały się również kobiety i małżeństwa, czasem młodsze od niego. Ojciec zamykał się z nimi w swym małym gabinecie i t a m, a nie w stołowym, jak było to w zwyczaju, podejmował ich kawą. Matka w spotkaniach tych raczej nie brała udziału, a nawet na ich czas, przywitawszy się z gośćmi, opuszczała mieszkanie, niby w jakiejś naglącej, niespodziewanej sprawie. Nie potrafiłem stwierdzić, czy robi to z własnej woli, aby uniknąć kontaktu z owymi nieznanymi, czy ze względu na ojca, który z jakichś powodów wołał być z nimi sam, a nawet nie mieć w tym czasie nikogo z rodziny w domu. Przypuszczam, że to drugie, bo na moją obecność wyraźnie źle reagował. Był poirytowany, gdy natykał się na mnie w kuchni lub w korytarzu, a zwłaszcza gdy przypadkiem stojąc u drzwi wejściowych, otwierałem je pierwszy i poznawałem w ten sposób – przynajmniej z wyglądu – przybyłych. Mieli oni z reguły wybitnie semickie rysy i mówili z wyraźną żydowską intonacją. A poza tym w ogóle różnili się jakoś od tych, którzy nas odwiedzali często lub regularnie i których rodzice mieli za krąg swoich przyjaciół, określane też czasem jako ich środowisko. A przecież i w tej grupie było szereg postaci z żydowskim rodowodem. Tyle że miały one, jak już o tym wspomniałem, zupełnie inny habitus. Bo nie chodzi tu tylko o wygląd i wymowę, lecz o ogólny styl, o pewną wersję kultury. Jeśliby kto nie wiedział o ich genealogii, nie przyszłoby mu na myśl.

Wizyty w gabinecie pod względem akustycznym dzieliły się na trzy typy: ciche, zwykłe i głośne. W pierwszym wypadku ich przebieg był zgoła niesłyszalny. Mówiono jak w konspiracji, przyciszonymi głosami albo po prostu szeptem, i można było sądzić, że nic się tam nie dzieje ani nikogo nie ma. W wypadku drugim głosy brzmiały niby zwyczajnie, lecz były na tyle stłumione, a przez to niewyraźne, że nie dawało się stwierdzić, o czym właściwie jest mowa. I wreszcie w wypadku trzecim mówiono aż nazbyt głośno – nerwowo i krzykliwie. Słychać było wyraźnie, że toczy się jakiś spór i wchodzą w grę

emocje. Wpadano sobie w słowo, przekrzykiwano się, a czasem padały nawet przekleństwa i złożeczenia.

Nieco stropiony tym wszystkim, nie mogąc się na niczym skupić podczas tych wizyt, zacząłem się podkraść pod drzwi do gabinetu i podsłuchiwać rozmowy. Z początku nic to nie dało. Zupełnie nie mogłem dociec, ani kim są ci ludzie, ani skąd ojciec ich zna i co go z nimi łączy, ani po co właściwie przychodzą teraz do niego. Z czasem jednak ów nasłuch dostarczył jakichś danych. Okazało się więc, że są to znajomi ojca z czasu wojny i sprzed niej, kiedy się ukrywali lub byli szykanowani, a on jako sympatyk i rzecznik PPS-u (choć głównie jako człowiek o neutralnym wyglądzie i lepiej osadzony w otaczającym świecie) organizował im wsparcie. Przed wojną miało ono charakter polityczny. Chodziło o to, by Żydzi, którzy z różnych powodów i w coraz większej liczbie odchodzili od wiary w imię emancypacji, trafiali do środowisk o charakterze otwartym, z reprezentacją w sejmie, a nie pod kuratelę Bundu czy KPP, czyli organizacji albo nadal „gettowej”, tyle że lewicowej i antyreligijnej, albo agenturalnej i antysystemowej z umocowaniem w Moskwie. Ojciec, inaczej mówiąc, działał na rzecz zniesienia czy choćby złagodzenia nabrzmiałej kwestii żydowskiej w trybie ewolucyjnym i wolnomyślicielskim, i w duchu propaństwowym.

Syjonizm był mu daleki, nieledwie egzotyczny, ale szanował go. Do twórców tego ruchu i niektórych przywódców odnosił się z uznaniem, a nawet z dozą podziwu, choć zapewne dlatego, że byli oni dla niego ludźmi z innego świata. Program Bundu z kolei uważał za utopijny i pełen wewnętrznych sprzeczności (na przykład krytyka Rosji przy jawnym postulacie, aby z nią współpracować; zwalczanie ortodoksji wespół z kultywowaniem świeckiej kultury żydowskiej, co zakrawało na absurd). Natomiast KPP najzwyczajniej nie trawił. Ta formacja dla niego była wyłącznie szkodliwa – zdradziecka, totalistyczna, ze wszech miar destrukcyjna, i to zarówno dla państwa, jak i dla własnych członków. Ostrzegał przed nią i szydził, nie przebieając w słowach. Posuwał się wręcz do tego, że odmawiał jej ducha i miana lewicowej. Nazywał ją „trzecią siłą” – poza tradycyjnymi opcjami politycznymi – i widział w niej widmo zguby.

Chociaż w wyniku Zagłady cała ta perspektywa straciła rację bytu, to jednak poszczególne oceny i opinie zachowały swą wartość, i mogły stanowić wskazówkę, co robić w nowej Polsce pod sowieckim nadzorem i rządami komuny. Co wybrać? Gdzie się podziać? Jak w tych nowych warunkach ułożyć sobie życie?

Najogólniej rzecz biorąc, były trzy możliwości. Przede wszystkim wyjechać. Zostawić raz na zawsze tę nieszczęśliwą ziemię, gdzie w makabryczny sposób dopełnił się los narodu, i udać się gdzie indziej – gdziekolwiek, byle dalej od tego cmentarzyska. Po wtóre jednak zostać – na przekór temu, co zaszło, i w imię pamięci zmarłych – ale trzymać się z dala od ofert nowej władzy i na uboczu, po cichu, próbować robić swoje. I wreszcie: nie tylko zostać, lecz włączyć się w nurt przemian i – niejako w reakcji na zapaść starego świata – zacząć budować nowy, oparty na innych prawach. Więcej: być w samym centrum tych historycznych zdarzeń. Realizować wreszcie utopijne marzenia o idealnym świecie, a przy tym wyrównywać rachunki dawnych krzywd.

Pierwszą z tych możliwości ojciec traktował ze smutkiem, lecz i ze zrozumieniem. Wiedział, co znaczy trauma i chroniczna depresja, i że nieraz jedynym sposobem ich uśmierzenia jest zmiana miejsca – exodus. Sam jednak nie pisał się na to. Z rozmaitych powodów nie widział się za granicą, szczególnie w „ziemi świętej”. Wybrał dla siebie tę drugą, „zachowawczą” możliwość, choć zdawał sobie sprawę z rozmaitych zagrożeń, jakie się z nią wiązały. Natomiast opcję trzecią odsądzał od czci i wiary, widząc w niej tylko złe rzeczy: szaleństwo, zaślepienie, prywatę, krótkowzroczność. Uważał, że za ów obłęd, a szczególnie za przemoc przyjdzie kiedyś rachunek, i że zapłacą go nie tylko prowodyrzy i uczestnicy tych akcji, lecz również ich „pobratymcy”, którzy żyli gdzieś z boku i w nic się nie mieszały, a nawet byli krytyczni wobec tej aktywności. Ponieważ w tym wypadku zawsze jest stosowana odpowiedzialność zbiorowa i wraca – jako przekleństwo – pamiętny okrzyk „krew Jego na nas i nasze dzieci”.

Te wszystkie przekonania, historie i opinie, wywodzone stopniowo z podsłuchiwanym rozmów, były dla mnie nowością. Miałem dotychczas o tym dosyć mgliste pojęcie. I stąd się nastręczały rozmaite pytania. Tylko jak je zadawać, a raczej z jakiego powodu, skoro się odnosiły do faktów i problemów poznanych, oględnie mówiąc, w sposób nieoficjalny? Stawiając je bez ogródek, przyznawałbym się pośrednio do stosowania podsłuchu. No ale, z drugiej strony, czemu miałbym właściwie nie być świadomy tych spraw? Co niby miałam dawać w tym zakresie niewiedza? Chronić przed czymś? Osłaniać? Nie komplikować życia? Niejednoznaczna wartość. Wolałem trudną prawdę i gorzkie doświadczenie niż błogą nieświadomość.

Stąd też po którejś z wizyt, szczególnie hałaśliwej, co dawało mi pretekst do podjęcia tematu, spytałem zupełnie otwarcie, co się właściwie dzieje. Co znaczą te zebrania? Kim są ci dziwni ludzie? I po co do nas przychodzą?

Ojciec wahał się chwilę, czy spełnić moje życzenie, po czym nagle oświadczył, że owszem, wyjaśni mi, lecz żebym nie miał później do niego o nic pretensji, bo to, co ma w tej mierze do zakomunikowania, jest wyjątkowo gorzkie. Po czym wygłosił monolog takiej mniej więcej treści:

Z pewnością najsolidniejszą podstawą życia jest wiara. Nic lepszego jak dotąd ludzkość nie wymyśliła. Ale wymyśla ona i inne ciekawe rzeczy, z pozoru niezależne i nie mające związku z prawdami objawienia, a jednak sprzeczne z nimi i niweczące stopniowo wywiedziony z nich ład. Jest to niezwykle złożony i długotrwały proces, ale nie pora teraz wnikać w jego naturę. Teraz niech mi wystarczy nieodparte stwierdzenie, że właśnie w naszej epoce, powiedzmy w ciągu ostatnich siedemdziesięciu lat doszło do takiej zmiany.

Po wiekach, ba, tysiącletnich niezachwianego poczucia, że świat ma jakiś wyższy, nadprzyrodzony sens i że podlega prawom boskiej sprawiedliwości – że można w nim zasłużyć na nagrodę lub karę, a zwłaszcza na zbawienie lub wieczne potępienie – wreszcie, że tym, co nim rządzi i wprawia wszystko w ruch, jest „pierworodna miłość”, jak określił to Dante, otóż po tych stuleciach fundamentalnej wiary w boską opatrność i łaskę zaczęła ona z wolna przygasać i zamierać, aż treść jej stała się mitem, a z czasem wzniosłą fantazją, jedną z tych starych baśni, które człowiek od zawsze układa na ten temat, by jakoś wytłumaczyć swoje istnienie na ziemi i dodać sobie otuchy.

Ta zapaść spowodowała wielorakie następstwa. Ludzie zaczęli odchodzić od starego porządku i szukać innej drogi. W przypadku naszych przodków było to wyjście z gminy – z ortodoksji, ubóstwa, z ciasnoty horyzontów. Ku kulturze laickiej, ku wolnomyślicielstwu. Dawało to możliwości rozwoju i awansu. Lecz i stwarzało ryzyko. Bo Polska była w biedzie, pod obcym panowaniem i, podobnie jak Żydzi, walczyła o przetrwanie. A główną bronią w tej walce był Kościół katolicki, który chronił zarówno przed prawosławną Rosją, jak i przed państwem pruskim. A Kościół w tamtym czasie, choć naturalnie uznawał i czcił Stary Testament, to jednak „starego zakonu”, oględnie mówiąc, nie lubił, a już szczególnie odstępców, co poszli szukać szczęścia poza tradycją i wiarą.

Nie były to więc warunki przyjazne asymilacji. Naród żyjący od lat pod groźbą represji, zsyłki i wynarodowienia nie ufa innowiercom, a zwłaszcza apostatom, którzy chcą się odnaleźć w areligijnym świecie. Odnosi się do nich z rezerwą, a nawet podejrzliwie. Nic w tym zresztą dziwnego, bądź co bądź ich dążenia i aspiracje są inne. Mogą być nielojalni, nie mówiąc o zwykłej zdradzie. Stąd też, gdy im się wiedzie, budzą zawiść i złość, a kiedy klepią biedę, wywołują odrazę. Traktowani są z góry, z niechęcią i pogardą. Słowem, od

społeczeństwa, które popadło w niewolę i rozpaczliwie walczy o zachowanie bytu, nie można oczekiwać, że będzie specjalnie życzliwe czy choćby wyrozumiałe dla takich lub innych obcych, którzy niby przyjęli dany system wartości, lecz żyją w inny sposób niż znakomita większość. „Po swojemu”, „inaczej”.

A jednak, mimo tej wiedzy i świadomości ryzyka, wielu poszło tą drogą. Nie oglądając się na nic. Ani na własne rodziny, które ich wyklinały, mając za odszczepieńców, ani na obcy świat, który mógł ich odrzucić. Tak właśnie, między innymi, zrobili nasi przodkowie. Mniej więcej w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. A postąpili w ten sposób nie tylko, by się wyrwać ze ślepego zaułka anachronicznych pojęć, zwyczajów i dogmatów, z tej zatęchłej enklawy geszeftu i Talmudu, lecz również by się zmierzyć z tym, co było na zewnątrz, czyli ze światem laickim, z kulturą oświeconą. Bo czuli, że na jej gruncie mogliby wiele dokonać, że taka afiliacja może przynieść owoce. I rzeczywiście przyniosła. Wiele by o tym mówić. Lecz naiwnością jest sądzić, że tylko rzeczy dobre. Przyniosła też rzeczy złe. Niebezpieczne, trujące. A przez to niechęć i złość. Bo talent i zasługa budzą zazdrość i zawiść, a nieprawości i błędy powodują agresję.

Jak to powiedział Einstein? „Jeśli moja teoria okaże się prawdziwa, Niemcy ogłoszą mnie Niemcem, a Francuzi i inni – obywatelem świata. Jeśliby jednak miała okazać się fałszywa, Francuzi nazwą mnie Niemcem, a Niemcy bez wątpienia uznają mnie za Żyda”.

Trudno o przekonanie bardziej wyzbyte złudzeń. A jednak świat pokazał, że można iść jeszcze dalej. Niemcy nie tylko nie chcieli uznać Einsteina za Niemca; uznali, że jego teoria jako stworzona przez Żyda nie może być prawdziwa! No, ale to był obłąd. Skrajność bez precedensu.

A jak jest w zwykłych czasach? W warunkach nie ekstremalnych? Co znaczy być w ogóle Żydem poza religią i gminą, poza hebrajskim i jidysz, a jednocześnie mając obywatelstwo państwa, w którym się właśnie żyje? Co wtedy jest kryterium... p o d s t a w ą tożsamości? Rodowód? Rasa? Krew? Czy świadomość i wybór? Postanowienie wewnętrzne? Ale taki akt woli, nawet umocowany w oficjalnych papierach, nie jest czymś obiektywnym, a więc niepodważalnym. Bo nie jesteśmy jedynie, za kogo się sami bierzemy. Jesteśmy w równym stopniu, za kogo biorą nas inni. I gdy ten drugi osąd nie pokrywa się z pierwszym, to jest, jak podoba się ś w i a t u, a nie, jak podoba się nam.

Nasz sławny daleki krewny, filozof Henryk Bergson, osiągnął najwyższe zaszczyty, jakie w dziedzinie nauki ofiarowuje Francja: katedrę w Collège de France i fotel Akademii, doktorat *honoris causa* i Legię Honorową. A nadto

zdobył jeszcze literackiego Nobla i niebywały rozgłos. Powierzano mu także misje dyplomatyczne: do Stanów Zjednoczonych w okresie pierwszej wojny. Religijnie się skłaniał ku katolicyzmowi, widząc w nim najpełniejszą pochodną judaizmu. Nie przyjął wprawdzie chrztu, ale był temu bliski. A jednak mimo tych wszystkich tytułów i splendorów, i niesłychanej pozycji, jaką osiągnął we Francji, nie umarł jako Francuz. Gdy w zajęтым Paryżu Niemcy wydali dekret o rejestracji Żydów, podporządkował się temu, choć mógł to zlekceważyć. Mało prawdopodobne, aby go namierzyli. Miał ogromne zaplecze w środowisku francuskim i gdyby tylko chciał, mógł się z łatwością ukryć lub uciec za ocean. A jednak nie zrobił tego. Uznał, że w danych warunkach powinien nie tylko zostać z prześladowaną mniejszością, lecz wręcz przyłączyć się do niej. Choć nie traktował jej dotąd jako swojej wspólnoty. Był uczonym francuskim. Obywatелем Francji. Piszącym po francusku jak mało który Francuz. A jednak mimo to i mimo osiemdziesiątki, którą miał już na karku, poszedł do prefektury, by się zarejestrować. I zaraz potem umarł – na zapalenie płuc, którego się nabawił, stojąc w kolejce na mrozie. Więc umarł jako Żyd i z powodu żydostwa.

Mimo tej całej wiedzy i świadomości problemu, a zwłaszcza osobistych doświadczeń w tej materii, ojciec przez wiele lat – właściwie przez całe życie – uważał, że w epoce wywodzącej się z ducha rozumu i oświecenia da się obronić tożsamość opartą na wyborze. Może nie tyle uważał, co stawiał to za cel i pragnął go osiągnąć. Upierał się w tej kwestii i nie zważając na opór „ciemnej” rzeczywistości, nie dawał za wygraną. Jego dewizą było „samemu być miarą dla siebie” i „gardzić cudzą pogardą”. Jednocześnie wymagał – od siebie i sobie podobnych – świadomości w tej sprawie. A więc by dobrze rozumieć, co taki wybór oznacza i co z niego wynika, a dalej, by odpowiednio stosować się do tego. Czyli by w życiu publicznym – społeczno-politycznym – w pewnych jego dziedzinach, takich jak propaganda, religia, bezpieczeństwo, nie uczestniczyć zanadto, a raczej w ogóle. By się nie angażować w tego rodzaju sprawy; by trzymać się od nich z dala. Bo są to z natury rzeczy dziedziny ostrych konfliktów i nieoczywistości, i łatwo w nich o błąd. A błędy w tej materii bywają niewybaczalne. I odradzają powrót prastary resentyment.

Ta filozofia ojca – samoograniczenia – nie wszystkim się podobała wśród asymilatorów. Wytykano mu sprzeczność. Że skoro definitywnie odrzuca „rasę” i „krew”, i wybiera jedynie rolę obywatela, to nie ma już powodu, by wyrzekać się czegoś. Być konsekwentnym w tej mierze to właśnie robić wszystko – wszystko, co robią inni – bez żadnych ograniczeń, a nie powstrzymywać się

od tego czy tamtego jedynie ze względu na skutki uprzedzeń czy szowinizmu. Taka postawa w istocie jest tkwieniem w dawnym porządku i milczącym przyznaniem, że nic się nie zmieniło.

Ojciec nie godził się z tym. Uważał, że brak umiaru jest w tej kwestii szkodliwy i kończy się zwykle klęską. Miał rację, ale co z tego, skoro nie chciano go słuchać? Teraz odczuwał to jako podwójną przegraną. I że nie zdołał przekonać do swego stanowiska, i że wyszło na jego.

– Łatwiej jest znieść nagonkę – kończył swoją przemowę – a nawet prześladowania, jeśli są one skutkiem uprzedzeń i zaślepienia, jeżeli wynikają z irracjonalnej wrogości. Bo ma się wtedy przynajmniej poczucie przewagi moralnej i można sobie powiedzieć: no cóż, taki jest świat, ciemny, atawistyczny. Lecz kiedy istnieje powód, sprawa się komplikuje. A powód niestety jest. Pycha i udział w złej sprawie. Pycha to przekonanie, że człowiek może w pełni poznać prawa historii, natury i ewolucji, i tak się nimi posłużyć, by zaprowadzić na ziemi wieczny pokój i ład. A zła sprawa to reżim narzucony przez Rosję i sterowany odgórnie za pomocą motłochu. „Jest ONR-u spadkobiercą Partia”! To Miłosz, poeta, nie ja. W *Traktacie poetyckim*. Skoro więc nawet i on, bądź co bądź nie polityk ani nie działacz społeczny, a przede wszystkim nie Żyd, postrzegał to w ten sposób, to czemu ci, co mieli o wiele więcej danych, ażeby to rozumieć albo przynajmniej wyczuć, nie dostrzegali tego? A może jednak widzieli, może nie mieli złudzeń, w co wchodzi i z kim się łączy, tylko myśleli sobie, że teraz oni są górą i chroni ich, z jednej strony, cień niedawnej Zagłady, a z drugiej, gwiazda Kremla? I że się odegrają za wszelkie upokorzenia? Cokolwiek jednak było ich motywem i celem, nie da się tego obronić. Zarówno w kategoriach ideowo-moralnych, bo było to szaleństwo i pasmo niegodziwości, jak i egoistycznych, cyniczno-pragmatycznych, bo było naiwnością, ba, żalną głupotą wierzyć moskiewskiej centrali i liczyć, że ochroni przed rywalami z ludu. Trzeba być fanatykiem albo skrajnym zadufkiem, by nie przewidzieć następstw zaprowadzania w Polsce przemocą komunizmu, o którym nawet Stalin miał podobno powiedzieć, że tak pasuje do niej jak siodło do grzbietu krowy. No, ale cóż, tacy byli. Nieprzejednani, bezwzględni, żarliwi i pewni siebie.

I teraz za to płacą. A my płacimy za nich.

EMILY DICKINSON

Wiersze

w przekładzie Krystyny Lenkowskiej

130

To dni gdy Ptaki wracają –
Niewiele tak – Ptak lub dwa –
Żeby popatrzeć wstecz.

To dni gdy niebo wznawia
Starą – sofistykę Czerwca –
Modry i złoty błąd.

O, fałsz co nie oszuka Pszczoły –
Jego wiarygodne pozory
Kuszą moją wiarę.

Aż łany kłosów zaświadczą –
I w odmienionym powietrzu
Płochy liść pośpieszy.

O, Sakramencie lata,
We Mgle Komunio Ostatnia –
Nie odmawiaj dziecku

Twojego znaku z nieba –
Poświęconego chleba
Nieśmiertelnego wina!

c. 1859

1890

254

„Nadzieja“ to jest rzecz z piór –
Na gałęzi duszy –
Co śpiewa melodię bez słów –
I nie milknie – nigdy –

Najsłodsza – słyhać – w Wichurze –
I straszna ta burza –
Co mogłaby speszyć Ptaszka
Co tak wielu ogrzał –

W kraju chłodu – i na obcym
Morzu ją słyzałam –
Nawet – wyczerpana – Skrajnie,
Okruszka – nie chciała.

c. 1861

1891

298

Zastępy – mnie odwiedzają –
Samej, nie dają być –
Nieznana Kompania –
Co przechytrza Klucz –

Nie mają Imion, i Strojów –
Kalendarzy – i Krajów –
Ale wszędzie Domy
Jak Gnomy –

Posłańcy w duszy –
Ich Przyjście gloszą
Odejścia – nigdy –
Bo nie odchodzą –

c. 1861

1932

303

Dusza dobiera sobie Towarzystwo –
I – zamyka Drzwi –
Do jej boskiej Większości –
Już nie wejdzie nikt –

Nie porusza jej – Rydwan – co staje –
W niskiej Bramie –
Ani – Król klękający w progu
Na Dywanie –

Z rzesz – wybiera Jednego – znam ją
Od lat –
Potem – zwierza Zawory uwagi –
Jak Głaz –

c. 1862

1890

324

Inni święcą Niedzielę w Kościele –
Ja, święcę ją w Domu –
Ze Szczygłem Chórzystą –
Pod Kopułą Sadu –

Inni święcą Niedzielę w Komży –
Ja zakładam Skrzydła –
I zamiast bić w Dzwony, na Mszę,
Nasz Zakrystian – ćwierka.

Bóg, Kaznodzieja znakomity –
Głosi kazania niedługie,
Więc zamiast pójść do Nieba, wreszcie –
Ja tam, ciągle, idę.

c. 1860

1864

362

Piorun tak nowy
Bił we mnie – co Dzień –
Jakby Chmura się wciąż pruła
Wypuszczając Ogień –

Palił Mnie – w Nocy –
Parzył we Śnie –
Mdliał mnie bez przerwy –
Rano codziennie –

Myślałam że krótka – Burza –
Najdziksza – najszybciej minie –
Lecz przez Pomyłkę Natury –
Została na Niebie –

c. 1862

1896

654

Długi – długi Sen – Słynny – Sen –
Który nie ma Świtu –
Ani Ruchu Ramion – i Powiek –
Osobnego Bytu –

Cóż To za gnuśność na Brzegu
Z Kamienia, bez końca –
Wylegiwać się i ani
Raz nie spojrzeć – w Słońce?

c. 1862

1896

Nie mogłam zahamować przed Śmiercią –
Więc On z uprzejmością –
Swój powóz zahamował przede mną –
I Nieśmiertelnością.

Jechaliśmy powoli –
On nie znał Pośpiechu
Odłożyłam pracę i zabawę
Dla jego Uśmiechu –

Minęliśmy Szkołę, Dzieci
Walczące – na Placu –
Pola Zerkające Ziarnem –
Zachodzące Słońce –

Ono minęło Nas –
Raczej – Rosy drżały w dżdżu –
Moja Koszula tylko Ażur –
Etola – tylko Tiul –

Stanęliśmy przed Domem jak
Wybrzuszenie Ziemi –
Dach ledwie dostrzegalny –
A Gzyms – wewnątrz Ziemi –

Wieki – Minęły – a jakby
Niecały Dzień pierzchnął
Zanim zgadłam że Łby Końskie
Wskazywały Wieczność –

R.S. THOMAS

Wiersze

w przekładzie Andrzeja Szuby

HM

i rzekł jeden
mów nam o miłości
i otworzył kaznodzieja
usta i wypadło z nich
słowo Bóg więc ponowili
prośbę to mów nam
o Bogu lecz kaznodzieja
w milczeniu tylko wyciągnął
ramiona ale
krzywonogie dzieci
z opuchniętymi brzuskami
podobne małżom
nie miały siły
by doń podejść

Astronauci

Wrócili bez budującej
Informacji zwrotnej. Mieli
Zbadać boginię księżycy.
Jej złote włosy, złote uda,
Niedostatek urody
Był przygnębiający:
Ciało – podobne do
Pumeksu, kobieta
Znużona przyciąganiem
Morza.

Wygląda, że
Bóstwo najlepiej zostawić
W spokoju; to wygasły ogień,
Ciało niebieskie, którego być
Światło wciąż do nas dociera.

Na marginesie

A w Carcassonne obserwowałem
Koty na ścieżce flisackiej
Nad rzeką. Jak gnały,
Kocur i kotka, szybciej

Niż gładka rzeka przez
Obręcz światła; więc zapomniałem
O zamku i długich wojnach
Królów i książąt, o

Pytaniu filozofa, nawet o
Mojej prywatnej potrzebie
Wiary. A myszy śpiewały
W rosie, jakby się ze mną zgadzały.

Przy stole

Myślę, że siedzi przy tym osobliwym stole Eddingtona, co nie jest żadnym stołem, lecz węzłami i molekułami napierającymi na molekuły i węzły, i pisze niewidzialnym pismem instrukcje dla genów. Wyobrażam sobie, że jego twarz przypomina tarczę zegara, a czas, jaki ten zegar odmierza, to teraźniejszość, obejmująca Egipt i Grecję, i cesarstwa, których jeszcze nie było.

W Dzień Sądu

Miałbym wiele temu Bogu do powiedzenia, złorzeczyłbym, jak Hiob złorzeczył, z elokwencją udręczonego serca. Ale nie będzie sądu innego niż wyrok jego obliczeń, ta zawiła geometria budowana w wiekuistej ciszy między dobrem i złem.

Drogowskaz

Casgob – czytam – 2
mile. Ale nigdy tam
nie byłem; tkwi jak
bibelot na półce pamięci,

pokryty kurzem lat;
miejsce na diecie
echa zamilkłych
dzwonów i dziecięcych

głosów; biała jest architektura
jego chmur, nieruchome
promienie słońca. Tak było
najlepiej. Potrzebne mi muzeum

do gromadzenia co wątlejszych
drobin snu. Czas to
droga główna, wieczność –
zakręt, którego nie bierzemy.

Przyjazd

Labirynt, rzekł,
a w środku
czeka nas
Minotaur.

Są zakręty,
co nie prowadzą
do potwora.
Przywiódł mnie

jeden z nich,
podobny do galerii
wyobraźni,
w drodze przystawałem,

by popatrzeć na niewidzialne
portrety bohaterów.
Ich czyny szeleściły
jak suche liście

pod stopą.
Ich zapach był
piaskiem ciskany
w oczy bestii.

Halina Janod



PIOTR SOMMER

Środki do pielęgnacji chmur

Kiedy Przemek otwierał zawiązywaną na tasiemkę teczkę z powleczonej czarnym lakierem tektury, było w tym otwieraniu coś z uroczystego namaszczenia. Pulchne opuszki jego zwężających się ku paznokciom potężnych palców przewracały delikatnie kartki maszynopisu w poszukiwaniu fragmentu Dziennika, który chciał pokazać albo odczytać, albo w którym ostatnio coś zmienił i też chciał pokazać. Namawialiśmy go, żeby posłał wreszcie jakąś bardziej ukształtowaną partię maszynopisu do wydawnictwa, jako część tak zwanej większej całości. I tym razem – rozumiało się samo przez się, nie będziemy nawet musieli więcej tego powtarzać – tym razem już na pewno maszynopis zostanie całkiem nieodległe do wydawnictwa wysłany. Szło między innymi o to, że kartek maszynopisu przybywało powoli – pisanie nie mogło przecież być czynnością łatwą ani pospieszną. Nie upewniałem się w tej mierze u nikogo, ale wszystko zdawało się wskazywać, że i pospolitsze czynności, które wykonywać musiał każdy z nas, nie tylko Przemek, w jego przypadku miały tak powolniejszy, przypominający pisanie.

Palce Przemka były nie tylko solidnie umocowane, były również długie – na domowym pianinie ogarniały prawie dwie oktawy – choć od ich długości odwracały uwagę krótkie, często podcinane paznokcie. Przemek nie był ułomek, a palce jego wraz z pozostałą częścią dłoni stanowiły godną reprezentację tego życzliwego świata organum, które, podobnie jak to niekiedy zdarza się u innych ludzi, łączyło w sobie ciało i ducha. Poniekąd reprezentowały i muzyczno-wizualną stronę jego imaginacji: przewracały kartki, jak gdyby wykonując subtelnie pomyślany, a niepozorny choreograficznie taniec. Wydaje mi się, że było tu niewiele miejsca na przypadek.

Przemek nie wyróżniał dłoni ręki prawej ani dłoni ręki lewej, zlecał im prace stosownie do ich umiejętności i wprawy: odwracał kartki demokratycznie, na wszystkie dziesięć palców, to jest, na obie ręce. Jedna dłoń, uformowana w rynienkę, dyskretnie, nieomal bez ruchu zapobiegała rozproszeniu kartek, które zostały już odwrócone, przytrzymując je od strony ich domyślnego grzbietu, druga z niezmałym spokojem dalej szukała odpowiedniego fragmentu. Reprezentację palców w postaci jeszcze bardziej aktywnej, a więc

i bardziej zdemokratyzowanej, dawało się śledzić, gdy cała dziesiątka rozgrywała swoje swingujące partie muzyczne na stojącym pod ścianą pianinie.

Którego to wieczoru podczas odwracania kartek wyfrunęła z nich owa „ćma, stróżka ciszy nocnej”, trudno powiedzieć. Ale wyfrunęła na dobre, a lot jej odąd sprawiał mi zawsze wiele radości. „Ćma...”, zauważał ktoś niemrawo znad wachlarza kart, zastanawiając się w co wyjść, żeby ugrać niezbyt fortunnie wylicytowane trzy bez atu, nie kończąc nawet sugestii, że dobrze byłoby zamknąć okno, bo oto właśnie wpadła ćma, kiedy ktoś z pozostałych, teatralnie wznosząc wzrok ku górze, z zamierzoną egzaltacją dorzucał brakującą część sformułowania. By rozładować nocne napięcie dojrzałego lata, wystarczała niekiedy już ten zwiły sygnał – zapowiedź ciszy, a nawet milczenia, co zawsze domagają się czułej opieki.

Z czasem intonacyjny docisk ustąpił miejsca melodiom bardziej znużanym czy wręcz neutralnym: coraz częściej przywoływaliśmy ów cytat jak wiele innych, jak gdyby nigdy nic. Przemek przywykł do znaczenia ćmy w życiu przyjaciół jako życziwej konsjerżki nocy, a niekiedy i on, być może mimo woli, a nawet z pewną rezygnacją, pomagał krzewić jej obecność wśród młodszych przedstawicieli naszego gatunku. Nieraz słyszałem, jak ostatnie trzy słowa tej definicji wybrzmiewały z jego ust półgłosem albo szeptem, jak smętnie zacichające echo, toteż trudno mi orzec, czy sam wysoko cenił to szczególnie upodobanie otoczenia.

Mieszkał przy Dzierżyńskiego 9, a adres Dzierżyńskiego 9 stanowił jeden z centralnie ulokowanych, handlowych punktów miasta. Dom położony był w centrum i swoiście na uboczu, a miejsce położenia – jak mogłem domniemywać z obserwacji – musiało również dogadzać pojedynczym źdźbłom trawy, sterczącym spomiędzy połamanych płyt chodnika, i kwiatom rumianku, które przez pół lata kwitły tuż pod płotem od ulicy i tuż pod płotem od podwórka. Obserwacji nie prowadziłem zbyt systematycznie, mam jednak nadzieję, że nie odbiera mi to prawa do powoływania się na nie. Na podwórku, w rzadkich kępach trawy bieleły kwiaty nie nazbyt pewnej siebie koniczyny.

Przemkowi, jak wnoszę z Dziennikowych notacji, które mi zawierzył, miejsce, gdzie mieszkał, dogadzało w nie mniejszym stopniu. Nie zaskoczyłoby go moje botaniczne zestawienie. Pył, co osiadał na łodygach i liściach – to wiem akurat z dobrego źródła – potwierdzał upodobanie tych rachitycznych roślin do leniwego postępu, progresji pozbawionej wyraźniejszego przyspieszenia. Czy świadectwem rozwoju – często zadawałem sobie to pytanie – nie jest już

sam fakt istnienia życia osobniczego, w rozmaitych przejawach, rzecz jasna, wśród których daje się wyodrębnić także postać życia scedzoną, czy wręcz znieruchomiałą do kształtu, który nazywamy życiem czystym, tu akurat w odmianie nieco zakurzonej? Czy środki, które inwazyjnie mają wspomóc rozwój, nie okazują się nierzadko, wbrew pragnieniom użytkowników, kontrproduktywne? Pył był jak pieczęć przystawiona bezgłośnie na okolicznej wegetacji. Tak, nawet skłonność do znikomego rozwoju skrywała się pod pyłem.

Po sanatoryjnej stronie torów posesje były wyraźnie większe, ogrodzone tylko częściowo albo wcale, zielone bez umiaru, wręcz ostentacyjnie. Któż to mógł wiedzieć, gdzie się kończą. Być może na Reymonta, tam gdzie mieszkała piegowata Krysia Pleskot z grubym jasnym warkoczem? Może aż pod Zofiówką, gdzieś za bardzo się nie zapuszczali, trochę na zapas, bo jeszcze nie mieliśmy pojęcia, co się tam zdarzyło? Może dopiero pod Meranem, z którego zimą zjeżdżano na sankach i na butach, a może trochę w bok, w Jabłonie? Ulistnione gałęzie strzegły swej nieprzenikliwości i przeciskały się przez ogrodzenia – tam gdzie resztki ogrodzeń były – i ponad ogrodzeniami. Jeśli istniała jakaś przeszłość albo przyszłość, to latem były one nieczytelne.

Najbardziej zapuszczone pensjonaty coraz częściej podpalali ich kwaterunkowi lokatorzy, w nadziei – tak przynajmniej mówiono – że mieszkania zastępcze, które przydzielili im miasto, będą bardziej przestronne niż pokoiki przeznaczone dla przedwojennych suchotników. Zastępstwo, które da więcej szczęścia niż oryginał, zamiana, co niesie obietnicę nowego życia – można nie ulec takim podszeptom?

Drewniaki wypalały się do fundamentów, nie było co gasić – fundamenty zarastały szybko, najspieszniej było klonom i akacjom. Obywatelskie nieposłuszeństwo drzew odnosiło skutek, magistrat miał tu stosunkowo mało do powiedzenia. Niekiedy, jeszcze po latach, w gęstwinie krzewów można się było natknąć na ocalałą komórkę, skleconą z surowych desek, nie na tyle przegniłą, żeby się zapadła, albo na wychodek, z wyciętym sercem nad uchylonymi drzwiami – ocalał od ognia, otoczony liśćmi ogromnych łopianów, krzakami bzu albo akacji, albo śnieguliczek. Haczyk dyndał na drzwiach, jak gdyby otworzono je przed chwilą.

W regionach od centrum oddalonych, tam gdzie lokalna onomastyka zdradzała potrzeby bardziej wysmakowane – od strony Reymonta i Żeromskiego, Krasińskiego i Orzeszkowej, po Fredry i Reja, na dobrą sprawę aż do samych

torów – przechowało się kilka murowanych willi. Jedna miała długie pionowo stojące okna, druga ekscytująco zaokrąglone kanty. A niektóre z owych literackich ulic, ulic pozbawionych chodników, pociemniałych od trawy i zarośli, leżały jeszcze głębiej, w prawdziwie leśnym Śródborowie.

Tam inaczej, z powodu wysokich pni sosen pokrytych jasną korą, układało się światło. Powietrze miało inny odcień, a suche gałązki trzaskały pod nogami, zanim człowiek zdążył na nich stanąć. Tam wejścia pilnowały otwarte na przestrzał i pozbawione domów kamienne furtki, od których szary tynk odpadał bez pośpiechu, na modłę tak karygodnie nieprzemysłaną, że trudno byłoby się domyślić, kto w domach mieszkał i nie bez życzliwości traktował nadal krzewiące się na posesji dzikie róże. Nawet gdyby komu chciało się domyślać. Przestrzeń zaś, pozbawioną małostkowego podziału na długość i szerokość, definiowały cienie drzew, czasem już ściętych drzew, a na wysokość naprowadzały przechodnia korony drzew, choć myśmy wysokość nazywali raczej górą – z górą przynajmniej wiadomo było, co robić.

Łatwo przychodziło nam przegapić tę niepozorną odmienność między przestrzenią z jednej strony furtki, a przestrzenią z drugiej, między obszarem, co do furtki prowadził i przy niej się kończył, a tym, który zaczynał się dopiero za nią. Nie trzeba było nawet stawać w przejściu, żeby stracić pewność, dokąd – z której strony na którą stronę – człowiek właściwie idzie. Musiała być jakaś różnica – świat z całą pewnością dzielił się tu na dwoje – choć wprawne oko też dostrzegało ją z niejakim trudem.

Konfuzję pogłębiały ubite między drzewami ścieżki, po których chłopcy w tę i z powrotem poganiali patykiem metalowe kółka, czasem nie nadążając za nimi. Znane były wypadki przyspieszeń i ucieczek kół. Logicznie wszystko trzymało się kupy: kółka podskakiwały na sterczących ze ścieżki korzeniach, przyspieszały gwałtownie, i tyle je widziano. Czy to możliwe, że gałązki trzaskały pod nimi, podczas gdy ja myślałem, że pode mną? Zastępowało się je nowymi obręczami od rowerów, od przerdzewiałych wózków, kołami wszelkiego rodzaju, które przejmowały obowiązki tamtych i wspierały chłopców, już to rzucających się w pościg za uciekinierami, już to w mig zapominających o nich. W cenie były żeliwne fajerki z palenisk domowych, popychane wykoślawionym w tym celu pogrzebaczem. Fajerki z racji swego ciężaru uciekały ze ścieżki rzadziej.

W handlowej dzielnicy miasta, w pobliżu Mysiej albo Kupieckiej, wegetacja była jeszcze bardziej chlerlawa niż pod płotem Przemka, lub zanikała całkowicie.

Latem sucho było na przylegającej do bazaru ulicy Odynieckiej, obok dorodnych brzoskwiń, rosnących na wyciągnięcie ręki za płotem u Pontkiewiczów, a nawet na wybetonowanych podwórkach Bazarowej, gdzie słońce tarabaniło w dachy, lecz na podwórko dochodziło z trudem.

Pyliście i sucho było też bliżej Przemka. Czy to za sprawą nowych bloków, czy może sporej kawiarni „Adria”, która mieściła się w jednym z nich, albo za jakąś jeszcze inną sprawą, o której się nie myślało, albo myślało dopiero dużo później, wygasłe albo wręcz wyschnięte okazywały się całe ulice. Wystarczyło nie dopilnować przestrzeni, nie przyjechać przez jakiś czas do domu, bądź uparczywie wracać ze stacji drogą okrężną, a długie przeloty kurczyły się nagle – wydawało się, że nagle – do formatu zaułków, którym odcięto wjazd lub wyjazd. „Weź szewca na Smolnej koło młyna – rzucił do mnie, niby to bez związku, kolega Sylwester Misiak, siny na twarzy, jak gdyby pijał jakiś niezdrowy specyfik już na śniadanie, a jednak okazało się, że rzucił jak najbardziej w związku, i nie dość że w związku, to w tej samej sprawie. – Idę przedwczoraj odebrać glany, a budy już tam nie ma”. Sylwek wracał w niedzielny poranek od miłych studentek ze stołecznego klubu „Medyk”.

Inne uliczki ginęły bez śladu, jeszcze inne, płacząc lokalne poczucie czasu i mieszając szyki przyjezdnym, zmieniały nazwę. Z wielu miejsc – obecni lokatorzy nie przyjmowali tego do wiadomości – na amen poznikali niedawni mieszkańcy, właściwie ginęli coraz intensywniej, coraz dogłębniej. A i drewniaki mieszkalne, którym z kilku stron dostawiano przybudówki lub odświeżano kolor, zmieniały się nie do poznania.

Asfalt płaszczył się w najlepsze w rozmaitych punktach miasta, gładko anonsując czas wielkiej wygody. Z wolna wypierał kocie łby, czasem wręcz kopał dołki pod kocimi łbami, te jednak nie dawały za wygraną i w różnych miejscach, bez wsparcia czynników administracyjnych, bezrozumnie podnosiły głowę. Na skuteczny bunt bruku było już za późno. Bruku ubywało, przerzedzono nawet imponująco zakrzewiony wokół liceum park ze stawem, gdzie wśród najnowszych prześwitów od strony Pułaskiego wymurowano muszlę koncertową, niepotrzebną, twierdzili pełni tupetu licealiści, nawet emerytom. A może to nie muszla, tylko wąskie ławki bez oparcia nie były dostatecznie zachęcające – nie wiem, nie powiem, nie siadałem.

W stawie tajemnicą przemiany, rok w rok dzieliły się zwinne kijanki, zbiorowo wystawione na widok publiczny – i rok w rok w wielkim sekrecie, i za ledwie parami, przyswajali ją sobie co bardziej wytrawni badacze. Zbadać gruntowniej nie dało się wszakże, w jaki to sposób sekret ów przeobrażał się

w tajemnicę poliszynela. Ograniczoność spekulacji naukowych nie zrażała aspirantów. Pomijam nieopierzonych licealistów. Ale i mocniej wprowadzeni w problematykę stosunków międzyludzkich studenci fakultetów humanistycznych – w chwilach najbardziej dotkliwego zmęczenia życiem – gotowi byli przyznać, iż smak nowych doświadczeń socjalnych, którego zdążyli zakosztować, a nawet słynne nauki psychoanalityczne, na które świat tak liczył, jedynie do pewnego stopnia spełniały pokładaną w nich nadzieję.

Ogrodzona z dwóch stron parkanem z desek i położona w środku miasta enklawa państwa Kociszewskich była z tych niespiesznych przemian nie tyle wyłączona, ile włączała się w stopniu umiarkowanym. W tym również zawierała się właściwa jej osobność, ale do tego się nie sprowadzała. Tuż za wjazdem przez zwykle otwartą za dnia bramę, obok wysokiej sosny i kantorku z napisem „Biuro”, który się mieścił z lewej strony podwórka, w ubitej ziemi do końca tkwiły kocie łby, choć na pytanie, co znaczy „do końca”, nie byłoby mi łatwo odpowiedzieć.

Idąc do Przemka wzdłuż Dzierżyńskiego od zbiegu Batorego i Matejki, mijało się po prawej kilka wczesnych, bodaj pierwszych w mieście, trzypiętrowych bloków – z dachem nie całkiem wprawdzie kopertowym, ale spłaszczonym nie tak jednowymiarowo jak w blokach stawianych później. Mijało się mleczarnię i piekarnię, dzielące między siebie jeden długi budynek, ciemnawo-żółty zawsze, nawet w deszcz; potem szkołę żydowską, stosownie wycofaną, między sosnami. Dwupiętrowy ów drewniak po wojnie przeistoczył się płynnie w szkołę dla dzieci opóźnionych, aż któregoś dnia pod wieczór spłonął. Na pożar dobiegłem z Romkiem Łosiewiczem, gdy drewniak się dopalał, a przy zwęglonym chlewiku szkolnym na prawym boku leżały obok siebie trzy upieczone prosiaki. Zapach ich ciał przebijał woń spalonych desek i osmalonych sosen.

Dalej mijało się skrzyżowanie z transformatorem i niepozorną Kozią, na której z ojcem i starszym bratem Romek mieszkał, a która po drugiej stronie jezdni zamieniała się w Zygmunta. Za domkiem Romka był jeszcze mniejszy i też drewniany domek praczki Zielińskiej. Za drewnianym parkanem miała maciorę z małymi, dwie kozy, psa na krótkim łańcuchu przy budzie i męża z podkreśnionym wąsem. Podwórko było zryte. Mąż się urywał i chodził w rozpiętej kamizelce spotykać się z kolegami u „Jarzábka”. Twarz mu purpurowiała. W narożnym domu na końcu Koziej, już przy ulicy Andriollego, mieszkał kumaty Mongoł z niezbyt kumatą siostrą, którą Mongoł krzywdził.

Za Kozią na Dzierżyńskiego była jeszcze pustawa z wyjątkiem dni dancin-
gowych „Adria”, zajmująca rozległy parter bloku mieszkalnego, a trochę dalej,
po przeciwległej stronie jezdni – budynek Ochotniczej Straży Pożarnej, który
znajdował się nieomal naprzeciwko bramy państwa Kociszewskich.

Ze Strażą związany ochotniczo był pan Longin, ojciec Przemka, właściciel –
być może mniej ochotniczo, nie miałbym śmiałości pytać – niewielkiego
składu materiałów budowlanych. Pod wiatą, przed jego maleńkim „Biurem”,
stały metalowe beczki z lepikiem do smarowania na zimno, a obok wsparte
o ścianę rolki pachnącej smołą papy. Był również lepik skawalony, do rozpusz-
czania w kotle i smarowania dachu na gorąco – przyjeżdżał w owiniętych tek-
sturą walcach. Odrąbywane siekierą bryły błyszcząły jak czarny plastik. I były
maty z trzciny, i suprema – płyty wiórowe, co zastąpiły gips i trzcinę, wtykane
wcześniej między dwie ściany szalunku, wewnętrzną i zewnętrzną, żeby było
cieplej. Z drugiej strony podwórka, prawie pod samym płotem, w dwóch pro-
stokątnych dołach lasowało się wapno.

Tuż za budynkiem Straży mieściła się kuźnia. Podwórko miała częściowo
wybrukowane i na tyle duże, że kiedy konie odczepiano do podkucia, fury
z dyszlem jednym końcem opartym o piach, z drugim sterczącym do góry,
czekały pod ślepą ścianą Straży i nie tarasowały wjazdu. O chwilę drogi da-
lej, przy Kolejowej – nazwa Powstańców Warszawy nigdy się nie przyjęła – na
małej części wielkiego wtorkowo-piątkowego targowiska stanęły handlowe
Pawilony, obleczone w użyteczny i wcale nieprzytłaczający kształt architek-
tury z lat, którym lekkości częściściej brakowało. Za czasów targowiska plac był
podbity brukiem, teraz w pobliżu Pawilonów stanęły ławki i rosła trawa i kilka
niedorżniętych sosen.

Na Pawilonach ulica Dzierżyńskiego się kończyła. W czasach późniejszych
przywrócono jej imię przedwojenne, Karczewska. Ów nazewniczy powrót,
zwrot czy zawrót, znaczący już sam z siebie, miał przy okazji zapowiadać zmia-
nę stosunków – na lepsze, wolno było sądzić – pomiędzy naszym mikroklima-
tycznym uzdrowiskiem a metropolią z nim sąsiadującą, od której Karczewska
bierze nazwę. Wzdłuż niej – aż do Karczewa i z powrotem – jeździła z przy-
stanku na Wawerskiej wąskotorowa ciuchcia, o której potem przepadł słuch.
Wagony skruszyła rdza, a mimo to, szydzili najgłębiej małoduszni mieszkańcy,
kościół ich nie przyjął.

Blok dłuższy i nowszy niż inne w okolicy stał po lewej stronie Dzierżyńskiego – naprzeciwko mleczarni, nim jeszcze dochodziło się do Straży. Mieszkała w nim młodsza o dobre kilka lat od nas Anka Filon z bardzo jasnymi włosami blond i starszym, ale też od nas młodszym, bardzo jasnoblond bratem Ryśkiem. Rodzice również tam mieszkali, ale nie znaliśmy ich, i zresztą obchodziliby nas mniej. Ta kilkuletnia młodszość Anki Filon miała do pewnej chwili spore znaczenie.

Dalej w kierunku handlowego śródmieścia – nie przy samej ulicy, ale trochę głębiej – znajdowała się „Jedynka”, której boisko dochodziło do rogu Letniej i Przewoskiej. Jej dyrektorem ciągle jeszcze był pan Scheiblet, postawny pan z dużą głową pozbawioną w zasadzie owłosienia i niewybijającą się na pierwszy plan centralną częścią ciała. Musiał być dyrektorem wyjątkowym, bo o „Jedynce” nawet ludzie niechętni takim tam Scheibletom mówili ledwie z przekąsem.

Przyjął mnie od razu do drugiej klasy, a wyrzucił ze szkoły dopiero w trzeciej, kiedy kawałkiem cegły rzuciłem z sadzonek w jadącą wzdłuż Poniatowskiego sukę milicyjną, po czym dałem się złapać. Matce, która przyszła do dyrektorskiego gabinetu na posłuchanie, odrywając się od pracy nad bilansem, złożył zwięzłą relację: „Stał tu i patrzył spode łba jak opryszek”. By unaocznic jej ową scenę, stanął pod ścianą z opuszczoną głową i patrzył ponuro. Był to podobno jeden z największych, o jakich słyszało miasto, triumfów jednego aktora. W tej szczegółowej kwestii moja bezstronna relacja i pełna empatii ocena w najmniejszym stopniu nie opierają się na notacjach Przemka.

W sadzonkach, obok szklarni Sałacińskich, rosły maślaki z białą błoną, popękaną frędzlowato na krawędziach, od spodu złote. Na młodego, stosownie dokarmionego reprezentanta szklarnianego rodu, mówiło się Sałata. Pewna obfitość fizyczna łączyła się w Sałacie w całość z jego umiarkowanym pragnieniem, a może tylko nieprzesadną skłonnością do wystowienia. Komenda też znajdowała się na Poniatowskiego, tyle że dalej w kierunku Śródborowa, w dużej przedwojennej willi o zaokrąglonych kantach ukrytej wśród wysokich sosen. Nawet trudne do przegapienia kraty w oknach, chroniące wysoki parter i suterенę, nie były w stanie zepsuć smutnej urody tego budynku i unieważnić niepojętej naturalności jego zakorzenia w lesie.

Do Przemka można też było wejść od położonej równolegle i nie mniej centralnie ulicy Andriollego, która nie miała nic wspólnego ze Strażą, kuźnią ani ciuchcią, lecz ocierała się o Kozią, Małpi Gaj i prowadziła do Starego

Bazaru – a nawet dalej, do przemienionej w budynek produkcyjny mykwy. Czerwonej cegły mykwy nigdy nie otynkowano. Deski parkanu od tamtej strony posesji Przemka – niechybnie z powodu przechodniów bardziej na Andriollego wścibskich i górujących wzrostem nad kurduplami chadzającymi od Karczewskiej – były odpowiednio wyższe i ułożone ściślej. Ale nad nimi, z najbardziej narożnego okna, Przemek i tak widział młyn – na Smolnej, na tyłach starej poczty – pod który za dnia podjeżdżały ciężarówki z ziarnem i odjeżdżały z mąką.

Niewykluczone, że to właśnie stamtąd, ode młyna, z pewnego rozprutego worka z mąką, w pewien sierpniowy wieczór, wydostała się bezszelestnie słynna stróżka ciszy. Do Dzierżyńskiego ze Smolnej nie miała daleko. Nie jest moim celem dezawuować prawdomówność doskonałego literacko Dziennika Przemka, ale bez względu na sugestię dochowania milczenia, zawarła w jego wiekopomnej metaforze, dalej milczeć w tej sprawie jest mi coraz trudniej. Młoda, i już wówczas doświadczona entomologicznie pracownica młyna, która z powodu skromnej w tamtym czasie pozycji w zakładzie pracy po dziś dzień pragnie zachować anonimowość, niejedną raz, z pewnością zdając sobie sprawę z nieprzyzwoitej sugestii, na jaką nas naraża, wskazywała nam ów rozpruty worek – palcem! Zadaniem przez wiele lat zbyt dla nas krępującym było podążyć za jej palcem choćby wzrokiem. Niemniej pokątnie mówi się o tej sprawie coraz częściej. Nie jestem pewien, jak powinienem się zachować, słyszałem bowiem od osób uważanych za godne zaufania, że sławna ćma była zwykłym molem zbożowym, któremu się poszczęściło, jednym z wielu we młynie, a Przemek w nocy mógł łatwo się pomylić.

Na Dzierżyńskiego ze Smolnej nie było daleko, czy to za dnia, czy w nocy. A ogólniejsza wygoda adresu brała się stąd, że można było umówić się u Przemka nawet późno. Wchodząc, uważało się tylko przez chwilę – podłoga przy drzwiach w kuchni skrzypiała, zwłaszcza słabsze deski pokryte wyświechtanym linoleum. Wchodziło się na palcach, a ostentacja wchodzenia na palcach stanowiła część rytuału, który nas łączył. Potem się drzwi zamykało i zażywało obecności. Czy słów rozmowy dałoby się dociec, nie wiem. Może nie tyle znaczeń, ile melodii – słyszałem z wiarygodnych źródeł, że melodia najważniejsza. Przemek nie musiał mówić wiele. Niespodziewanie wyjmował nowy zapis, a my omawialiśmy go w miarę wyczerpująco. Nazajutrz niezmiennie zaskakiwało nas, że w nocy czas też mija.

Na posesji państwa Kociszewskich naprzeciw domu Przemka stał drugi dom, krótszy, bez schodków, i przez to bardziej przysadzisty, także podłużny, jak całe podwórko – chyba jeszcze dom dziadków. Pan Longin przeniósł się tam po śmierci żony. Latem siadywał na ławce przed nim. Patrzył w kierunku otwartej bramy, a może tak się tylko wydawało z pewnej odległości. Gdy podchodziłem bliżej, uśmiechał się i odpowiadał „Dzień dobry, panie Piotрку” na moje „Dzień dobry panu”. Mówiono potem do mnie „Piotрку” i „Dzień dobry panu”, ale od tamtej pory nikt mnie nie witał owym szczególnym połączeniem dość szybko mówionych słów, będących świadectwem intymności i oddalenia. Czasami siedział z opuszczoną głową i zapierał się obiema rękami o deski ławki, jak gdyby chciał się odbić.

Staraliśmy się, jeżeli w tak delikatnej chwili wolno mi się odwołać do naszych starań, żeby pan Longin oderwał się od myśli, które go gnębią, lecz nieprofesjonalne nasze poszukiwania były mało skuteczne. Część niepowodzeń składam na karb niesnasek wśród specjalistów, do którychśmy się udawali. Przedstawiciele szkoły analitycznej, prowadzący cierpliwy nasłuch ludzkiej duszy, podejmowali głębinowe próby ustalenia, co też mogło być przyczyną jego zamyśleń. Może milczeli zbyt przeciągle, a może rozstrzygnięcia nie dało się uzyskać z powodu niewczesnej gry prowadzonej przez zwolenników raczkującej dopiero, ale już niechętniej swym wiedeńskim korzeniom, frakcji psychodynamicznej? Nie podejmuję się rozstrzygnąć. W obliczu owych frakcyjnych konfliktów pan Longin, jak zresztą należało się spodziewać, dumiał przed domem dalej.

Kantorek nie był już czynny. Przemek wystawiał drewniany stół i krzesło, i też siadał, choć razem ich tam siedzących przed obu domami naprzeciw siebie nie widziałem. W pełni lata na tak wyjściową okazję Przemek wkładał krótkie spodnie. Kiedy zakładał nogę na nogę, siedząc nieruchomo i wykwintnie zarazem, z lewym przedramieniem i dłonią ułożonymi na płask na okrągłym blacie, z kilkoma kartami Dziennika przesuniętymi ku prawej stronie stołu, odsłaniały się fragmenty jego nieopalonych ud i w słońcu lśniły ogromne jabłka jego kolan.

Na posesji nie ścięto potężnej sosny, od strony Karczewskiej, tuż za wjazdem, mimo że ona zawsze stała cokolwiek na zawadzie. Jak na taką samotnicę jej pień jest prawie pozbawiony konarów, a i korona puszy się niepewnie, dopiero na samej górze. I z daleka widać ją najlepiej, kiedy się patrzy do góry, na tle nieba. Na uporządkowanej i pustej posesji to chyba jej samodzielność stwarza

wrażenie, że w okolicy nie ma budynku, który by ją przerastał, tymczasem to nieprawda. Kora na wyższych partiach sosen, nawet całkiem młodych sosen, oddaje cząstkę światła, które na nią pada – szczególnie po południu, kiedy się tego światła zdąży opić – właściwie bez względu na porę roku. Trochę rzecz jasna zależy od prześwitu w chmurze i siły przebiecia słońca.

Źle mówię: ciągle jest jeszcze mały otynkowany domek, co nigdy nie służył do mieszkania, z jednym kamiennym schodkiem od ulicy, po lewej, tuż obok bramy. Kiedy mieścił się w nim sklepik spożywczy, śmietanę kupowało się z emaliowanego na jasnoniebiesko wiadra przykrytego szmatką. Krawędź wiadra, powleczona czarną farbą, tworzyła czarne koło, a pałąk z grubego drutu opierał się o bok wiadra drewnianą rączką. Można nią było pokręcić wokół drucianej osi jak krążkiem liczydła. Na czarnym obwodzie wiadra wisił zaczep aluminiowej kwaterki zatopionej w śmietanie. Uchwyt kwaterki też był z aluminium. Teraz jest tutaj Pracownia krawiecko-kuśnierska i można kupić dodatki krawieckie, suwaki, napy, taśmy, środki do pielęgnacji skór. Pracownia jest chyba nieczynna. Mogę sobie oczywiście sprawdzić, co to są napy, ale wolałbym móc zadzwonić z tym do Przemka.

JOACHIM SARTORIUS

Wiersze

w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego

Za Biblioteką Aleksandryjską

Na ścianie sali bilardowej
wciąż jeszcze ta tłusta plama od włosów
młodego mężczyzny z pośladkami akrobaty,
którego kochał poeta, i którego niewierność
miała dla niego nie większe znaczenie
niż kolumna Pompejusza.
Zazdrość to był pięciominutowy, brązowy,
znużony deszcz za zasłoną z paciorków, aleksandryjski
napad apatii podczas słabego wiatru
nad jeziorem Mereotis.
Którego krokodyl, teraz już mumia,
główna atrakcja gr.-rzym. Muzeum,
wyleguje się na swoim drewnianym łożu,
nadpsuta, złuszczone, rozpadająca się w kwaśny proch,
nierzeczywiście, niezniszczalnie.

Aleksandria

Siadał tam w głębi, przy tym marmurowym stole,
powiedział stary kelner, pod staroświeckimi wentylatorami,
które już wtedy z trudem wirowały
pod tym sufitem, ze stiukami w stylu Art Nouveau,
la vie était confortable: Stanley Beach,
Glymenopoulo, i uroczą
małą Zizinia, dzisiaj kino,
w której grano w sezonie Toskę,
Cyganerię i Lohengrina (najmocniejszą
rzecz Wagnera, jaką wówczas akceptowano
na południe od Neapolu). Tam siadał,
jeden z tych kilkudziesięciu tysięcy Greków
niedostrzegających pół miliona Egipcjan.
Żył w swojej wymyślonej Europie,
utknąwszy przy Strabonie: „najwspanialsze
emporium na zamieszkanym przez ludzi świecie”.
Teraz z kamienia i morza,
i z największego znużenia.

Aleksandria, bulwar Ramleh, 1903

Jak wyjaśnia napis ołówkiem na starej pocztówce,
déposé N° 10, Ramleh jest zarazem nazwą kąpieliska,
głównej ulicy w zamieszkaney przez obcokrajowców dzielnicy
i dworca, z którego odjeżdżają pociągi na wybrzeże.
Bulwar na pocztówce, w czerwonym kurzu
lekką przyspiesza w kierunku dworca
jakby w każdej chwili musiała być możliwa
ucieczka od letniego odrętwienia
nad morze, do Ramleh, do Aten.
Cała zatęchła nuda tej dzielnicy,
z której Carlo Mieli, producent kolorowej pocztówki,
nie zdawał sobie sprawy, jest znowu obecna:
apatia, bezwonna,

jak róża z woskowatego jedwabiu.
Gdzie podział się Orient? Pan Mieli bardzo się starał.
Z prawej strony, obok domów obcokrajowców
z ich białymi markizami i balkonami,
oraz figurynek na ulicy, za małych
by istotnie nie sprawiać wrażenia,
wstawił rotundę.
W tym kręgu widać Nubijkę z zasłoniętą twarzą,
mężczyznę w fezie i promiskuitycznego chłopca.
Pozują pod strzępiastymi liśćmi bananowca,
z nieruchomymi twarzami
rozpadającymi się pod lupą w brązowe punkty,
które mogą być wszystkim, czyli niczym
lub tylko roztrwonionym ciepłem ich ciał
o kolorze i twardości oliwki.
Spojrzenie jednak ciągle powraca
Do tego opustoszałego bulwaru, do tego ludzika
ubranego po europejsku, który przed dworcem
skręca w ciemny zaułek i idzie do samego końca,
być może Kawafis, wtedy czterdziestoletni,
choć wszystko przemawia przeciw temu, i wszystko
za odkryciem bliskości morza.

Wstępna rozmowa o fragmencie

„Ruini parlanti!”
Piranesi

Wnętrze przemawia do nas
Wyraźniej, niż te wrzeszczące
kohorty,
wciągające na linach ciosowe kamienie
w nieskończoność,
której jednakże nie ma.
Której nie ma:
Wieża pozostaje fragmentem,
ucichły krzyki,
serpentyny są wyrównane,
marne libretto.
Słyszysz?

Bab-ili? Niesłychane:
deszcz martwych piór.

Kawafis zaprzecza Senece

Jesteś jak kwiat, powiedział po niemiecku.
Mówił to każdemu. Nie chciał wierzyć,
że Aleksandria to jeden z tych darowanych
przez bogów burdeli, w których byliśmy
bezgranicznie wolni. W domu, przy Lepsiusa 7,
nie zapalał światła, by móc lepiej igrać
z *zakazanymi* wspomnieniami i obrazami.
Między kartkami starych książek
szukał twoich rzeź. Niekiedy
mówił do ciebie lub innego ze swoich gości:
Mam ochotę pójść do sypialni.
Ten akcent, lżejszy od żaluzji
do *jaalousie!* Unosił
duszny baldachim
białymi, wiotkimi, pięknymi rękami.
Patrz, co ze mną zrobili,
zdawał się mówić,
co na mnie
napisali. Weź to!

Od tłumacza

Joachim Sartorius urodził się 19 marca 1946 roku w Fürth. Syn zachodniemieckiego dyplomaty, uczęszczał do szkół w Tunezji, Kongo i Kamerunie, w roku 1963 zdał maturę w Bordeaux. W latach 1964–1971 studiował prawo w Monachium, Londynie, Strasburgu i Paryżu (od 1968 roku także politologię); doktor prawa (1973).

Dwanaście lat (1974–1986) spędził w służbie dyplomatycznej (Nowy Jork, Ankara, Nikozja), po czym zamieszkał w Berlinie, gdzie w latach 1986–1994 prowadził Berliński Program Artystyczny (Berliner Künstler Program des DAAD), później przez dwa lata pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych oraz berlińskim Senacie. Od roku 1996 był sekretarzem generalnym Instytutu Goethego w Monachium, a w latach 2001–2011 dyrektorem festiwalu Berliner Festspiele w Berlinie.

Poeta, tłumacz, eseista, edytor, animator życia artystycznego, poliglota, obywatel świata. Opublikował między innymi tomy wierszy: *Sage ich zu wem* (1988), *Der Tisch wird kalt* (1994), *Keiner gefriert anders* (1996), *In den ägyptischen Filmen* (2001, z posłowiem Ceesa Nootebooma), *Ich habe die Nacht* (2003), *Hôtel des Étrangers* (2008), *Für nichts und wieder alles* (2016).

W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych minionego wieku w berlińskiej gazecie „Die Tageszeitung” redagował kolumnę poezji światowej, z której powstała nawiązująca do słynnego *Muzeum poezji współczesnej* Hansa Magnusa Enzensbergera antologia *Atlas der Neuen Poesie* (1995). Redagował też trzy inne ważne antologie: *Poesie der Poesie* (1996, w *Roczniku liryki 1995/1996* Wydawnictwa C.H. Beck), *Minima poetica* (1999) i antologię poezji politycznej dwudziestego wieku *Niemals eine Atempause* (2014).

Tłumaczy przede wszystkim poetów amerykańskich (między innymi E.E. Cummingsa, Wallace Stevensa, Johna Ashbery’ego) oraz francuskich. Wspólnie z żoną, Karin Graf, przełożył tom *Patterson* Williama Carlosa Williamsa.

Edytor niemieckich wydań dzieł zebranych Malcolma Lowry’ego oraz Williama Carlosa Williamsa.

Koneser sztuki, autor wielu książek artystycznych powstałych we współpracy ze współczesnymi artystami; między innymi z Jamesem Lee Byarssem opublikował *The Golden Tower* (1992), z Nan Goldin album fotograficzno-poetycki *Vakat* (1993), z Horstem Antesem *Eins zu Eins* (również w roku 1993).

W Polsce niestety jest, jak dotąd, prawie nieznaną. W maju 1996 roku przyjechał do Poznania na spotkanie autorskie w Teatrze Ósmego Dnia; jesienią tegoż roku dwa jego wiersze: *Wstępna rozmowa o fragmencie* oraz *Kawafis zaprzecza Seneca* (w moim tłumaczeniu) opublikowała, poznańska „Gazeta Malarzy i Poetów”. Pozwalam je sobie teraz przypomnieć, bo to niszowe czasopismo nie jest łatwo dostępne w bibliotekach.

Ryszard Krynicki

JOSÉ ÁNGEL LEYVA

Wiersze

w przekładzie Krystyny Rodowskiej

Emigranci

Nie przedostali się tutaj drogą z tamtej strony
Przeszli górą by nie pobudzić
śpiących kolejarzy
którzy już zaliczają pierwsze metry piekła
Dalekim rajem pachnie w domu
gdzie nic do stracenia
oprócz głodu
Są tacy co się rodzą po to by się urodzić
lub zostać zabici albo duszę
oddają za paszport
Ojczyznę masz tam gdzie jest jutro

Niektórzy pielgrzymujący tracą życie by nie trafić
do więzień
Niewola nie pozwala dojść do celu
Nie stąpali po meksykańskiej ziemi
by dotrzeć do granicy
Przepłynęli w powietrzu bez wdychania
odoru śmierci
Nigdy tędy nie przeszli

Acrotiri*

Zabalsamowany w popiołach
czas ujawnia świeży obraz tamtych dni
W tych ruinach nie widać męczeństwa ni zgrozy
Jest pył głosów i splecionych ciał
Konwie i dzbany gdzie winny moszcz odcisnął
ślad fermentacji
Trzęsienia ziemi wstrząsy rude chmury
Ogień patroszy ziemię wrzące morze
Sceny wybiegają z siebie
Wpatrują się w nas ludzie z Acrotiri
w swym kąpielisku światła i równowagi

Postacie falując wychodzą z cienia
z nawleczonymi na sznurek rybami w rękach
nowe słońce nigdy się nie zmienia
skóra nietknięta i wilgoć w powietrzu
wynurzają się łodzie i ciała
w tej chwili

(z tomu *Tres cuartas partes*, 2012)

Poświęcenie

Jeżeli posadzisz w ziemi suchą gałąź
i będziesz ją podlewał codziennie
o tej samej porze i nie zaniedbasz obowiązku

odzyskasz zielen z pustki
Będziesz przyczyną
Będziesz załączkiem
Będziesz duszą pragnienia

(z tomu *Exorbitante*, 2016)

* Starożytne miasto na greckiej wyspie Santoryn, zniszczone przez wybuch wulkanu w siedemnastym wieku.

Nota

José Ángel Leyva (1958) – meksykański poeta, eseista, prozaik, wydawca, promotor literatury. W roku 1984 uzyskał dyplom lekarza na Wydziale Medycyny na Uniwersytecie w Durango, stolicy stanu, po czym zrezygnował z dalszej specjalizacji w psychiatrii, gdyż powołanie literackie okazało się silniejsze. Jak sam wspominał niedawno w którymś z licznych wywiadów: „Od dziecka byłem wyczulony na walor słowa, na jego siłę, ładunek emocjonalny, zdolność transformacji i transgresji... Poezja wykracza poza tego, kto ją uprawia... Kiełkuje na grobie zmarłych, prowadzi dialog z czasem”.

Po przybyciu do stolicy kraju, miasta Meksyk, zapisał się na studia na Wydziale Literatury i Filozofii, współpracując początkowo z wydawnictwami i pismami medycznymi. Wydał wiele zbiorów wierszy, w tym: *Botellas de sed* (*Butelki pragnienia*, 1988), *Catullo en el destierro* (*Katullus na wygnaniu*, 1993), *Entresueños* (*Międzysny*, 1996), *El Espinazo del diablo* (*Diabelski Grzbiet*, 1998), *Nombres del deseo* (*Imiona pożądania*, 2000), *Durangueraños* (2007), *La eternidad no es tiempo* (*Wieczność nie jest czasem*, 2009), *Habitantes* (*Breve antología personal*) – [*Habitantes* (*Krótką antologią osobistą*)], 2010), *Tres cuartas partes* (*Trzy czwarte*, 2012).

Poezja Leyvy, ambitna pod względem poznawczym i artystycznym, wyróżnia się na tle dokonań rówieśników energią werbalną, innowacyjnością języka, który powołuje niekiedy do życia ekspresyjne, przetłumaczalne jedynie w sposób omowny zbitki słów, takie jak choćby w tytule tomu *Habitantes* czy *Durangueraños*. Jeden z krytyków nazwał Leyvę „zwierzęciem etycznym”, konsekwentnym wyrazicielem niezgody na kształt latynoamerykańskiej i meksykańskiej rzeczywistości, kontynuującym linię poezji takich poetów starszych pokoleń, jak Eduardo Lizalde i José Emilio Pacheco. Mimo wielości rejestrów tematycznych i formalnych w poszczególnych tomach, głos tego poety i jego język są wyraziste i rozpoznawalne. Otrzymał kilka prestiżowych nagród państwowych, w tym za poziom uprawianej publicystyki kulturalnej.

W latach 1997–2007, wespół z poetą José Vicente Anayą, redagował prestiżowy dwumiesięcznik literacki „Alforja” („Sakiewka”), poświęcony prezentowaniu twórczości poetyckiej całego kontynentu. Od kilku lat Leyva wydaje samodzielnie miesięcznik „La Otra” („Inne”), także w postaci elektronicznej, nastawiony na prezentację poezji światowej. Jest również autorem monumentalnej inicjatywy wydawniczej o istotnym znaczeniu dla poezji Ameryki Łacińskiej: w roku 2000 ukazał się tom *Versoconverso* (*Wiersz przy wierszu*), w 2002

roku – *Versos comunicantes I (Wiersze w połączeniu)*, w 2005 roku – *Versos comunicantes II*, a w 2008 roku – *Versos comunicantes III*. Są to cztery grube tomy wywiadów z poetami latynoamerykańskimi, przeprowadzonych przez znanych poetów i niekiedy krytyków, w większości przypadków przez samego Leyvę, który dzięki tym publikacjom zasłużył na miano jednego z najwybitniejszych i najbardziej czynnych współczesnych intelektualistów meksykańskich.

José Ángel Leyva jest także autorem powieści *La noche del jabalí (Noc dzika)*, 2002) oraz kilku znakomitych opowiadań, w których ostrość spojrzenia na rzeczywiste problemy nurtujące współczesny Meksyk idzie w parze z onirycznym wymiarem opowiadanych historii. Leyva to także gruntownie obeznany z literaturą światową, wytrawny eseista.

Poezje José Ángela Leyvy zostały przetłumaczone na język angielski, francuski, portugalski, włoski, rumuński, bułgarski i grecki.

Krystyna Rodowska

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Thorn (6)*

W domu Rotha wszystko było urządzone na jego modłę. Mohl od chwili wejścia z dużą uwagą i skupieniem, tak jakby nie był Mohlem, a jakąś jego ulepszoną wersją, chłonał to, co go tu otoczyło i w czego znalazł się środku. Chłonał dźwięki i wszystko, co zachodziło w pobliżu, a także nie w pobliżu, nieco dalej i dalej, w pokojach obok, nad nim i na zewnątrz, za ścianami i za oknami, w świecie zewnętrznym.

Z szeroko otwartymi lub zmrużonymi oczami przypatrywał się grze światła i cieni, chłonał zapachy i przyglądał się przedmiotom, które wypełniały wnętrze. Nie było ich dużo, ale wszystkie były w jakiś sposób charakterystyczne, w jednym stylu.

Ten dom pobudzał jego zmysły i trzymał je w napięciu. Jednak Mohl w tej sieci nie czuł się dobrze, mimo że doświadczał w niej przyjemnych chwil.

Starał się odczuć jego rytm, ale było to trudne i chyba niemożliwe. Mroczne i zawile było jego tło. Na przykład trudno było znaleźć w nim zależności między jednym a drugim, nie mówiąc o trzecim, czwartym czy piątym, cokolwiek by to nie było.

I to poczucie, a właściwie pewność, że jest widziany, istniejący w odbiciach, powtórkach i prześwitach, cieniach, blaskach, migotaniach, znikaniach i pojawieniach. Może sprawiały to lustra, które były tu rozwieszane i ustawione, a może rodzaj oświetlenia.

Słyszał ruch, ktoś wchodził i wychodził, poruszał się w środku i na zewnątrz, za drzwiami lub u góry, nad sufitem, a także pod podłogą, na dole, gdzie było słyhać szum jeżdżących samochodów. Może Roth był u góry,

* Kolejny fragment powieści, której poprzednie ukazały się w „Kwartalniku Artystycznym” w numerach 58, 70, 75, 80 i 84.

a może gdzieś tu, za ścianami i drzwiami i Mohl się z tym liczył, ale był w takiej izolacji, że nie było to dla niego aż tak ważne, czy Roth był w domu, czy był w nim nieobecny, chociaż nie można powiedzieć, że go to nie obchodziło.

Przeszedł się po pokojach, zajrzał do łazienki i kuchni, uchylił zasłony, żeby zobaczyć, co jest za oknem w jednym, drugim i trzecim pokoju, patrzył na drzewa, krzewy, grządki i rabaty, na wieżę, dzwonnice i mury kościoła i klasztoru, na chodniki i chodzących po nich ludzi i na jezdnię, po której przesuwały się w jedną i w drugą stronę samochody.

Chodził tam i z powrotem, od kuchni do końca przedpokoju i ostatniego pokoju w amfildzie i znowu w stronę kuchni, w tej szarej poświacie, w której ciągle jeszcze czuł się dobrze, a nawet bardzo dobrze, tak był do niej przyzwyczajony, zżyty z nią, czy przesiąknięty. Nie czuł się jak u siebie, ale nie czuł się jak ktoś obcy, na tyle było to dla niego ciekawe, co obojętne.

Otworzyły się drzwi i weszła pokojówka podobna do dwóch poprzednich i podobnie do nich ubrana, ale o innym kolorze włosów, szatynka. I tak jak one kręciła się po pokoju, przyglądała się meblom, ścianom i oknom, które były szczelnie zasłonięte, patrzyła na dywan, podłogę i lustrowała kąty, ale Mohl czuł, że czeka na jego odezwanie lub znak. Usiadł za stołem i patrzył na drzwi i na blat, skrępowany jej obecnością i tymczasowością sytuacji, która była jakby w niczym nieumocowana, chociaż zarysowana wyraziście i jasno określona.

Jej kręcenie się, krzątanie, patczenie i czekanie stawiały Mohla jakby w innym świetle, to znaczy, rzucały na niego jakieś nowe blaski lub błyski. Czuł niepokój, jakby wirowały w nim obce cząstki i stawał się kimś innym, niż był w rzeczywistości. Ale jaki rzeczywiście był Mohl?

Czy oświetlenie z różnych stron oświetlało także i innych? To tak jak z wyglądem czy z tożsamością. Bo jaki jest prawdziwy wygląd pojedynczego człowieka? Taki, jaki był, będąc dzieciątkiem lub dzieckiem, a może młodzieńcem wkraczającym w życie, czy, jeszcze lepiej, człowiekiem w średnim wieku lub człowiekiem dojrzałym, nie mówiąc już o starości, czyli takim, jakim się jest na końcu, jeżeli się dożyje. Podobnie jest z tożsamością. Czy wiadomo, która z nich jest prawdziwa i główna?

Nie da się zsumować wyglądom, tak jak nie da się zsumować tożsamości. Tak bardzo są zmienne, w ruchu, w kształtowaniu się, przygotowywaniu i modyfikacjach.

Na przykład Roth raz mógł wydawać się wysoki, a raz niski lub średniego wzrostu, raz tęgi, raz chuderlawy, a raz w sam raz, raz blade, a raz rumiany lub opalony, raz wyprostowany jak struna, a raz przygarbiony czy pochylony, raz szybki, a raz wolny, raz taki, raz inny. Zmieniał fryzurę, zapuszczał brodę oraz wąsy, nosił okulary, ubierał się w różny sposób i różnie się zachowywał, nie było wiadomo, co potrafi, w danej chwili, i na co się trafi. I nie było jasne, od czego to zależało.

Także jego głos był zmienny, raz czysty i jasny, a raz przytłumiony i zachrypnięty, raz radosny, raz smutny lub w ogóle beznamiętny, matowy, raz głośny, a raz cichy, raz rozbrzmiewający z wigorem i przejściem, a raz bez wigoru i bez przejścia. Te transformacje czy metamorfozy Rotha miały głównie naturę zewnętrzną, przynajmniej takie odnosiło się wrażenie i Mohl nie tyle je obserwował i analizował, co zauważał i kwitował, że są.

Był już zmęczony tym kołowrotem i korowodem, który tu go przyprowadził, czekaniem i nasłuchiowaniem, milczeniem i mówieniem, wpatrywaniem się i wypatrywaniem, czujnością i obojętnością, bo mimo wszystko obojętnością, tym rodzajem podniecenia i jałowości tego wszystkiego, przelotnością i tymczasowością, i dziwnym rodzajem pustki.

Za oknem dymy i mgły mieszały się ze sobą, wiał wiatr i kłębił je, ale i rozredzał i w końcu rozwiewał, na cztery strony świata. Na szybach odbijały się lśnienia, błyski latarni i reflektory przejeżdżających samochodów, a za wieżami i murami franciszkanów była ciemność, głęboka i złowroga, a w niej inne lśnienia, błyski i szarość, bo jednak szarość, niezależnie od tego, co by z niej miało wynikać.

Czy czegoś pan potrzebuje? – zapytała. Dziękuję, odpowiedział. Pan Roth prosił, żebym przekazała, że dziś nie może przyjść, musiał wyjechać, ale przyjdzie jutro. Dobrze, zobaczymy się jutro, powiedział Mohl. Łóżko jest w pokoju obok, a w tym po drugiej stronie jest komputer i telewizor. Na końcu przedpokoju jest wejście do łazienki i do kuchni, w której jest jedzenie. Gdyby czegoś

pan potrzebował, to proszę zadzwonić pod numer 2 lub 3. Dziękuję, powiedział Mohl, bardzo dobrze jest tu wszystko urządzone i ustalone, na jedną modłę. Powiedziała do widzenia i uśmiechając się, zniknęła za drzwiami.

Zatęsknił za Thornem, za jego głosem i jego słowami, szczególnie tymi, które dotyczyły jego małego świata. A mały świat Mohla to słowa, rozwój i matka, tak by to chyba można było w skrócie streścić.

Stary Thorn i jego dobre słowa, które znał od dziecka. Lubił je słuchać, przenikały do jego głowy i ducha i były w nim i z nim, na dobre i na złe. Thorn je ożywiał, wprowadzał w ruch i jakby precyzował. Mohl wiedział, że są prawdziwe i doświadczał je na sobie.

Inaczej było z Rothem. Nie raz zasypywał Mohla słowami, jakby chciał go w nich zatopić czy pogrążyć.

Ale co Roth miał do powiedzenia na temat małego świata Mohla? Niewiele. Co wiedział o siłach, które kierowały Mohlem, co mógł wiedzieć więcej od Thornia? Rewiry Rotha nie były rewirami Thornia, tak jak rewiry Thornia nie były rewirami Rotha. Roth zanikał w świetle, które świeciło w świetle Thornia, ale Thorn nie zanikał w ciemnościach świata Rotha.

Dla innych słowa Rotha mogły być ważne, a nawet najważniejsze, i takimi dla nich były, ale nie dla Mohla. On nie był nastawiony na szybkie korzyści i zysk, jasno rozróżniał dobro od zła, cokolwiek by one dla tamtych nie znaczyły. Według nich wchodzenie w pakt ze złym nie było czymś złym, jeżeli przynosiło korzyści i zysk. I nie o to chodziło, że tamci nie chcieli czy nie mogli zbliżyć się do Thornia, bo może by i chcieli i mogli, gdyby dawało to im jakiś zysk, nie mieliby większych wahań czy zahamowań. Zresztą rozróżnienia Mohla nie były ani tak czyste, ani tak jasne, jak by się to na pierwszy rzut oka wydawało.

Niekiedy zdumiewał go ich impet i determinacja, ten pęd skierowany w jedną stronę, bo on nie miał takiej determinacji jak oni, u niego była inna determinacja, która nie była zaślepieniem, ale światłem.

Przeszedł do pokoju sypialnego, zasnął szybko i spał twardym snem bez snów.

Obudził go ruch na dole i na górze, ktoś schodził i wchodził, chodził, wychodził i przychodził, słychać było kroki, a z ulicy dobiegał szum przejeżdżających samochodów.

Pojawiły się pokojówki, najpierw jedna, potem druga i trzecia. Kręciły się na piętrze i na górze, ustawiały, porządkowały i jakby czekały na jego odezwanie lub znak.

Miał mieszane uczucia. Był Rothowi wdzięczny, że wyciągnął go z fatalnej sytuacji, zaprosił do siebie i zaproponował pomoc, ale czuł się tu jakby był uwięziony, w potrzasku. Może i była to ciekawa sytuacja, z widokami na miłe przeżycia, ale, tak to odczuwał, była zamknięta czy zatrzaśnięta, bez wyjścia.

Dziwną cechą Mohla było to, że skoncentrowany na sobie i na uwadze skierowanej na niego, nawet tej najmniejszej i przelotnej, nie interesował się, w wystarczającym stopniu, tym, co działo się wokół niego. A przecież wokół niego działo się wiele rzeczy, także ważnych, na które powinien zwracać uwagę.

Nietrudno byłoby go usprawiedliwić. Gdyby zastanowić się nad jego obroną, to pewnie łatwo zebrałoby się sporo argumentów. Ale czy Mohl potrzebował usprawiedliwienia? Nawet jemu nie przychodziło to do głowy, choć przecież snuł serie różnych hipotez i hipostaz, także i na ten temat.

Tak jak wielu, poruszał się w ograniczonym polu możliwości. I raczej był stały w swoich wyborach, w akceptacjach i niechęciach. To nie było tak, że nagle coś traciło dla niego znaczenie, a potem nagle je odzyskiwało. Jeżeli już zaistniało, w jakiejś kategorii, to w niej zostawało. Zmieniało się, raz było na pierwszym planie, raz na drugim czy dalszym, ale już nie było przesuwane do innej kategorii. Mógł o tym nie mówić ani nie myśleć, ale to było i wiedział, że jest, na pierwszym, drugim lub jakimś dalszym planie. Jak raz coś uzyskiwało znaczenie, to już tak zostawało, na swoim lub nie swoim miejscu. To samo dotyczyło osób.

Zdarzały się dłuższe lub krótsze przestoje, różnego rodzaju opóźnienia i zawieszenia, a nawet odkładanie do lamusa, ale potem to jednak wracało.

Na przykład nigdy nie myślał, że będzie z kimś utrzymywał kontakty i czekał na to lub przygotowywał się do tego. Jeżeli chciał mieć z kimś kontakt, to go prędzej lub później miał, choć na początku rozgrywało się to w jego głowie i w sercu, wśród emocji, a nawet uczuć, i w świadomości, gdziekolwiek by tego nie lokować.

A jak z kimś nie chciał mieć kontaktu, to go nie miał i nie było z tym większego problemu. Nie było to proste i łatwe, bo przecież musiał mieć kontakty z ludźmi, z którymi nie chciał ich mieć, ale i tak rozgrywał to na zimno i przy jak najmniejszych stratach.

Jakie były jego bezpośrednie kontakty, praktycznie zależało tylko od niego. Nigdy nie wchodził w nie z kimś, z kim nie chciał, chociaż i tu zdarzały się zaskoczenia. Nie był skałą, o tak, a jeżeli był, to raczej w najmniejszym sensie tego sformułowania.

Jedynym wyjątkiem był Thorn i tak było od początku. Thorn był jak skała.

Było też tak, że był z kimś w bezpośrednim kontakcie, gasł płomień i zaczynał się czas kontaktów pośrednich. I odwrotnie: był z kimś w kontaktach pośrednich, zapalał się płomień i zaczynał się czas kontaktów bezpośrednich, do pory, rzecz jasna, do czasu.

Różne zdarzały się rozejścia i okoliczności, bo gdy wygasał płomień w sercu Mohla, nie znaczyło to przecież, że automatycznie wygasał w sercu tego kogoś, z kim był w bezpośrednim kontakcie. I odwrotnie, wygasał płomień u tego kogoś, a u niego nie, na przykład tak było z Marią, ale to inna historia i nie ma co do niej wracać.

Te zmiany nie dotyczyły rodziny, chociaż i tu zdarzały się wyjątki i zwroty sytuacji, mniejsze lub większe, nawet rozejścia. Niełatwo było być z Mohlem w bezpośrednim kontakcie.

Jednak z Thornem to trwało. Thorn pochodził z Litwy, z tych pięknych i legendarnych okolic, chociaż Mohl nie wiedział, czy bliższych, powiedzmy z okolic Pilwiszek, czy z dalszych, położonych bardziej na północ lub na wschód, na przykład z Laudy. Wiedział, że w młodości mieszkał w Wilnie.

Była to szlachetna rodzina, chociaż zdarzały się w niej ciemne i mroczne wydarzenia, co można było sprawdzić w genealogii. Niejasna też była biografia Thorna, z wieloma lukami, przerwami i tajemnicami, które i tak były już nie do odkrycia.

A gdzie urodził się Roth i jaka była jego rodzina? Mohl wiedział, że wywodził się z Pomorza, choć nie było to jasne, bo może były to Kujawy lub pogranicze Pomorza i Kujaw, niełatwe to było do ustalenia.

Rodzina? Mohl właściwie nic nie wiedział na ten temat.

Wydawało się, że jest jasny w swoich słowach i uczynkach, starał się być jasny, takie odnosiło się wrażenie, ale jednak był po stronie ciemności, tak się widziało.

I chociaż, jak bywa w przyrodzie i wśród ludzi, że to co ciemne rozjaśnia się i jaśniej, a to co jasne zaciemnia się i ciemnieje, to Thorn i Roth, niewzruszenie, trwali w swoich strefach, jeden w strefie światła i drugi, zamaskowany, w strefie ciemności, jakby byli w nich uwięzieni, albo do nich przypisani.

Przybywało im lat i niezmiennie istnieli tak, jeden w swoim świecie, drugi w swoim, chociaż przecież był to jeden wspólny świat, bo jaki miał być inny.

Ale ich istnienie nie było paralelne czy równoległe, bo to jednak Roth, tak diametralnie różny od Thorna, przynależał do jego świata, a nie odwrotnie, nawet w choćby tylko najmniejszej części. Tak jakby kiedyś, w dalekiej przeszłości, był w jakiś sposób podobny do Thorna, miał w sobie jego cząstkę, czy nawet cząstki, dziwna to była mieszanina.

To, co jasne, było jasne, a to, co ciemne, było ciemne i chociaż nie raz mieszało się ze sobą i w jakiś przedziwny sposób siebie dopełniało, to i tak jasne było jasne, a ciemne było ciemne i niemożliwe było, żeby tego nie rozróżnić, tak jak nie można nie rozróżnić światła od ciemności, dnia od nocy czy białego od czarnego.

Obaj byli ludźmi, bo jednak byli nimi, i działali według jednego nadrzędnego prawa, chociaż tu, na ziemi, było tak, że jeden miał swoje prawodawstwo, a drugi swoje.

Najpierw szli jedną drogą, ale mogło się wydawać, że to już od początku są dwie różne drogi, i, rzeczywiście, każdy poszedł swoją, chociaż może była jedna, nie jest to niemożliwe.

I jeden, i drugi mówił jakby pod dyktando. Thorn mówił uroczyście, ale posługiwał się zwykłym, potocznym językiem, chociaż lubił też gry słów, zagadki, repetycje i refreny, w różnych ich rodzajach, a niekiedy używał symboli, metafor, alegorii i przypowieści. Miał dziwną, jakby sztuczną, ale w sumie jednak naturalną dla niego składnię, lubował się w elipsach, dysonansach, asonansach i aporiach. Starannie też komponował opowieści, a w wypowiedziach i w rozmowach dążył do skrótu, jakby bardzo cenił słowa i swoje ich używanie.

U Rotha wszystko to było wywrócone na opak, lubił mówić i mówił, ile się dało, ale potrafił być, jeśli było trzeba, bardzo powściągliwy i wtedy mówił niewiele, milczał, jeśli uznał, że nadmiar słów może kogoś zniechęcić lub spłoszyć.

Godziny posiłków w domu Rotha nie były ściśle ustalone, chociaż jednak były ustalone, dla porządku. Lodówka była świetnie zaopatrzona, znajdowały się w niej ryby, sery, oleje, warzywa, owoce, masło, twaróg, jajka, mleko, śmietana, jogurt, kefir, maślanka, miód, czekolada, marcepan, chałwa, i soki, a w szufladzie chleb, pumpernikiel, maca, biszkopty i biskwity. Nie było większych zapasów, może były przechowywane w spiżarni, do której drzwi były zamknięte.

Co pił i jadł Roth? Jak wyglądało jego dwadzieścia jeden posiłków w tygodniu, bo mniej więcej tyle przypadało na ten czas. Co pił i jadł rano? Co w dzień? I co wieczorem? Jakich używał sztućców? Jakiej zastawy? Kto mu podawał i kto z nim zasiadał przy stole?

Dla Mohla były to niedocieczone sprawy, tak jak i wiele innych, które dotyczyły Rotha i jego domostwa.

Zdumiewała czystość, która panowała w pokojach, w kuchni i w łazience, ale przecież były trzy pokojówki, a nie wiadomo, czy ktoś jeszcze nie przychodził, do pomocy.

I czuło się chłód, a nawet zimno, jak na wymagania i przyzwyczajenia Mohla. Klimatyzacja była włączona, ale Mohl nie potrafił jej obsługiwać. W gabinecie żarzył się kominek, w którym dogorywało palenisko z jarzącym się popiołem pięknej szarej barwy.

Zegary rytmicznie wymierzały czas. Wszystko było tu płynne, jakby do tego upływającego czasu przypisane, a jednocześnie znajdujące się poza nim, nieprzypisane do niego i nieodnoszące się do niego i do siebie, niepowiązane, luźne i jakby pełne dysonansów, w kontrze, chociaż przecież świetnie do siebie pasujące i komponujące się, na swoją modłę.

Roth był odpowiedzialny za całe to urządzenie i jakby nie był. Jeżeli nie był, to czy miał pełną wiedzę na temat tego, co się w jego domu dzieje, kto i co się w nim znajduje? I czy miał na to wszystko wpływ, a jeżeli tak, to czy był to wpływ nieustanny i wyłączny, czy nie?

Czego dotyczyła jego praca? Pisał różne rzeczy na zamówienie i nie na zamówienie, od poniedziałku do czwartku, było wiadomo tyle. W niedziele nie pracował i prawie cały czas był poza domem, także w soboty nie pracował, ale w te dni nie ruszał się z miejsca. Jakie były między tym zależności, można było tylko się domyślać.

Eksperymentował z satyrą, także z fantastyką, napisał kilka czy kilkanaście bajek, kilkanaście czy kilkadziesiąt opowiadań i kilka opowieści, pisał eseje i recenzje, zajmował się też publicystyką i dziennikarstwem.

„Zmieniając życie w historie, a historie w życie: tak się nazywa podwójna gra Rotha”, napisał o nim jakiś krytyk i Mohlowi wydało się to trafne, na ile znał jego pisarskie dokonania.

Raz po raz odzywał się dzwonek z dołu, bo chyba z dołu, rozbrzmiewał cicho i w oddali, dzyń, dzyń, dzyń i milknął, nie sposób było go nie słyszeć.

Mieć do kogoś dostęp, a zbliżyć się do kogoś to są dwie różne sprawy. Mohl miał dostęp do Rotha, ale nigdy do niego się nie zbliżył, przynajmniej na dłużej. I Roth miał dostęp do Mohla, nie raz niemal bezpośredni i nie raz próbował się do niego zbliżyć, w kolejnych podejściach, czy natarciach. A teraz miał go na wyciągnięcie ręki, jakby już zapędzonego w swój róg.

Czy można było powiedzieć, że Mohl był jak glina w ręku Thorna? Nie, tego jednak nie można było powiedzieć. A czy był jak glina w ręku Rotha? Nie, tym bardziej nie.

Otworzył drzwi, wszedł do gabinetu i zobaczył Rotha. Siedział nieruchomo w ciemności, jakby się w nią wpatrywał. Mohl chciał się wycofać, ale usłyszał: Wejdz. Zasłony były szczelnie zasunięte i cicho pracował klimatyzator. Usiadł w fotelu naprzeciw niego, tyłem do kominka, w którym żarzył się szary popiół. Kiedyś go rozpałałem i bardzo mi się to podobało, ale okazało się, że cały czas muszę zajmować się ogniem, więc przestałem, powiedział. Można ogrzewać klimatyzatorem, powiedział Mohl. No tak, odpowiedział, ale to już nie jest to, żywy ogień ma specjalne właściwości.

Na kominku i na półkach stały stare wyblakłe fotografie przedstawiające kolejne pokolenia Rothów – dziadków, rodziców, braci i siostry, bo chyba byli to jego bracia i siostry, a także jego samego w młodości, i jeszcze kilka innych, spoza rodziny. Obok nich leżały kamienie i stały drewniane figurki oraz przedmioty z wosku: ule i baranki z wystającymi knotami.

Półki zapełniały równo poustawiane różnej wielkości i grubości książki, których autorów i tytułów nie było widać, ale Mohl już wcześniej zauważył wśród nich Savonarolę, Lutra, Loyolę, Kyda, Marlowe'a i Miliona, Swedenborga, Blake'a, Lichtenberga, Hölderlina i Kleista, Gogola, Gonczarowa, Hamsuna, Pounda i Heideggera.

Wszystko już jest załatwione, powiedział Roth. Mieli donos, swoich informatorów w środku, wpadka była nie do uniknięcia. Zrobili z ciebie kozła ofiarnego, wrzucili jako winnego, a ty się na to zgodziłeś. Mogło potoczyć się fatalnie, tym bardziej że wzięłeś na siebie całą winę. Mogli cię szantażować, zagrozić wyrzuceniem ze studiów, zamknąć, oskarżyć albo zrobić swoim współpracownikiem.

Słowa Rotha punktowały i niepokoiły, zamykały i jakby otwierały, na nowe możliwości. Rozszerzały i ograniczały pole widzenia, a przynajmniej tak się wydawało, że rozszerzają i ograniczają, jednocześnie. Mohl widział tyle, ile widział, ale wiedział, że jest to, w każdym wypadku, niewiele i nie może na tym polegać, w wystarczający sposób.

Przychodzimy w ekstremum i w ekstremum odchodzimy, powiedział Roth. I Mohl poczuł się tak, jakby był wrzucony w głębinę, umieszczony w obcym i wrogim wnętrzu, w środku ciemności, między jawą a snem, w dziwnej trzeciej rzeczywistości.

Udawał? Ale przed kim?

Przed samym sobą?

A może ciągle był komuś potrzebny?

Komu?

Czy sen niekiedy nie jest rzeczywistością bardziej rzeczywistą od jawy? Czy nie jest jej ukrytą stroną, zwiastunem lub przepowiednią?

Tak jakby jednocześnie był na jednym i na drugim brzegu, po stronie Thorny i po stronie Rotha. Tam, gdzie czuł się jak ryba w wodzie, i tu, gdzie był jak ryba na piasku.

Jak w pismach, do których kierował go Thorn i w których znajdował to, co było dla niego najważniejsze i o czym potem mógł mówić własnymi słowami, na swój sposób i w tekstach, które podsuwał mu Roth i które, atrakcyjne i fascynujące, na dłuższą metę jednak ograniczały jego możliwości, wyprowadzały na manowce, kierowały w koleiny i prędkiej czy później czuł się w nich jak w klatce, zatrzaśnięty na amen lub jak na pozornie dalekim wybiegu, z którego, okazywało się, nie było żadnego wyjścia. Te teksty rozbijały i unicestwiały ducha, chociaż same nie podlegały rozbiciu i jakby wzmacniały się między sobą, przez swoją dziwną moc.

W pismach Thorna zniszczenie czy unicestwienie w ogóle nie wchodziły w grę, były niemożliwe, takie tam panowały siły i moce. Sprawiały, że Mohl nawet w największych szczątkach, w jakiejś okropnej i pogrążającej miazdze, z której już jakby nic lub prawie nic nie wynikało, ciągle był człowiekiem wolnym i żywym duchem, mimo wszystko.

Bo jednak wszystko jest kwestią ducha, nie wynalazków, nie materii. Tak jest od początku świata.

Rotha już nie było w środku. Jakby rozplynął się i zniknął za drzwiami.

A ciemność gęstniała i zagęszczała się, najpierw redukując to, co było mniej ciemne, a potem likwidując, aż do ostatniej drobiny, do gęstej, nieprzeniknionej czerni, która była jak smoła, chociaż sprawiała wrażenie lekkiej czy nawet powierzchniowej.

Wszystko stało się jednolicie ciemne i można by powiedzieć, że nieprzeniknione, gdyby Mohl nie zdawał sobie sprawy z tego, że za tą ciemnością są ściany, podłoga, sufit, drzwi, kominek, meble, książki, przedmioty, a za nimi świat, na zewnątrz.

Dlatego ten brak światła nie deprymował go i nie gasił, choć przecież nie można było powiedzieć, że był tu w lepszej formie, a tym bardziej że w dobrej.

Włączył lampę i zaczął przeglądać gazetę, jedną z dwóch, jakie leżały na stoliku, jedna z czerwonym prostokątem, a druga z niebieskim. Przewracał strony, odkładając na bok dodatki i druki reklamowe, przesuwając wzrokiem po tytułach, podtytułach i kolumnach, które były efektownie i porządnie, według najlepszych reguł poukładane, ale nie znalazł w nich niczego ciekawego i odłożył na miejsce.

Włączył telewizor. Mignęło światło, na czarnym tle ukazał się biały napis i wyskoczyły kolorowe obrazki. Pojawiły się kapsułki do prania, pigułki, laker, klocki, lekarstwa, wiewiórki, gil i żubry, zadowolona para w łóżku, potem następna, strongi, stringi, butelki, kapsle, sałaty i pomidory, smartfon, drugi smartfon, sztabki złota, baterie, bakalie, meble firmy Kler i meble firmy Forte, drzwi wewnętrzne i zewnętrzne, farby do ścian i sufitów, panele podłogowe,

pasta do mycia zębów, płyn do płukania jamy ustnej, rajdowcy, bankowcy, karatecy, kaski, rowery, skutery i hulajnogi, oferty pożyczek na niski procent, papugi, jelenie i jeżdżące nad przepaścią samochody.

I zobaczył biskupa czy arcybiskupa, który mówił wolno i z emfazą, ale zaraz mu dwóch przerwało, zaprzeczali i nie zgadzali się z nim, redaktor uciszył ich i ponownie oddał głos arcybiskupowi, który dalej mówił w swoim rytmie i wtedy ci dwaj, którzy przedtem nie zgadzali się z nim, zaczęli aprobować kiwać głowami, a dwaj pozostali, którzy przedtem zgadzali się z tym, co mówił arcybiskup, zaczęli kiwać głowami przecząco, widząc jednak wzrok redaktora, zaczęli kiwać raz tak, a raz inaczej, to znaczy raz aprobować, a raz przecząco, jakby zgadzali się z nim po części, choć nie było wiadomo jakiej.

I wtedy ci, którzy najpierw nie zgadzali się, a potem aprobować kiwali głowami, znowu zaczęli się z nim nie zgadzać i kręcili głowami to w jedną, to w drugą stronę, w prawo i w lewo.

Kamera rozszerzyła plan, a może był to obraz z drugiej kamery i Mohl zobaczył jeszcze dwóch, siedzących na takich samych fotelach jak tamci. Nie kiwali głowami, siedzieli prosto, prawie bez ruchu i nie wiadomo było, czy wcześniej byli za tym, co mówił arcybiskup, czy jednak nie. Ten ruch kamery sprawił, że powstały nowe napięcia i dysonanse, chociaż przecież mogły to być, równie dobrze, asonanse lub jedno i drugie, na przemian.

Ci, co przedtem mówili to, co mówili, dalej mówili to samo lub zaczęli mówić zupełnie coś innego, na odwrót. Pewnie różne były tego przyczyny i implikacje. I tak ci, którzy mówili przeciw arcybiskupowi, nagle jakby się opamiętywali, przestawali mówić przeciw niemu i zaczęli mówić przeciw tym, którzy przedtem mówili przeciw niemu, chociaż także robili wycieczki przeciw tym, którzy popierali i wspierali arcybiskupa, jakby nie dość im było tego opamiętania.

BOGUSŁAW KIERC

Notesprospera

7. Krater wulkanu biały, albo ośnieżony
lej po meteorycie, z którym nie wiadomo,
co się stało, jak zniknął, gdzie się wyniósł – wyniósł?

(że niby wniebowstąpił, lub doszczętnie spłonął
i ten śnieg to jest popiół po nim?) no i komu
dał się widzieć, jak spadał i drążył naczynie

dla śmierci, a właściwie dla jej posiadaczy
(jeśli można posiadać śmierć, gdy się nie żyje)
leżących w tym kraterze, jak złowione ryby

na dnie łodzi? A kim jest, kto zdążył zobaczyć
to znikanie, czy w niebo wstępowanie – czyje?
Meteorytu? Króla Niebieskiego? Gdyby

tak to ujmować, zaraz by się okazało
jakąś apokalipsą, a to się na scenie
stało i staje dalej; te ciała nie miały

życia, tak, jak nie mają teraz: żywe ciało
pod nimi, to jest aktor, który chce się przenieść
w to ich zawsze pośmiertne bycie i się cały

wciska w nie, ale z tego, choćby nawet wsiewał,
jak smarkacz, życiodajne nasienie, nie zdoła
nic ożywić, aż nagle, na przywalonego

symulakrami, skacze z bezdrzewnego drzewa
nie anioł i nie diabeł, ale białe goła
osoba – kogo? Czego? Człowieka, czy śniegu?

8. Napadłeś na mnie znikąd i nie obchodziło
mnie, skąd się wzięłeś, jakim cudem tutaj jesteś
i kim jesteś; nie czułem strachu, nawet miło
było mi pod ciężarem ciebie, gdy się przez tę

ciężkość przeciskał do mnie pies czy inne zwierzę,
które jęło się łasić i tkliwie przemieniać
mnie w siebie, wtedy chciałem, gdym się już opierzył
tobą, znać, lecz nie dałeś mi poznać imienia.

9. Śnił mi się bocian, nie wiem, może to był anioł
bawiący się w bociana ze mną, czy nie ze mną –
trudno było rozpoznać, bo i we śnie ciemno
i ten, co mną był niby, sobą mnie zasłaniał,

albo otulał i ten bocian chyba dziobał
mnie i cały się wciskał między nas w pościeli
będących jednym ciałem, ale je rozdzielił
na śnione i na śniące, a która osoba

czuła jego pierzastą ciepłotę i jakieś
dzikie prawo do bycia w jednym łóżku – nie wiem
i nie wiem, odgadując w porannym powiewie
ruch skrzydeł, czy aniołem byłem, czy tylko ptakiem.

10. Nie wiem, nie liczę, czy to już co trzecia
myśl moja grzebie się w grobie; jak dotąd
nie byłem jeszcze w Mediolanie, chociaż

wcale nie muszę; ten, co mi przeleciał
niemal nad głową i ciężko łopotał
skrzydłami, to nie Ariel, to był bocian

czarny, zmyślony, jak cała ta scena
niby z Szekspira, a nie niby – z picu
na wodę, w której miło pływam, goły,

nie bacząc na to, lekkomyślnie, że na
sobie mam trupio siną skórę i co
z tego? Szykują się weselne stoły

i katafalki na tej samej plaży,
na popielatym piasku suszą szaty
przedpotopowe – będę mógł wybierać:

czy na wesele, czy na pogrzeb: starzy
bywalcy piekieł podpytują: a ty
co się ociągasz? Powiedz sobie: teraz.

11. Widzę cię, patrzę na ciebie, jedyny
raz tak się zjawiasz jako ten pasażer,
który się chyba nigdy nie okaże
kimś, kto docieka skutku, czy przyczyny,

że wszedł do windy i nagle się w moich
oczach przemienił niechcący w przybysza,
który by może i chętnie usłyszał
ode mnie: dzięki, że tak blisko stoisz

i że cię mogę uznać za stworzenie
oślniewające nadziemskim urokiem
tę tu przyziemność, ale i wysokie
ostoje, w które próbuję się przenieść,

patrząc na ciebie; a przecież nie wierzę,
samemu sobie, że się właśnie wspinam
i że do tego ta wierszy drabina,
żeby się wdrapać na Najwyższą Wieżę.

PIOTR SZEWC

Czas czuwał

Razem z obydwoma krowami czytałem
księgę ziemi uczyłem się sekretnej mowy
mysich nor słuchałem zwierzeń żdźbeł
trawy podziwiałem gorliwość dżdżownic
mądrość pszczół zwinność pasikoników
w moich oczach rozplływały się chmury
i ruszał na podbój wiatr uparcie powracały
do życia jętki odchodziły motyle wiosną
witałem jaskółki latem żegnałem bociany
oglądałem wschód słońca nad głowami
stokrotek a później zachód pod królestwem
korzeni skowronki mówiły światu dzień dobry
dobranoc czas czuwał krążył wytrwale jak jastrząb

W przytulisku

Ruch panuje w przytulisku mojej pamięci są niespodziewane
eksmisje przybywają nowi lokatorzy bez do widzenia odeszła
pani Adamowiczowa z chustką zawiązaną pod brodą zostawiła
stanowcze słowa niech zginie jak sól na ukropie przez dni lata
drogi i miasta przybiegł biały Pimpek przekrzywia głowę głodny
patrzy błagalnie prosi o miętową landrynkę mama Halinki mija
browar dźwiga wypełnione biedą torby Listopadowa dłuży się
kocie łby straszą dlatego lepiej o nic nie pytać zaciera się rysunek
czarno-białych łat Rabej przepraszam cię za to choć wiem że już dawno
mi wybaczyłaś

Torba pani Szmigi

A przecież obok ławek zeszytów kredy dziennika
lekcyjnego w torbie pani Szmigi byłem i ja za karę
albo się schowałem teraz nie pamiętam zamyślona
zwykle sama nauczycielka rosyjskiego szła Lwowską
przez nowomiejski rynek do domu po drugiej stronie
Łabuńki może tam powinienem siebie szukać słyszę
jak pośród krzaków agrestu krzyczą pawie mirabelki
obrodziły mogłem rwać ile dusza zapragnie brzeg rzeki
zamarzł wydarte kartki rozrzucił wiatr kogo mam pytać
jaka z tego nauka

Świąteczko

Jedni obok siebie inni osobno babciu
twoja duża kołdra zbyt mała żeby nas
okryć dziadek chciałby więcej piątego
października skończył 101 lat mówi
że mu się należy obcujemy ze sobą
tak jak jest to możliwe świąteczko pobłyskuje
przybliża się oddala ale nie gaśnie

Boże drzewko

Widziałem je dotykałem boże drzewko rośło w ogrodzie u Kawów
nazwa brzmiała jak zaklęcie przynosiło szczęście dobre plony
czy może życie wieczne oto jest pytanie

MAREK KĘDZIERSKI

Warszawa – Chiny (4)*

Powitanie: Nǐ hái huó zhe? 你还活着 Żyjesz jeszcze?

Shénme fēng bǎ nǐ chuī lái? 什么风把你吹来? Jaki wiatr cię tu przynióśł?

Miasteczko uliczkowe

Ursula ma okres. A niedługo mamy jechać do Xi-an. Więc lepiej, żeby się oszczędzała. Drugi dzień zawsze jest najgorszy. Wiem. Ale pierwszy zawsze zaskakuje. Łamie komfort, dlatego jest najgorszy. Wiem. Więc daje mi teraz błogosławieństwo, to z nim, skoro nie mogę z nią, ruszam na spotkanie Li. Kiedy podjeżdżam taksówką, Li czeka już przed budynkiem swego biura zaraz koło Bundu, wsiada do niej i podaje kierowcy dokładny adres, przy okazji dość obszernie coś tłumacząc.

Wysiadamy, i Li natychmiast zaczyna wyjaśniać specyfikę typowej dla Szanghaju, powstającej od końca dziewiętnastego wieku do czasu okupacji japońskiej, zabudowy osiedli lub miasteczek uliczkowych – bo tak chyba można przetłumaczyć termin *Alleyway compound*, którego używa. Choć słyszy się czasami od przyjezdnych, wyjaśnia Li, jakoby było to jakieś połączenie tradycyjnego stylu chińskiej architektury z zachodnim, oprócz kilku detali, przejętych z obcych źródeł, miasteczko uliczkowe jest w dziewięćdziesięciu pięciu procentach chińskie, to doskonałe zastosowanie zasady *feng-shuei*. Li spogląda na mnie pytająco, *feng-shuei*, odpowiadam, na studiach mówiono nam trochę o architektonicznych zastosowaniach taoistycznej reguły zharmonizowania energii przy projektowaniu budownictwa mieszkalnego. W domostwach ludzkich. Tak, w domostwach, uśmiecha się Li, a także w najbliższym otoczeniu. Harmonia oznacza minimalizację napięcia między przeciwstawnymi energiami, wie pan, na przykład Yin i Yang, północy i południa, przestrzeni

* Kolejny fragment większej całości, której poprzednie ukazały się w „Kwartalniku Artystycznym” w numerach 84, 88 i 91.

wewnętrznej i zewnętrznej. Każdy z pięciu zasadniczych elementów wysyła inne energie, tłumaczy Li. Inaczej drewno, inaczej ogień, ziemia, metal i woda. Taksówkarz, kolejny, który jeździ po mieście z portretem przewodniczącego Mao zawieszonym na lusterku wstecznym, przysłuchuje się naszej rozmowie, choć, kiedy tłumaczyłem mu, że jedziemy na Bund, nie rozumiał po angielsku, musiałem uciec się do mojej zarzewiałej chińszczyzny.

Już na miejscu, przed zieloną bramą z metalu, Li próbuje w dużym skrócie wyjaśnić mi plan, na którym była konstruowana większość tych osiedli-miasteczek. *Alleyway compound*, mówi, to coś w rodzaju *gated community*, ale niezupełnie. Celem nie było oddzielenie się uprzywilejowanych od reszty miasta. *No gentrification*. Miasteczko uliczkowe to prawdziwy modus istnienia, życia w wiosce w samym centrum milionowego miasta. Z takich wiosek składała się w dużej części nasza wielomilionowa metropolia. Li wyjmuje klucz, otwiera bramę, chwilę później jesteśmy po drugiej stronie. Kontrast pełnej przechodniów, a co za tym idzie zgiełku ulicy i wymarłej przestrzeni miasteczka. Zegar cofnął się do czwartej nad ranem, wewnątrz wszyscy jeszcze śpią, mówię Li. Uśmiecha się. Idąc prostopadłą do ulicy główną aleją miasteczka, słyszymy coraz słabiej odgłosy miasta. *Rather intimate*, mówi Li, kameralna przestrzeń, szerokość ulicy, jak pan widzi, nie przekracza pięciu metrów, uśmiecha się Li. Po obu stronach alei boczne alejki, dużo węższe, oraz wąziutkie alejki poprzeczne. To miasteczko liczyło około osiemdziesięciu domostw, ale są też dużo większe. Powstało w latach dwudziestych, mieszkali tu ludzie dość zamożni, często tak zwani *compradors*, czyli ci, którzy ułatwiali kolonistom z Zachodu kontakty i interesy z Chińczykami.

Wchodzimy na jedną z bocznych uliczek pogrążonego w milczeniu miasteczka, w pewnym momencie na widok bruku myślę o cmentarzu Montmartre, nie wiem dlaczego, może ze względu na kamienną architekturę w niecodziennej skali i ciszę, ze wszystkich stron otoczoną hałasem miasta. Idziemy między dwoma murami, a raczej między murem tylnych ścian budynków a nieco niższym, „wolnostojącym” murem poprzecinanym bramami. Dom *shikumen* był znakiem sukcesu w życiu właściciela, dom z własną bramą, każdy wyróżniał się, różnił od innych, właśnie bramą, każda brama jest inna, wyjaśnia Li. Zatrzymujemy się przed bramą wieńczoną łukiem z inskrypcją w kamieniu. Często, jak w tym przypadku, samo wejście sugeruje dom większy niż w rzeczywistości. Patrę na zjedzony przez czas napis w kamieniu. 福利 *Fúli*, czyta Li, szczęście, oczywiście, otwiera drewnianą bramę. Ten dom, przeznaczony do rozbiórki, przekazano miastu jako ostatni w całym osiedlu, właściciele

złożyli kilka apelacji od decyzji władz. Pytam, co będzie, jeśli wygrają, skoro cały kompleks opuścili już mieszkańcy. Raczej niemożliwe, uśmiecha się Li, to tylko gra na zwłokę.

Wchodzimy na dziedziniec, rzeczywiście budynek jest mniejszy, niż oczekiwałem, w proporcji do muru, i bardzo blisko muru, bo dziedziniec ma zaledwie kilka metrów szerokości. Wszystkie domy zwrócone są frontem do południa, prawie bez wyjątku. To charakterystyczna cecha szanghajskich osiedli. To znaczy, że frontony domów spoglądają ponad murem na tyły budynków przy następnej uliczce, wyjaśnia Li. Z dziedzińca, czy podwórka, niektórzy nazywali to ogrodem, wchodzi się, o proszę, bezpośrednio do salonu, mówi Li, głównego pokoju zwanego *ancestral hall*. Każda rodzina, wyjaśnia Li, nazywała główną izbę salą przodków. Ta ma wydzieloną część dla gości. Zaskakuje mnie dobry stan całej posesji, przeznaczonej do rozbiórki – jakby ktoś dopiero co wszystko wyremontował. Proszę dalej, mówi Li, i wyjaśnia dalej, z tyłu za salonem znajduje się klatka schodowa, a za nią – zwrócona na północ – kuchnia. Na pierwszym piętrze, nad salonem, znajdują się dwa pokoje z oknami na południe, natomiast nad kuchnią izba zwana pawilonem, nad którą jest jeszcze taras, ale ponieważ od północy, słońce zagląda tam tylko latem. Pawilon był raczej ciemny i niewygodny, pawilon był dla służby, mieszkali w nim też studenci, przybysze z prowincji, przybyli w poszukiwaniu jakiegoś skromnego lokum na początek. Kiedy znaleźli pracę, zakładali rodziny i przeprowadzali się do nieco większego mieszkania lub – jeżeli mieli szczęście, domu. Nie wszystkim się udawało. Na drugim piętrze widzi pan tu jeszcze trzy małe pokoiki, ale pierwotny projekt przywidywał na tej kondygnacji strych.

Kiedy pokonaliśmy nacjonalistów, ta część miasta, Taipingqiao, o proszę: 太平桥, miała już ponad trzysta tysięcy mieszkańców, na powierzchni zaledwie ośmiu hektarów, niemal pięćdziesiąt tysięcy ludzi na jednym hektarze niskiej zabudowy. W Szanghaju jeszcze kilka lat temu było około dwustu miasteczek uliczkowych, tych starszych, z lat dwudziestych, gdzie domy były nieco większe, a alejki szersze, i nowszych, znacznie ciasniejszych. Korzystne położenie, między handlową ulicą Huaihai, ruderami Zhaojiabang a starym miastem, Taipingqiao stanowiło enklawę wciśniętą w tereny koncesji zachodnich. To była strefa buforowa między bogatym a biednym Szanghajem. Przy każdej alejce mieszkało pięćdziesiąt, sześćdziesiąt rodzin. Każda z nich to były trzy, czasami cztery pokolenia. Bliżej głównego wejścia do całego miasteczka mieściło się kilka sklepów, jakieś warsztaty, jedna czy dwie restauracje, a nieco dalej od bramy z ulicy, w geometrycznym centrum działała jakaś fabryczka,

także przedszkole i szkoły. To była wioska w centrum miasta. Większość codziennych spraw, mieszkańcy mogli załatwić we własnym miasteczku, parę kroków od domu. Istniała wprawdzie hierarchia, te domy są dla zamożniejszych, te zbudowane w latach czterdziestych dla biedoty, była też hierarchia alejek, te bliższe środka są bardziej prestiżowe. Ulica, aleja, alejka, uliczka i prywatny zaułek – nawet po rewolucji ludowej wiele posesji pozostało własnością prywatną – i z tego powodu nie można było wdrożyć procesu rozbudowy, bo kilku właścicieli składało skargi u władz. Wiedzieli, że przegrają, wiadomo było, ale partia musi stosować procedurę. Miasteczko posiada kilkanaście furtek i główną bramę, zamykaną na noc. W pewnym sensie istniała też hierarchia przestrzeni – od publicznej, przez półpubliczną, półprywatną i wreszcie prywatną. Tej całkiem prywatnej, tak jak w świecie zachodnim, niemal nie było – przez niewielkie przestrzenie w przepelnionym domu, oprócz rodziny właścicieli, często były to cztery pokolenia, przewijali się lokatorzy, służący, konkubiny, a czasami i konkubenci.

Mury i bramy określały aktywność ludzi, definiując zasady kontaktu wewnątrz społeczności. Na publicznej przestrzeni w obrębie miasteczka uliczkowego nie było miejsca, przez co nabierała znaczenia przestrzeń sąsiedzka. Ludzie przesiadywali na zewnątrz w piżamach – bo nie musieli wychodzić na ulicę, alejki to nie były ulice. Dzisiaj ten zwyczaj uważa się za przejaw zacofania.

Z jednej strony kameralne, z drugiej zapewniające anonimowość, zwłaszcza dla przybysza z zewnątrz. Ludzie lewicy czuli się tutaj bezpieczniej niż w dzielnicach o charakterze wielkomiejskim. Wielu komunistów mieszkało tu w okolicy. W 1921 roku w jednym z domów miasteczka przy ulicy Wangzi odbyło się konspiracyjne spotkanie działaczy, był wśród nich Mao Zedong, mówi Li, spotkanie założycielskie Partii Komunistycznej, z Mao na czele. Przeszło do historii jako I Narodowy Kongres KPCh. Również inni politycy, na przykład Chang Kai-shek, przyszły przywódca Guomindangu, mieszkali lub pracowali w Taipingqiao, Chen Duxiu, pionier komunistów i profesor uniwersytetu pekińskiego, czy słynna pisarka Ding Ling.

W czasie okupacji japońskiej tylko niewielu właścicieli stać było na remonty, a wciąż napływali nowi mieszkańcy, więc dzielnica mocno podupała. Dlatego teraz władze dyskutują o przyszłości Taipingqiao. Sąsiednie miasteczka poddane zostaną zapewne renowacji, zwłaszcza Xingye, gdzie będzie muzeum chińskich ruchów rewolucyjnych. Ale wiele innych w centrum ustąpi miejsca nowoczesnej zabudowie wielkomiejskiej, ich rehabilitacja byłaby urbanistycznie, a zwłaszcza ekonomicznie, bezcelowa, mówi Li. Bezcelowa?

pytam. Zdaniem władz, nieuzasadniona, nieprawidłowa, odpowiada. Decyzję już właściwie podjęto, będą tu stały nowoczesne wieżowce, dzięki temu jeden sektor przeznaczony zostanie na tereny zielone, włącznie z jeziorem, to mają być płuca tej części Szanghaju. Zielone płuca, myślę, przydałoby się.

Ten dom, jak pan widzi, ma trzy piętra, trzy wykusze, dwa podwórza, dwa skrzydła, dwa balkony, trzysta metrów kwadratowych, osiemnaście pokoi, największy dwadzieścia osiem metrów kwadratowych, mówi Li, i dodaje: a najmniejszy sześć.

Ze zbrojonego cementu, okna importowane z Francji, kafle z Niemiec na pierwszym piętrze, łazienka z wanną i shikumen od głównego wejścia – choć na toaletę splukiwaną na trzecim piętrze, jak pan widzi, już nie było ich stać.

Ich? Na moje pytanie, czy wie, kto tu mieszkał, Li odpowiada tak, jakby na nie czekał. Więc dom został wybudowany przez Chińczyka z muzulmańskiej grupy etnicznej Hui, który zaczynał w Szanghaju od prowadzenia rikszy, potem handlował futrami, a w końcu znalazł dobrą posadę w aptece niemieckiej – stał się *compradorem*. Ożenił się z córką znanego artysty, kolekcjonera sztuki, marszanda, ale i snoba, który nie odwiedził córki, dopóki zięć nie dokończył konstruowania rezydencji na poziomie. Dopiero kiedy gotowy był dom, teść przestąpił jego próg. Młodzi mieli już syna. Kolega snoba, sławny artysta Wu, podarował parze obraz *Peonie*, peonie to u nas symbol miłości i szczęścia, wtedy He Chujin, bo tak nazywał się *comprador*, przysiągł sobie, że nigdy nie sprzeda domu, nie wynajmie go ani nie odda w zastaw. Tu wychowała się trójka jego dzieci. Syn po ukończeniu studiów inżynierskich na uniwersytecie Tongji ożenił się z córką dobrze sytuowanego kupca, którego praprzodkiem był eunuch z dworu jednego z cesarzy dynastii Ming, i został przemysłowcem w branży stalowej. Ojciec zaczynał od pracy riksjarza, teraz to jego wożono riksą po mieście.

Jego syn, z kolei, po ukończeniu jednego z najlepszych liceów, studiował anglistykę, stwierdził, że nie chce burżuazyjnej kariery, tak samo jak nie chce feudalnej rodziny ani domu z okazałą bramą i służbą. Przystąpił do KPCh, nie przyjęto go do armii, ale po kapitulacji Japonii z ramienia nacjonalistów wysłano go na dwa lata na Okinawę, gdzie doglądał procesu przekazywania Chinom urządzeń militarnych w ramach reparacji wojennych. Po rewolucji ludowej pojechał na ochotnika walczyć do Korei, gdzie pracował jako tłumacz. Kiedy po zakończeniu wojny koreańskiej wrócił do Szanghaju w 1955 roku, ojciec był chory, a dom w kiepskim stanie. Ojciec stracił firmę i musiał przyjąć pracę robotnika w fabryce maszyn do szycia. Liminga zatrudniono w zarządzie fabryki włókienniczej, ale któregoś dnia nieopacznie zażartował na temat

przewodniczącego Mao, przez co okrzyczano go prawicowcem i skierowano do pracy przymusowej, gdzie codziennie przez dwanaście godzin woził taczka cegły i cement.

W 1962 roku musiał się wprawdzie oczyścić, ale było to czymś pozytywnym – spowiedź, wyznanie winy, skrucha – oczyszczenie z zarzutów otwierało drogę w przyszłość. Puryfikacja dla rehabilitacji. Pozwolono mu wrócić do fabryki, ożenić się i mieć dzieci – w roku 1963 przyszedł na świat Yidong. Na moje pytanie, jakim cudem tak duży dom uniknął upaństwowienia, Li odpowiada, że dlatego, iż nikt z rodziny nie miał innego domu lub mieszkania. Tak stanowiło prawo. I dodaje, że koledzy z fabryki krytykowali Shuhunga za to, że ma wielki dom i pewnie też jest obszarnikiem. To była już zapowiedź rewolucji, mówił Li.

Rewolucji kulturalnej, mówię. Tak, mówi Li, latem sześćdziesiątego szóstego czerwogwardziści przeszukali dom i zabrali setki przedmiotów należących do rodziny He. Między innymi biżuterię, złoto, starą porcelanę, futra, antyki, zestawy mebli z różanego drewna i z marmuru, a także kilkaset obrazów oraz kolekcję kaligrafii – wszystko, na co mozolnie pracowały dwa pokolenia. Ale dali im spokój?, pytam i sugeruję, ale Li odpowiada, że gwardziści wkrótce wrócili, zjawiała się następna grupa, trzydzieści, czterdzieści osób, przez długie tygodnie okupowali dom, zamknawszy całą rodzinę w jednym pokoju. Część hongweibingów okupowała dom przez cały czas, inni przyjeżdżali z prowincji i w drodze do Pekinu robili przystanek w domu He. Gdy okupanci, równie niespodzianie, jak się zjawili, opuścili dom, był on ogołocony z większości tego, co dało się wynieść albo zniszczyć. W tamtych czasach każda rodzina miała zapasy żywności na czarną godzinę, czarna godzina przyszła i zapasy zostały oczyszczone przez okupantów. Rewolucjoniści cały czas rozmawiali przez domowy telefon, na koszt He, oczywiście, z podwójną korzyścią, raz, że mogli utrzymywać łączność z rewolucyjnym światem, dwa, że w ten sposób zniszczyli ekonomicznie wroga klasowego. Z powodu astronomicznych rachunków rodzina popadła w długi. Kilka miesięcy później, było to już zimą, rewolucjoniści kazali rodzinie – to znaczy czterem pokoleniom – przeprowadzić się do dwupokojowego lokalu zastępczego na poddaszu jednego z budynków w tym samym miasteczku uliczkowym. Lekarza, który tam mieszkał, eksmitowano na wieś wraz z rodziną. W ciągu paru dni dom rodziny He przekształcił się w noclegownię dla przybywających z prowincji hongweibingów. I doszczętnie zrujnowany, mówi Li. Ale w latach siedemdziesiątych rodzina odzyskała dom i zaczęła powoli naprawiać to, co się dało zrobić własnym przemysłem. Reformy Deng Xiaopinga dawały nadzieję na w miarę bezwstrząsową

przyszłość. Z tą nadzieją i nakładem mrówczej pracy, przy minimalnej pomocy z zewnątrz, He przywrócili dom do dawnej, skromnej świetności. Wkrótce potem miało się okazać, że nie na długo.

Przepraszam, mówię, jeśli to niedyskrecja – ale czy mogę zapytać... hm, zastanawiam się, skąd... to znaczy, jak pan mi to wszystko opowiada, ze szczegółami, z najdrobniejszymi szczegółami, to zastanawiam się... hm, że jeżeli jest pan inżynierem budowlanym, a całe osiedle jest opuszczone... zastanawiam się, czy zna pan losy innych, hm... czy od dawna, czy znał pan inne rodziny? Zwiedzamy ten dom akurat, tę posesję... jest pan tak doskonale poinformowany o wszystkim, czy z innymi, z wszystkimi wokół... muszę przyznać, że to dla mnie zdumiewające... był pan tak miły, żeby wszystko mi tu pokazać, jestem panu bardzo wdzięczny, nie chciałbym zadawać pytań, które może się panu wydadzą... jak to określić... niezręczne, nawet może natrętne, ale... widzi pan... zastanawiam się, tak między nami...

Tak między nami – to mieszkali tu moi teściowie, Li przerywa moje owijanie w bawełnę. Tak, znam tych ludzi, to moi teściowie. Odwraca wzrok. Wie pan, to był naprawdę wielki przypadek, że akurat *mnie* przydzielono do tej dzielnicy. Ktoś widać nie dopatrzył. Ale dla mnie, tak jak to potraktowałem, dla mnie nie był to przypadek. No a dlaczego to panu pokazuję? Jesteście państwo przyjaciółmi profesora Zhenga, który jest dla mnie wielkim wzorem. Dlatego, obserwując pana w rzeźni, pomyślałem, że dla architekta interesujące byłoby zapoznanie się z tym znikającym w szybkim tempie światem.

A poza tym... poza tym miałbym do pana prośbę. Czy moglibyśmy się spotkać przed pańskim wyjazdem? Na przykład pojutrze. Wyjaśnię panu, mówi Li.

Waggonbau Bautzen

Mamy dość smogu. W dodatku do mieszkania Gaby ktoś wszedł i czegoś szukał. Inwigilacja. Gaby jest pewna, że ludowe władze nie tylko dobrze wiedzą, kto do niej przychodzi i o której ona wychodzi do pracy, ale i że dały komuś, że bezpieka dała klucze komuś, kto regularnie sprawdza mieszkanie pod jej nieobecność. Gaby jest tego pewna. Ursula jest pewna, że wczoraj, kiedy, wkrótce po wyjściu Gaby do pracy, brała prysznic, ktoś wszedł do mieszkania i dopiero kiedy coś ją zaniepokoiło i wyszła z łazienki, zobaczyć, co się

dzieje, ten ktoś w pośpiechu się wymknął. No ale jeśli wiedzą, choćby portier na dole, lub jego żona, albo jej kolega partyjny, kto wchodzi i wychodzi, to powinni wiedzieć, na dole, że Ursula nie wyszła. Więc dlaczego weszli? Może akurat osoba na dole opuściła na chwilę posterunek, nie wszystko zawsze jest doskonałe. Więc nie mogła ostrzec bezpieki. A może wtyczka mieszka obok Gaby lub nad nią. Zatem inwigilacja daleka jest od doskonałości. Zgadza się, mówi Gaby, w odniesieniu do mnie nie ma pewnie maksymalnego alertu, bo ja chyba nie jestem groźnym ryzykiem, ja jestem raczej cudzoziemcem szeregowym. Mimo wszystko, to nieprzyjemne. Nie lubię sytuacji, kiedy ktoś grzebie w moich rzeczach, sprawdza moje szminki, mówi Gaby. Hm, szminki!

No ale co można zrobić? Jesteś w tym kraju, nic na to nie poradzisz. Niezbyt wiele możesz na to poradzić. Ale mogę wyjechać, mówi Gaby. Od tego odsapnąć. Na parę dni. Wyjechać. Jedźmy, jedźmy stąd. Jedźmy razem. Za miasto. Zabiorę was na wieś, mówi Gaby. *Aufs Land! Land* po niemiecku ma inne konotacje niż wieś po polsku. *Na wsi* to właściwie coś innego niż *auf dem Land*. Za miasto, mówię sobie. Już lepiej. Więc jedziemy za miasto. Gaby w nagrodę za dwa lata na uczelni dostała kupony na hotel. Talony. Może spędzić do 10 dni w roku w hotelu, w jednym z trzech miast do wyboru. Ma do dyspozycji pokój. Proponuje Hangzhou. Była już tam, jest pięknie. W górze, nad jeziorem. Wreszcie poczujemy przyrodę. Zapach natury. Co my na to? Zmieścimy się w trzy osoby w jednym pokoju?, pyta Ursula. Bez problemu. To są właściwie apartamenty dla ludzi businessu (ludzie businessu, komentuję w myśli, to my!), w jednym ciągu weranda, living room i westybul, westybul, ale wielkości salonu, sypialnia także wielkości salonu, tej samej wielkości. Łóżek też kilka. Więc zmieścimy się bez problemu. Zadzwoń i zarezerwuj na jutro, od piątku. Jedźmy, doskonale, jedziemy. Do pokoju z widokiem na wspaniałe jezioro. A może raczej nad ocean?, pytam. Tu nad ocean raczej się nie jeździ, wyjaśnia Gaby. Nie ma riviery. Świetnie, mówi Ursula. Świetnie, tylko przypominam sobie o Li, muszę tylko zawiadomić inżyniera Li, że zobaczę się z nim w przeddzień wyjazdu, mówi Gaby. Inżyniera Li?, zastanawia się Gaby. A, wiem.

Pociąg ma czternaście wagonów i tak na oko chyba tyle samo klas. W pierwszej jadą same grubasy, pewnie z Tajwanu, siedzą na dużych kanapach, których oparcia przykryte są białym aksamitem z białą aplikacją. Siedzą i jedzą. My jesteśmy w drugim wagonie, drugiej klasy. Przedział dla sześciu osób, zajmują osoby cztery, nas troje i mężczyzna w średnim wieku, w białej

koszuli i czarnych spodniach, Chińczyk – tak na oko tutejszy, który siedzi przy oknie i wygląda przez nie, na ryżowe pola, popijając mocno skoncentrowany roztwór z zielonej herbaty, której liście, i todygi, pływają w słoiku Nescafé, z którego co jakiś czas dolewa sobie do kubka. Bez pośpiechu, bo trasę stu osiemdziesięciu kilometrów pociąg pokonuje w ciągu ponad dwustu minut. Nasz wagon liczy sobie, tak na oko, dwadzieścia kilka przedziałów, nasz przedział kuszetkowy, choć podróżujemy w biały dzień, oparcia ławek podniesione, przykryte na biało, choć nie tak eleganckie, jak w pierwszej klasie. I przygotowane do jakiegoś nocnego kursu. Siedzenie na dolnych siedzeniach nie jest zbyt wygodne. Głowy dotykają kuszетки górnej, a plecy nadaremno szukają oparcia. Ciało gubi się w za szerokiej dolnej ławce. Nim plecy dotkną tylnej ściany, kolana muszą wczougać się w jej kierunku, pokonać dobre dwadzieścia centymetrów do wewnątrz. Wtedy stopy nie wiedzą, co właściwie mają robić. Nad drzwiami do przedziału pokrętko ze znacznikiem termometru. Znajome. Do tego stopnia, że nie dziwię się, zauważając tabliczkę o treści: LOWA. VEB Waggonbau Bautzen. A na korytarzu: *VEB Kombinat Schienenfahrzeugbau der DDR*. Bautzen to Budziszyn.

Wychodzę z naszego przedziału w drugim wagonie na przechadzkę w kierunku kolejnych wagonów, w kierunku wagonu ostatniego. Kolejne wagony mieszczą coraz większą liczbę pasażerów, i to już nie są wagony z Bautzen. Pasażerowie mają dla siebie coraz mniej miejsca. W każdym kolejnym wagonie widzę też mniej kobiet, w ostatnich wyłącznie mężczyzn widzę, i prawie wszyscy, jak jeden mąż, mają na sobie białe nylonowe koszule i czarne lub granatowe spodnie z tworzywa sztucznego. Niektórzy są z dziećmi, wśród dzieci zdecydowanie przeważają chłopcy. Oczy rejestrują to spostrzeżenie dobrą chwilę, zanim przychodzi mi to na myśl. Moje oczy rejestrują, moje przejście przez wagony rejestrują oczy w białych nylonowych koszulach. Czuję to. W ostatnich wagonach mężczyźni siedzą, ale i leżą, stoją w kucki i stoją wyprostowani w wielkim ścisku, w jednym ścisku. Ale przejście jest wolne. A jeśli nie, to otwiera się przede mną. Ławki umieszczone są głównie wzdłuż ściany wagonu, jednym ciągiem. A pośrodku od czasu do czasu kilka drewnianych siedzeń. Ci, którzy leżą, wszyscy bez wyjątku, ściągali uprzednio czarne półbuty, odsłaniając czarne skarpety z tworzywa sztucznego lub szare z półwypukłym wzorkiem. Mężczyźni i chłopcy siedzą i jedzą suszone ryby. W związku z tym w tylnych wagonach króluje zapach suszonej ryby popijanej zieloną herbatą, ze słoika po nescafé. Wszyscy wiozą herbatę po turecku

parzoną chyba w domu bezpośrednio w takich słoikach. Choć w żadnej kawiarni nie widziałem dotąd nescafé. Moje przejście rejestruje wiele oczu, dyskretnie, początkowo tego nie zauważałem, teraz fakt, że patrzę na te śledzące moje przemieszczanie się oczy, ukrywają nieco moje okulary, chowam się za nimi. Ale chłopcy nie kryją zaciekawienia moją postacią, dziwnym sztucznym tworem, przemierzającym ich przestrzeń. Pociąg unosi ich ku Hangzhou, a ja przeciwstawiam się na moją miarę, idąc w przeciwnym kierunku. Miara mojej wolności. W jednym zatłoczonym wagonie dwóch chłopców podnosi głowy na mój widok, śmieją się, pokazują mnie palcem i szturchają ojców, coś im szepczą do ucha. Suszone ryby, złotego koloru, błyszczą w plastikowych torebkach lub na walizkach, skarpetki uwolnione z niewygodnych półbutów bujają w przestrzeni w bezruchu, patrzę na to dyskretnie z pochyloną lekko głową. Mijam skarpetki nylonowe i suszone ryby. Aż wreszcie coś mnie ostrzega przed zaporą w moim marszu. Podnoszę głowę i jednocześnie przystaję. Szyba zastawia mi drogę, widzę tylko uciekający tor, szyny podkłady i pola ryżowe po obu stronach.

Wracam do naszego przedziału. Dzieci śmiały się z ciebie i wytykały palcem, bo tu dorosły nie nosi krótkich spodni, mówi Gaby. Dorosły.

Stacja 杭州 Hángzhōu

Taksówka, która wiezie nas z dworca, nagle wpada w poślizg i gwałtownie hamuje na mokrej jezdni. Na szczęście, żadnego rowerzysty między nami a trotuarem. Lekki szok po lekkim uderzeniu w krawężnik. Jesteśmy wystraszeni, ale po chwili dociera do nas, że to nie wypadek, tylko guma, auto złapało gumę. Wsiadamy, kierowca przygląda się oponie, która nie przeżyła kolizji z betonem, robi smutną minę i uśmiecha się. W bagażniczku maleńkiego daihatsu szuka chyba narzędzi. Klucz się znalazł, nie ma podnośnika. Ale auto lekkie. Mamy szczęście. Gaby pierwsza odnajduje język w gębie. 我能帮你吗? 我们可以把汽车抬起来了一点 *Wǒ néng bāng nǐ ma? Wǒmen kěyǐ bǎ qìchē tāi qǐláile yídiǎn*. Pyta, czy możemy pomóc.

Ja na wszelki wypadek pokazuję na migi. Pochylam się i rękami podsumam proste rozwiązanie – ręczne podnoszenie podwozia. Kierowca kiwa głową i szczerzy zęby. Rzeczywiście, auto daje się unieść o jakieś dziesięć

centymetrów i to wystarczy, taksówkarz podkłada cegłę, którą, już wiem w jakim celu, wozi w samochodzie, i zmienia koło. Wyraża podziękowania bardzo graficznie. U celu odejmuje dziesięć juanów od sumy wskazanej przez licznik. Zgadza się – i dajemy mu dziesięć juanów napiwku.

Robi się późno, w recepcji bardzo uprzejmie wita nas bardzo uprzejma para recepcjonistów w eleganckich brązowych uniformach. Niedługo przestaniemy podawać kolację, mówi elegancka recepcjonistka, a jej kolega potwierdza to potakującym skinieniem głowy i szerokim uśmiechem. Pozwól państwo, że zajmiemy się bagażem, a państwa już teraz zapraszamy do restauracji.

Tak, że do pokoju docieramy dopiero, kiedy pora na spanie. Pokój to właściwie *understatement*, to cały apartament, jak zapowiadała Gaby, trzy komfortowej szerokości przestrzenie między drzwiami wejściowymi a oknem na świat. I jaki świat! Do sypialni wchodzi się przez westybul, a z niej wychodzi na przestronną werandę, z wykuszowym oknem, z którego roztacza się widok na czarne już jezioro – z wysokiej perspektywy. Piękny park, powtarza Gaby, Marco Polo nie wahał się umieścić Hangzhou wraz z Zachodnim Jeziorem pośród cudów świata. Z werandy, nawet teraz, po zapadnięciu mroku, roztacza się imponujący widok na jezioro i pawilon z pagodą. Po godzinach spędzonych na dworcach i w pociągu zrobiło się nagle pusto i cicho. Hotel jak z innego świata. ShangriLa. Trochę jak z Jamesa Bonda. Czuję się jak James Bond. Z dwiema kobietami blond.

Nieoczekiwanie, w hotelu ShangriLa, gdy tylko się rozpakowaliśmy, Ursula pucowała zęby, a Gaby już się położyła, dzwonek telefonu. Do ciebie, Gaby oddaje mi słuchawkę. Do mnie, tutaj? Telefon z Warszawy. Siostra. Jak mnie znalazła, pytam, zastanawiam się, skąd wiedziała, pytam wprost, gdzie mnie szukać, jednakże siostra od razu przechodzi do rzeczy, a przynajmniej nie daje mi dojść do słowa. Pyta, co u mnie, ale gdy tylko zaczynam w skrócie opowiadać o Szanghaju i podróży do Hangzhou, wyczuwam, że to inny świat, że będziemy mieli inny temat do omówienia. Ważniejszy. Przerывam relację i pytam: czy coś się stało? Co się dzieje? I mam przeczucie, że teraz będzie o ojcu, że coś jest z ojcem. Ojciec jest w szpitalu na Wołoskiej, informuje siostra, miał kryzys, jeszcze nie wiadomo jakiej natury. *Kryzys? Jakiej natury?* – pytam. Nie ma jeszcze diagnozy, odpowiada siostra, najpierw przewieziono

go na oddział urologiczny. Więc jednak urologia? – wyrwa mi się, chyba nieopacznie. Nieopacznie, bo teraz siostra domaga się wyjaśnień. Nie, ja nic nie wiem, tylko zauważyłem, że kiedy byłem na Górnośląskiej tydzień temu, to już prawie tydzień, ojciec kilka razy nagle wychodził do toalety. Jakby coś mu dokuczalo. Ach, to już od jakiegoś czasu chyba, mówi siostra, już w zime to zauważyłam. Ale teraz przenieśli go na hematologię. Jezu, wyrwało mi się, natychmiast zadałem jakieś techniczne pytanie, ale siostra jest czujna. Nie, to, że często chodzi do toalety, tego nie można nie zauważyć, ale inne rzeczy, na przykład o krwi niczego nie słyszałam, a ty wiesz? Od odejścia mamy (siostra w tym wypadku nie mówi: śmierci) zamknął się w sobie, mam na myśli codzienność, rutynę dnia codziennego, zamknął się w złotej klatce, chce skończyć książkę, ale nie wiem, czy to też nie okaże się fiaskiem. Też?, podchwytyuję, a teraz siostra, wyczuwam, wołałaby nie wyjaśniać mi słowa też. Nie, chodzi mi o rutynę dnia codziennego, boję się, że spali albo zaleje wodą tę złotą klatkę. Nie pamięta, że włączył wodę na herbatę, zamyka się w ostatnim pokoju, więc gdyby był jakiś pożar, to znaczy gdyby on spowodował pożar, nawet by tego nie zauważył.

Ale jak z nim rozmawiałeś, nic nie mówił, nic ci nie powiedział? Nie, odpowiadam. Na pytanie o zdrowie odpowiedział generalnie, że jakoś idzie. Jak zwykle. Jak zawsze. Ja go w sumie nie najlepiej odczytuję. Zawsze sobie obiecywałem, że z jego dość skąpych, enigmatycznych wzmianek na ten temat niczego nie uronię. Ale moja koncentracja po jakimś czasie zazwyczaj słabnie, mięknie, rozwiewa się. Ty jesteś znacznie bardziej spostrzegawcza. Dobrze, dam ci znać, jutro jeszcze będziesz pod tym numerem?, pyta siostra, ja odpowiadam tak, więc dobrze, zadzwoni jutro, porozmawia z lekarzami, może się czegoś dowie. No dobrze, ale on sam niczego nie powiedział? Kiedy z nim rozmawiałaś? Podobno tylko jakieś nieregularności w obrazie krwi.

Odkładam słuchawkę. A raczej, chcę już odłożyć, kiedy przychodzi mi na myśl, żeby zapytać siostrę o dedykację w książce o MDM-ie. Słuchaj, chciałem cię jeszcze zapytać o pewną rzecz, mówię do siostry. *À propos* ojca. I walę prosto z mostu. O dedykację dla mamy w książce o MDM-ie.

Żeby o to siostrę zapytać, przyszło mi na myśl w momencie, w którym ją o to zapytałem. Ale, widać, cała sprawa chodziła mi wciąż po głowie. Dlatego w czasie tej warszawskiej rozmowy ojciec pomylił rok mojego urodzenia,

zastanawiałem się od czasu wyjazdu z Warszawy. To pytanie, rzecz jasna, sprokowało w moich myślach, pociągnęło za sobą cały szereg innych. Skupionych nagle na jego postaci. Nagle, bo pytania na jego temat raczej miałem tendencję spychać daleko ode mnie. No, dalej ode mnie, niż chciałbym. Jeśli nie: powinienem. A jednak tłumiliem w sobie pytania o nim i o niego, tłumiliem w sobie ojca. Nie z niechęci, raczej z braku chęci, by się nim zajmować.

Ojciec. Człowiek, który z tego, co wiem, nikomu nic złego nie uczynił, a jednak niezbyt jest lubiany. Nie, żeby był nielubiany, bo nie można powiedzieć, że był nielubiany. Ale, że był lubiany, też trudno byłoby mi powiedzieć. Może po prostu przeredziły się szeregi tych, którzy go lubili. W ogóle przeredziły się szeregi. I tych, którzy chcieli z nim utrzymywać kontakt. Choć może to on nie chciał mieć z nimi nic do czynienia. Ludzie wiedzą, że nie jest złym człowiekiem, ale kto wie, że jest dobrym? Dobre pytanie.

Przeglądam się w lustrze obok regału zdominowanego przez *The Holy Bible* na poły z *Encyclopædia Britannica* i myślę o ojcu. Dlaczego nie jest bohaterem z mojej bajki, choć, oprócz paru drobnych rzeczy, trudno byłoby mi coś mu zarzucić? Niby mnie wspierał, zgoda, i podpierał, ale też potrafił się opierać, opierał się zdecydowanie wszystkiemu, czego *naprawdę* chciałem, a czego on raczej nie popierał. Był tak poprawny, nikomu nie robił krzywdy, a już na pewno nie mnie, dlaczego więc nie jest z mojej bajki?

Dlaczego teraz, na wieść, że trafił do szpitala, mam jakiś problem, by połączyć się z nim w bólu? Łączę się, tak, oczywiście, ale nie tak, jak bym sobie życzył, albo jak to sobie wyobrażałem. Może dlatego, że nie przyjmuję do wiadomości, że jest chory. Że już teraz. Nie przygotowałem się na to. Choć przecież z matką było inaczej. Matką, owszem, myślę w apartamencie hotelu ShangriLa, z matką byłem związany w taki sposób, że jej choroba nie dawała mi spokoju. Matka była młodsza i pełna życia, no, bardziej niż on, ale to on przeżył, on to przeżył, przeżył ją, aktywny i sprawny fizycznie, jakby to po nim spływało. To? No co? Wszystko. Życie.

I dlaczego ten George, czy Joe, który dedykował matce książkę, tak mi od tygodnia utkwiał w pamięci? Nie daje spokoju. Chwileczkę, bez przesady. Nie, żeby to nie dawało mi spokoju, niemniej utkwilo w pamięci. *Wishful thinking?* Że gdzieś na tej ziemi jest jakiś mój *inny* ojciec? Jest lub był!? Czemu własny ojciec

miałby pomylić datę moich urodzin? Rok. On, który, co jak co, ale daty świetnie pamięta. Nie, nie dam się zrobić w myśli o ojcostwie. To nie ma dla mnie znaczenia, generalnie, a już na pewno nie w tej chwili. W tej chwili? Jakiej chwili?

Miałem ochotę wziąć z regału matki ciężką i grubą książkę o MDM-ie, wzięłem jednak cienką rozprawę o elementach rasowych w Chinach. MDM – murowany park tematyczny wzniesiony w zrujnowanym mieście. Lato 1955 roku. Centrum Warszawy jeszcze w dużej części takie, jak dziesięć lat wcześniej, tylko że plamy krwi porosły dziką miejską trawą. MDM i koszmarna bryła Pałacu Kultury błyszczą jak feniks, powstały z popiołów, zgoda, ale i ze złego snu. Feniks ze spartolonym DNA.

Praga, Budapeszt, Berlin, Bukareszt, a teraz Warszawa. Cała postępową część Europy i świata do nadwiślańskiej metropolii zjeżdża nagle, po latach jej zamknięcia, na świat, oprócz tak zwanego naszego świata, polskokomunistycznego piekielka, więc zamknięcia na wszystko z wyjątkiem siebie i swoich, włączając komunistów. Patriotów i siły reakcji. Cały świat, postępowy świat, postępowy, a jakże inaczej, tak trzeci, jak i pierwszy, postępową część Zachodu, wysłana przez burżuazyjne partie komunistyczne akurat do Warszawy, w której od przedwojny, gdyby trafiło się na obcego, trzeba byłoby przyjąć, że wziął się z Marsa. Sami swoi. Piąty światowy festiwal młodzieży i studentów rozpoczął się dzień przed rocznicą wybuchu Powstania Warszawskiego, o której oczywiście nikt nie wspomniał. Celebracja pokoju, to znaczy po prostu potwierdzenie konceptu walki, o pokój oczywiście, światowy. Pokój w walce, walka o pokój. Stwórzmy go wojną. A przynajmniej wojowniczym słowem. I nagle pauza. Postępowy świat z antypodów rusza nad Wisłę szeroką ławą. A zaraz za tą ławą ławą maszeruje postępową młodzież „nasza”, ramię w ramię z postępową młodzieżą ze zgniłego kapitalizmu (z kraju rad też, oczywiście, ale nie o nich mowa). W którym jednakże, choć taki zgniły, w perfidnie niesprawiedliwy sposób wyższa jest stopa życiowa.

Więc nagle na te przaśne i okropne ulice w centrum miasta dokonano inwazji. Na nasze narodowo-polskie, a więc socjalistyczne i prosowieckie dziewczuchy natarły zastępy obcych. Którzy jednakże lepsze mają kosmetyki. I twardsze dewizy. Przez kilka dni nadwiślańskie dziewczyny i kobiety czarują ludzi z daleka, one też, jak mniemam, czarowały ludzi z daleka. Generalissimo leżał już wprawdzie od dwóch lat w kremlowskim panteonie, ale w Warszawie

wciąż straszył towarzysz Bierut, choć nieco już schorowany. Polska, której nie znam. Polska, której nie widziałem. Polska, którą znam z filmów. Dydaktycznych. Nachalnych. Upupiających. Z dołujących komedii. Polska, którą znam, aż zbyt dobrze. Wciąż wyczuwam. Jak niewidoczne siniaki na skórze. Które przy każdym dotyku... bołą.

Warszawa pełna młodzieży z całego świata. Roześmianej. Młodych ludzi, przyjaznych, pokojowo nastawionych. Gołąb Picassa. Warszawiacy – ludność napływowa ze wsi i z innych miast, plus ci, którzy przetrwali – nawet ci, część z nich w paroksyzmie bratania się, z całym światem, z tym lepszym i z tym gorszym. Jak popadnie. Polska bezkościelna, gigantyczne braterstwo na ulicach i wielka gościnność. Tysiące życzliwych ludzi udzieliło gościny nieznanym, *perfect strangers*, w porywie serca. W ciągu kilku dni przyjezdni z gospodarzami mieszają się w ekspresowym tempie. Wszelkie odcienie skóry, każda budowa ciała, nierozpoznawalne języki, które nagle ze śmiechem się rozwiązały. A potem, tydzień, dwa tygodnie, po wyjeździe gości zagranicznych, zaczął się powrót, realizm. Socjalistyczny. Opustoszałe ulice. Zajęte ponownie przez dotychczasowych gości hotele i akademiki. Wysmutniałe mieszkania. Melancholijne budki z piwem na Pradze i Czerniakowie, oświetlone w nocy samotnymi latarniami. Pod którymi stoją panowie spod ciemnej gwiazdy. Żule.

Ale ślady pozostaną. Do następnego zrywu. Ślady spotkań. Utrwalone na zdjęciach, w listach, zamknięte w pamiątki zbratania się.

I jeszcze coś. Wiosną 1956 roku urodzi się nad Wisłą, nad Bugiem, w Tatrach i na Kaszubach, na ziemiach rdzennych i odzyskanych, więcej dzieci. Choć i tak będzie ich znacznie mniej niż ciąż. Przez całą jesień stołeczna służba zdrowia, wspomagana przez oddelegowany w ważnym celu państwowym personel z prowincji (cały naród buduje swoją stolicę!), w ekspresowym tempie będzie dokonywała skrobanek. Kilkaset procent normy wypracowane w mgnieniu oka. *Express line for abortion. Termination*. Na chleb i kiełbasę można, przestępując z nogi na nogę, poczekać w kolejce. Na płód też, od biedy, ale na jego usunięcie – już nie. Czyn październikowy rok przed październikiem.

W pachnącej metalowo-gumową nowością fabryce na Żeraniu sprawowane ręce robotników dokręcają taśmowo śrubki do warszaw na licencji zwycięskiej pobiedy. W tym samym czasie w klinikach operowane są żony

robotników z Żerania i z Wolskiej, które przeszły przez egzotyczne ręce światowej młodzieży. Tak egzotyczne, że dzieci nie przypominałyby naszych przodków, więc nie powinny się narodzić.

No więc, co z tym MDM-em?, pyta siostra. O co chcesz zapytać? Wiesz, w tej książce jest dedykacja dla mamy po angielsku, mówię przytłumionym głosem do słuchawki. Od kogoś, kto podpisał się jako Joe... Krzyczę po cichutku w słuchawkę. Nie słyszę – słyszę siostrę w słuchawce. Co podpisał? Podpisał się jako Joe. Joe! Mówię głośniej, ale nie chcę całego hotelu stawiać na nogi, a zwłaszcza towarzyszek podróży. Wiesz, myślę, że Joe to taka zgrywa. Co takiego? Wujek Ziu mówił mi, że żartowali sobie, że ona jest Barbra, a on Joe. Joe czyli Ziu, mówi siostra.

Nie napiszę

Ojciec pytał, czy o tym napiszę. O rodzinie Szegidewiczów. Nie napiszę. Nie lubię pisać. Nie będę pisać. Nikt mnie na to nie nabierze. Choć on sugerował, namawiał, żeby spisać. Niezbyt subtelnie. Nie, nie napiszę, nie chcę, nie lubię pisać. A teraz Pavlo Škandik pisze do mnie z Bratysławy, już po raz kolejny, żebym napisał do jeszcze czechosłowackiego pisma o moich doświadczeniach z... Nie mam żadnych doświadczeń. *Spisovateľ* Škandik, tak się u nich nazywa pisarza. Spisywaczem. Pisarz spisuje. Może spisuje, może przepisuje. Jeden spisuje, drugi przepisuje, trzeci dopisuje, czwarty odpisuje, piąty wypisuje, a może wpisuje, szósty nie dopisze. Siódmy nie napisze. Zyg-zyg marcheweczka. Ja jestem tym siódmym. Urodzonym w niedzielę. Nie, niczego nie napiszę, nie lubię pisać, nie nadaję się do tego. Nie znoszę pisania. Pisanie mi nie służy. Pisanie się ze mną nie zgadza. Ja nie zgadzam się z pisaniem. Na pisanie się nie zgadzam. Za Boga nie napiszę.

Nigdy nie lubiłem pisać. W szkole, a były to przecież już lata sześćdziesiąte, sputniki strzelały w przestrzeń, a nieco później rakieta latał sowiecki bohater, ja musiałem siedzieć w ławce w tandemie, ławka to był jeden unit, jak z *Umarłej klasy*, z jednym kałamarzem pośrodku, u góry, a przy górnej krawędzi z nachylonym pod kątem blatem, zgryzionym zębem czasu, z drewna, które niejedno mogłoby opowiedzieć. Tandem szkolny i peerelowski nauczyciel. Umierać, nie żyć! Już wtedy bolały mnie plecy od pisania, jeszcze zanim

umoczyłem stalówkę w kałamarzu. Mój sąsiad z ławki-unitu kpił z moich okularów i śmiał mi się w żywe oczy, kiedy usiłowałem usadowić się w sztywnej przestrzeni po mojej stronie kałamarza. Chyba niezbyt zręcznie. W domu też nie nosiłem pisania. Bolały mnie plecy. Bolały mnie też, kiedy rysowałem, to prawda, całymi godzinami, ale przy rysowaniu wszystko odbywało się błyskawicznie. Wszystko. To znaczy rysowanie. *Satisfaction guaranteed or your money back*. Tak, lubiłem ból pleców przy rysowaniu, ale wykańczał mnie on, kiedy pisałem. Z czasem przywykłem do pracy w pozycji stojącej, nachylony nad rajzbretem. Do dziś często to robię.

Wystarczy mi ojca pisanina. Pisanie nic nie załatwia, niczego nie zmieni, niczego nie rozwiąże, niczego nie zmaże. Zamaże. Historycy zamazują. Niektórzy wymazują. Jedni kłamią. Drudzy przekłamują. Trzeci odkłamują. Czwarci dokłamują. A wszyscy piszą. Swoją historię. Swoje historie. Po to zostałem architektem. Żeby nie pisać. Żeby coś skonstruować. Czego można dotknąć. Coś, co pozostanie. Na zewnątrz, nie w mózgu. Nie daj Boże. Ojciec, wujek zresztą też, wciąż komentowali, wciąż krytykowali, to co widzieli wokół siebie. Budynki. Ulice. Całe miasta. Oszpecili nam miasta, lamentował wujek. I nie tylko w peerelu. U was w Skandynawii też. Tyle strasznych budynków. Wszędzie ten budowlany koszmar. Przecież to robią architekci. Pierwsi poruszyciele.

Fiszki, ręcznie zapisywane, ojciec wyrywał kartkę z zeszytu. Dwie kartki ze środka, cztery strony. W kratkę, w linie, dwulinie, trzylinie, pięciolinie. Rozrywał dwie kartki ze środka zeszytu, zszywanego dwiema metalowymi zszywkami – najpierw wzdłuż linii spięcia. Potem każdą z kartek zginał w pół, paznokciem przejeżdżał po krawędzi, rozkładał i rozrywał na kolejne dwie części. Wzdłuż linii zgięcia. Z jednej podwójnej kartki robiły się cztery dwustronne fiszki. Te tak zwane fiszki, grupami po cztery, gruntownie zapisywał, na każdej fiszce zapisywał skrupulatnie: w górze musiało być hasło, na dole komentarz lub nota bibliograficzna. W miarę potrzeby można było kontynuować na odwrocie. Ojciec zapisywał: *verte*. I wkładał do pudełka po butach. Z informacją na jego wąskim boku. Pudełka. Pudełko obok miało inną informację. Pudełko wyżej inną. Pudełko niżej jeszcze inną. Ściana pudełek w pokoju. Ściana pokoju zasłonięta ścianą pudełek z fiszkami. Pamiętam od dzieciństwa. Pudełka, na które nieuważnie wpadaliśmy w czasie zabawy, zbyt rozbawieni, by uważać. Wtedy fiszki rozsypywały się na cały pokój. Niby nieumyślnie, ale przecież licząc się z tym, i tym się rozkoszując, wkalkulowawszy ryzyko.

Nie chcę pisać. Nie tak, jak ojciec. Nie chcę siedzieć nad stołem. W straszliwej pozycji. Od rana do wieczora. Godzinami. Często zakładasz nogę na nogę, mówiła Bianca, skutecznie ograniczając przepływ krwi i limfy, części powyżej kolan sztywno przygwożdżone do fotela, pośladki mrowią, mięśnie dwugłowe mrowią, część lędźwiowa mrowi, dopomina się o zmianę pozycji, o pracę mięśni, antagonistycznych, te mięśnie u ciebie nie pracują, siedzą, przybite grawitacją, nie mają jak wykorzystać dostarczanego przez aorty tlenu, autoopresja, krew fatalnie krąży w tych częściach, a przecież mięsień, w tym wypadku oba mięśnie, mięśnie obu pośladków, to największy mięsień w naszym organizmie, największy, mówiła Bianca, więc i krwi potrzebuje dużo, a teraz wciśnięte w fotel, wcześniej w szkolne ławy, sztywne, w czasach, gdy o ergonomii pojęcie było blade, zaczynają się buntować, dając sygnał do mózgu tym mrowieniem. Proprioceptory z grupy interoreceptorów informują o bólu, coś niedobrego dzieje się wewnątrz twojego ciała. Nie lepiej z górną częścią, niewygodna pozycja utrzymywana przez godziny, spastyka mięśni szkieletowych, piersiowych, ramiennych, przedramiennych, mięśni karku, całe duże grupy mięśni, niektóre z nich nadużywane (potrzebne podczas pisania), inne zapomniane, bo niepotrzebne, to wszystko powoduje dyskomfort. Do tego, jakby było zbyt mało, dochodzi ból związany z zakwaszeniem organizmu. Kwasy mlekowe, uboczny produkt rozpadu glukozy, wysyłanej z wątroby w procesie glikozy, zaczynają drażnić kolejne i kolejne włókienka, zbite w pęczki mięśni, a skąd te bóle?, pytała Bianca. Daj spokój, odpowiadałem. Zamknij się wreszcie.

Przy komputerze też nie chcę siedzieć. Siedzieć i pisać. Tak, jak ojciec. Nie chcę w straszliwej pozycji siedzieć nad stołem od rana do wieczora. Godzinami. Siedzieć i pisać. O doświadczeniach. Najpierw pisał na maszynie. Teraz przestawia się na komputer z pamięcią. O doświadczeniach. Najlepszych. Albo przestrogi dla kraju. Najgorsze. Od samego patrzenia na niego robiło mi się niedobrze. Jak przelewa na papier. Swe myśli. Swe koncepcje. Hipotezy. Nie, dziękuję, żadnych hipotez! Wciąż zaczynał od ręcznych notatek. Zapisywał całe bruliony. Potem trzeba to było przepisać, musiał to przepisać na maszynę. Sam przepisywał. Nie oddawał, jak to się mówiło, maszynistce. Maszynistka to była kobieta od maszyny do pisania. Maszynista to prowadził parowóz, albo elektrowóz. Ojciec przepisując, musiał korygować, na białą, zacierał błędne litery. Na przywiezionej z Anglii IBM. Której zazdrościli mu koledzy historycy. Wciąż jakieś rywalizacje. Wadziło się pióro z kałamarzem. Niedopowiedzenia. Animozyje. Większe i mniejsze. Z A większe, z B mniejsze. Z A o IBM.

Z B o powstanie. A jednak pewna solidarność. Nie pewna. Wobec sytuacji na zewnątrz. Bo, jak by nie było, wszyscy niby w jednej łodzi. W jednej szalupie, przeciekającej. Cenzura. Ojciec kupił tę maszynę IBM, kiedy w angielskiej ofercie pojawiły się kule z czcionkami polskimi. Błędnie postawione litery, polskie czy nie, usuwał nie taśmą korekcyjną, tylko podkładając cieniutki plastikowy film, z jednej strony pokryty białą materią. Korektor. Trzeba było, uderzając w ten biały prostokąt, ponownie uderzyć błędnie umieszczoną na papierze czcionką, powtórzyć błąd, tym samym go anulując, pokryć czarne białym, aby postawić właściwą literę. Piekielnie czarną. Tusz amerykańskiej jakości.

ADRIANA SZYMAŃSKA

Postulat ostateczny

Urodzić się. Pomnożyć
ten cud przemienienia w ciało i duszę –
z niczego. Z niepokromionych tęsknot
swoich przodków. Być dzieckiem
miłosnej potęgi niepojętego Boga.
Doświadczać radości i grozy
niezmierzonych przestrzeni, otaczających
twoje kruche trwanie.
Wyskakiwać ponad granice niemożliwego,
w szalonym tańcu lęku i ekstazy.
Siła rodzi się tylko z bólu – powiedział
któryś z wieszczów. I jeszcze:
mierz siły na zamiary. A jeśli zamiar
przekracza twoją zdolność obłaskawiania sideł
niemocy? Jeśli proporczyk
myślącego – Jestem – to czyste złudzenie?
Bo odtąd-dotąd ciebie jest ledwie ułamkiem
wielkiej niewiadomej w zgadywance zwanej
wszechświatem. Przywołaj się więc
do początku, gdy trąba archanielska
ogłosi zwołanie rady starców niebieskich, a Bóg,
patrząc na nas – swe ziemskie potomstwo,
spojrzy też kątem oka na ciebie,
widząc tamto dziecko, którym przecież
nigdy nie przestałeś być.

Ostatnie życzenie

„Moich jeszcze miejsc pełne, czy się do mnie przyznajesz, powietrze?”
Rainer Maria Rilke, *Sonety do Orfeusza* (II.1.)

Nie przysypujcie mnie w grobie ziemią,
niech powietrze i tu dotyka mego ciała i kości.
Powietrze – mój żywioł, mój żywiciel, mój znak
pokoju. Niech będę jak mazurek fis-moll Chopina,
którego dźwięki tańczą, rozpryskując się aż do gwiazd.
Niech pozostanę tą melodią w uszach prowincji,
która kołysała mnie przez tyle lat zachwycenia
i trwogi. Która tuliła mnie w chwilach rozpacz.
Która obdarzyła mnie mocą otwierania bram
niepojętości i cuciła gałązką brzozy za oknem
ze zbyt ciężkich snów.

Nie przysypujcie mnie w grobie
ziemią, niech pozostanę światełkiem w oczach,
zasnutych mgłą śmierci. Niech wylecę
biedronką wytchnienia z ciemnego źródła zmysłów,
wstrzymanych w swych wędrówkach na zawsze.
Niech zamknie się nade mną księga końca, załśni
dzień początku – symfonia przestworzy, przeczuta,
lecz niesłyszana nigdy w krainie żywych.

Słuchając Chopina

Krople deszczu, kryształki lodu, igielki
promieni. Wszystko unoszone miękką dłonią
wiatru, ze łzą w oku Boga lśniąca u szczytu nieba.
Tu i teraz jest właśnie miejscem ostatecznego
spotkania z dziejącą się od wieków historią.
Z miłosną opowieścią o bólu i tęsknocie,
o szczęściu przebywania wśród sfer niebieskich,
wśród śpiewu galaktyk i gromowładnych
posłańców przestworzy.

Ktoś idzie, nucąc śpiewną kołysankę, spotyka kogoś
z głodem w sercu, z krwawiącą raną w pamięci.
Tańcz więc, tańcz boskiego poloneza – stąd po kres
nieskończoności, otwieraj oczy niewidzącym, uszy
niesłyszącym, zamieszkaż w oddechu tej muzyki,
która płynąc, przystaje na progu twego zachwytu,
która wibrując wokół ciebie, przemienia cię
w witraż ze światła.

EWA SONNENBERG

Brama

W dzieciństwie matka opowiadała mi historię o skrzypku i jego córce
Gdy zmarła mu żona wziął skrzypce i swoją córkę i wyszedł z domu
Córce kazał zatrzymać się w bramie i powiedział: czekaj tu na mnie zaraz wrócę
Mijały godziny dziewczynka czekała ale ojciec nie wracał
Ta historia jest historią mojego przyjscia na świat
Ktoś kazał mi poczekać na Ziemi zostawiając w drzwiach jakiegoś domu
Tak spotkałam swoich rodziców odczuwając że ten ktoś jest blisko mnie
Mijały lata między obchodzonymi świętami a codziennością
Coraz więcej rozumiałam poza jednym: dlaczego ten ktoś mnie opuścił
Gdziekolwiek byłam czułam jakbym należała do kogoś niepojętego
Nieustannie czekałam dlatego każde miejsce było jak poczekalnia
Należałam do kogoś kto był zarówno blisko jak i daleko ale nigdy ze mną
Gdy byłam już dziewczyną pokochałam skrzypka
W pewnym sensie myślałam że jest tym kimś
Kto kazał mi poczekać na siebie na Ziemi
Więc czekam historią dziejami sztuką literaturą filozofią
Dogłędana jego dalekimi gestami
Czekam dostrzegając jak wszystko staje się cieniem
Czekam wciąż w tej samej bramie patrząc na te same drzwi
Drzwi które kiedyś ktoś otworzy i powie: wróciłem
Drzwi bywają bolesnym zamknięciem w granicach ciała
Może dlatego gdy zawołałam dlaczego jest bólem
W ciemności ukazały się drzwi jak błękitne światło
Pulsujące każdym milimetrem swojego istnienia
Jak mgławica rozpędzona pogonią za uciekającym wszechświatem
Więc czekam opowiadając świat na różne sposoby
I wymyślając nowe znaczenia na określenie drzwi
Za progiem są ci którzy są jednym ze mną
Mówią: jesteś jedną z nas

Składał dom jak meble z Ikei
Dom do jednorazowego użytku
Gdy złożył już dom
Nie mógł się dostać do środka
Klucz nie był kluczem
Drzwi nie pasowały do całości
Okna tylko przypominały okna
Nie rezygnował
Zburzył dom i powiedział:
Tak robi się historię
Tak dopisuje się komentarze do zdarzeń
Wielki bagaż ludzkich serc
Teraz zacznę od klucza i drzwi
Reszta przyjdzie sama
Zdarzenia i przełomowe sytuacje
Teraz wybuduję wiersz
Zamieszkają w nim moje wyobrażenia i lęki
Ale dom nie chciał się budować
Wiersz nie był wierszem
Klucz choć był życiem nie pasował do drzwi
Otwierał je tylko na tę samą stronę świata
Jakby zapomniał co jest za progiem

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

Historia jako zmyślenie (wokół *Żeglarka* Jerzego Szaniawskiego)

Nie żywię w tym przedmiocie wątpliwości: jest to jeden z najwybitniejszych dramatów polskich powstałych w wieku dwudziestym, niezwykle za sprawą swojej konstrukcji, przede wszystkim jednak dzięki zdramatyzowaniu problematyki, aktualnej wówczas, gdy sztuka powstała, ale też żywotnej dzisiaj, niemal sto lat później, gdy ją się czyta nie jako zabytek z dawnych czasów, ale jako świetnie pomyślaną fabułę o doniosłej sprawie i – przede wszystkim – o fascynującym, społecznie istotnym problemie. W tej niezwyklej sztuce, określonej przez pisarza, tak zresztą jak kilka innych, mianem komedii, choć z całą pewnością nie jest nią w szeroko przyjętym czy skonwencjonalizowanym sensie, nie mówi się o historii w ujęciu tradycyjnym, pokazuje się zaś to, jak się opowiedzieć historyczną, a w istocie niby-historyczną, tworzy, w jakim celu to się czyni, jakich środków się używa, by – posłużmy się słowem, które stosunkowo niedawno weszło z wystąpienia naukowego do potocznej polszczyzny i zdołało się w niej zadomowić – narrację o tym, co miało być wydarzeniem historycznym, skomponować, uprawdopodobnić i przede wszystkim przekonać do niej tę społeczność, wśród której amatorzy nowych wersji dziejów żyją i do której się zwracają. *Żeglarz* nie jest sztuką historyczną, nie odnosi się do żadnego znanego z dziejów przekazu, ale nie przejmuje też wątków z krążących w różnych środowiskach ucukrowanych fabuł, w pewnym sensie ma charakter przykładowy. Zanim wszakże sprawą tą szerzej się zajmiemy, musimy stwierdzić pewne fakty, czy raczej przywołać zastygłe opinie o twórczości dramatycznej Jerzego Szaniawskiego, które chyba bez zastanowienia powtarzane, powracają, choć zdecydowanie nie oddają jej charakteru.

Był on dramaturgiem znanym za życia, dzisiaj może nie całkiem zapomnianym, ale wyraźnie przesuniętym na boczny tor*. W okresie międzywojennym

* Warto zasygnalizować, że pamiętają o nim, choć nie w takim stopniu, jak można byłoby oczekiwać, historycy literatury. W ostatnich latach ukazały się dwie wartościowe książki o jego twórczości: Radosław Sioma, *Niewinność i doświadczenie. O komediopisarstwie Jerzego Szaniawskiego*, Toruń 2009; Sylwia Kucharuk, *Pirandello i Szaniawski. Przyczynek do badań komparatystycznych*, Lublin 2011.

jego sztuki były wystawiane przez liczne teatry, także te najlepsze, miały powodzenie, ale też stały się przedmiotem ułatwionych recenzyjnych interpretacji, pośpiesznie formułowanych opinii i sądów, które weszły w obieg, rozpowszechniły się, szybko zbanalizowały – i są, a w każdym razie były, bezkrytycznie powtarzane. Przede wszystkim zaś do sztuk tych nie przylegały, spłaszczają je, a jeśli nawet wskazywały na pewne ich właściwości, to nie na te, które wydają się najciekawsze i najważniejsze, gdy patrzy się na nie z dzisiejszej perspektywy. Rzecznik „szaniawszczyzna”, który podobno sam pisarz określił nie jako nazwę, ale przezwzię, wszedł w obieg bodaj jeszcze w okresie międzywojennym, w latach socrealizmu z ochotą nim się posługiwali ci, którzy jego twórczość odrzucali jako odległą od tego, co wówczas oficjalnie narzucano jako poetykę obowiązującą. Owa „szaniawszczyzna” polegać miała na eksponowaniu ulotnych nastrojów i zafascynowaniu psychologicznymi subtelnościami, jakimiś niezbyt istotnymi smaczkami, czyli na zaawansowanym estetyzmie i eskapizmie, znaczącym tyle, co odrzucenie spraw ważnych w realnym świecie. W niektórych dramatach takie ujęcia występują, są jednak zjawiskiem marginesowym, najciekawsze z nich, a myślę tu między innymi o takich jak *Most*, *Fortepian* czy *Dwa teatry*, w żaden sposób nie dają się do nich sprowadzić. Przede wszystkim jednak odnoszę te uwagi do *Żeglarza*, czyli jak się zdaje najwybitniejszego i najbardziej oryginalnego dramatu Szaniawskiego; po zapoznaniu się z nim należy takie opinie między bajki włożyć. Sprowadzanie go do ulotnych nastrojów i wymyślnych gier psychologicznych zupełnie nie koresponduje z jego charakterem i świadczyłoby po prostu o rozmijaniu się z tekstem, lub nawet o jego niezrozumieniu.

Jak czytać (lub oglądać) *Żeglarza*? Pisarz określił go jako „komedię w trzech aktach”, nie można mieć wszakże wątpliwości – nie jest to komedia w przyjętym sensie, dobrze zakotwiczona w tradycjach gatunku, sięgających starożytności. Samookreślenie owo traktowałbym z dystansem, poniekąd naturalnym w przypadku sztuki powstałej w czasie, w którym sztywne podziały gatunkowe utworów dramatycznych przestały obowiązywać, a takie czy inne kwalifikacje mogły wskazywać jedynie na pewne ukierunkowanie i być dla widza drogowskazem w sensie najogólniejszym, ale niekoniecznie bezwzględnie obowiązującym. Nie przypadkiem spopularyzowało się określenie w zasadzie neutralne: sztuka, myślę, że ono lepiej przylega do dramatów Szaniawskiego, w tym do tego, który stanowi przedmiot przedstawianych tu uwag. Lepiej przylega również z tej racji, że łączą się w nim rozmaite żywioły – i wszystkie, w tym komediowe, wprowadzone zostały w świetnie i oryginalnie pomyślaną fabułę, a dotyczy ona sprawy, której wagę i ogólne znaczenie trudno kwestionować. O niej bezpośrednio

niemal się w sztuce nie mówi, jest ona jednak motorem wydarzeń, a także stanowi odwołanie do faktów, tendencji i problemów, które nie były marginesową błahostką w czasie, w którym *Żeglarz* powstał.

Ową fundamentalną kwestię można określić rozmaicie: fabuła opowiada o stosunku do historii, pokazuje to, jak dla takich czy innych celów nią się manipuluje, jak się ją zniekształca, jak się świadomie, by nie powiedzieć: cynicznie, formuje mit i jak w zamierzeniu jego kreatorów ma on być odbierany, jak ma oddziaływać. Niektórzy komentatorzy i recenzenci sztuki wskazywali, że odwołuje się ona w większej lub mniejszej mierze do takich czy innych zdarzeń z okresu międzywojennego, do takich czy innych ideowych polemik, w tym także do analizowanej przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego (i odrzucanej) praktyki tak zwanego brązownictwa. Nie mam zamiaru kwestionować tego rodzaju tez, niewątpliwie mają one choćby częściowe uzasadnienie, nie wydaje się wszakże, by odwołania do realiów epoki stanowiły element czy współczynnik najważniejszy. Bo jest to sztuka – tak ją określimy – problemowa o tym, co ma wymiar uniwersalny. Jest problemowa, dotyczy podstawowej kwestii, ma wyraźne odniesienia do rzeczywistości społecznej w sensie szerokim, niedającym się sprowadzić do konkretów, mimo to wszakże w żadnym wypadku nie sposób stwierdzić, że mieści się w obrębie poetyki realistycznej, choć przynajmniej z pozoru w niczym nie wykracza poza nią – zwłaszcza w tej postaci, w jakiej dramaturgia owa ukształtowała się w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, by wymienić choćby tylko twórczość Ibsena (jego nazwisko dość często pada w pracach o Szaniawskim); także w literaturze polskiej ten styl dramatu miał swoje ciekawe i godne uwagi reprezentacje.

Radosław Sioma w przywoływanej książce przytacza opinię Kazimierza Wyki, który wskazuje na niedookreśloność elementów zajmujących w *Żeglarzu* istotne miejsce, obejmujących tak czas, jak i przestrzeń. Znakomity historyk literatury zadaje pytanie, które potraktować należy jako fundamentalne: „Gdzie my właściwie jesteśmy w tej komedii, w jakim otoczeniu i w jakich czasach?”. Nie chodzi tu, rzecz jasna, o te „miejsca niedookreślenia”, których rolę w strukturze dzieła literackiego wskazał i analizował Roman Ingarden, chodzi o rzecz bez porównania prostsza. Monografista dramaturgii Szaniawskiego dodaje: „Niedookreśloność tkwi przede wszystkim w konstrukcji czasu i przestrzeni”, łącząc ją z poetyckim charakterem dramatu. Wyjaśniałbym tę właściwość *Żeglarza* inaczej. Dramat ten, choć dotyczy sprawy nader realnej, nie jest – jeszcze raz powtórzę – sztuką realistyczną, w jej obrębie zatem to, co w dziele inaczej pomyślanym byłoby konieczne, tutaj nie tylko potrzebne nie

jest, ale stanowić by mogło zbyt duże obciążenie albo wręcz wskaźnik mylący i zbijający odbiorcę z właściwego tropu. Na postawione przez Wykę pytanie nie ma odpowiedzi nie dlatego, że zostało wadliwie sformułowane, przeciwnie, jest podstawowe, nie ma zaś na nie odpowiedzi z tej racji, że jej uniemożliwienie zostało wpisane w poetykę utworu, a więc jej z góry założony brak jest jednym z czynników decydujących o charakterze fabuły. Nie można jej sprowadzić do anegdoty, która wypełniona byłaby dającymi się zweryfikować w mniejszym lub większym stopniu realiami; Radosław Sioma podkreśla, że gdyby realia morskie przywołane w dramacie traktować poważnie, to można byłoby sądzić, że dzieje się on w czasie wojen napoleońskich. Podobnie rzeczy mają się z kształtowaniem przestrzeni.

Powtórzę za Siomą, że z jednej strony jest to metropolia, niewątpliwie leżąca nad morzem, miasto uniwersyteckie, skoro Jego Magnificencja Rektor jest jednym z lokalnych dostojników, a także stolica, skoro na uroczystość przybywają ambasadorowie z małżonkami – i mamy pewność, że nie zjechali na podniosłą galę z daleka, spoza gór i rzek. Ze strony drugiej zaś jest to małe prowincjonalne miasteczko, jakaś dziura z jednym barem prowadzonym przez wdowę po doktorze, dziura, w której wszyscy wzajemnie się znają i wszystko o sobie wiedzą, a także wpadają na kielicha do tej samej, chyba niezbyt wytwornej restauracyjki. Nie sposób jednak twierdzić, że Szaniawski nie dba o realia i dopuszcza do rażących anachronizmów, one po prostu nie są ważne w wymiarze jednostkowym. Szczegóły i konkrety, gdyby były traktowane w pełni serio w duchu realizmu, zakłócałyby strukturę (i pośrednio problematykę) dramatu, a może nawet kwestionowały jego uniwersalną wymowę. Nie należy do niego przykładać miar i kryteriów właściwych wówczas, gdy mowa o dramaturgii realistycznej. Ta fabuła dzieje się wszędzie i nigdzie, zawsze i nigdy. I to właśnie można uznać za jej cechę najbardziej charakterystyczną.

Powtórzę, *Żeglarz* stanowi sztukę problemową i dodam, że utrzymany jest w formie przypowieści. Nie znaczy to, że ma charakter alegoryczny, znaczy zaś, że to, co w nim się pojawia, ma wymiar ogólny, choć składające się na tę alegorię kwestie postaci, a także wydarzenia nie są traktowane jako przykład, będący ilustracją idei, którą ujmuje się tak, jakby była prawdą uniwersalną i miała powszechnie obowiązywać. Nie ma to żadnych związków z moralizowaniem, pouczeniem czy w ogólności – z jakąkolwiek dydaktyką. Szaniawski posługuje się formą przypowieści tak, jak to czynili wielcy pisarze dwudziestego wieku, czyli nadaje jej autonomię, wyzwala od funkcji użytkowych i doraźnych, nie podporządkowuje takiej czy innej ideologii. W tym wypadku rzeczy mają się w swej

istocie przeciwnie: fabuła jest elementem opowieści o tym, co się dzieje, gdy oficjalna ideologia jest nawet nie na pierwszym planie, ale w odwodzie. Powiem dokładniej: *Żeglarz* jest dramatyczną fabułą o tym, co się dzieje, gdy wizję historii chce się podporządkować pewnym przyjętym z góry założeniom, gdy się do celu tego zmierza za wszelką cenę i wbrew okolicznościom, gdy prawdę chce się zastąpić fikcją tworzoną rozmyślnie, wbrew wszelkim przeciwwskazaniom i po prostu faktom. Mamy tu zatem do czynienia z przypowieścią o tworzeniu konfraktycznej narracji historycznej. Albo inaczej: o tworzeniu historii na nowo.

Wielkość tego dramatu Szaniawskiego polega między innymi na tym, że – inaczej niż byłoby na przykład w sztuce z tezą – o tych sprawach się nie mówi, one ujawniają się w toku misternie skonstruowanej fabuły, to z niej wyłania się zasadniczy problem, stanowiąc motor wydarzeń. Fabuła, będąca ich podstawowym przekazywaczem, wystarczy, niepotrzebne są komentarze lub uogólniające refleksje. Niepotrzebne, bo sama historia kreowania opowieści o rzekomym bohaterze ma już wymiar ogólny – tak jak ma go przypowieść. Z tą różnicą, że ze sztuki Szaniawskiego nie wyłania się jasno sformułowany czy choćby tylko delikatnie sugerowany morał, jaki odbiorca miałby przyjąć i uznać za właściwy i słuszny, w swej istocie niedający się zakwestionować. Zamiast morału czy jednoznacznego przesłania pojawia się w finale dzieła groteska, mająca dla niego znaczenie podstawowe.

Zanim się nią zajmę, chciałbym zwrócić uwagę na swoistą cechę konstrukcji bohaterów. Lista postaci jest wyraźnie dwudzielna. Większa ich część określona jest przez swoje profesje bądź pozycję, jaką w świecie dramatu zajmuje. Mamy zatem trzech niewątpliwych dostojników, bo są nimi Przewodniczący, Rektor i Admirał (pierwszy z nich jest najważniejszy, dwaj pozostali, zwracając się do niego, używają formuły „kochany Prezesie”), mamy Rzeźbiarza, który wykonuje na ich zamówienie statuę tego, któremu chcą przyznać godność bohatera, mamy Wydawcę i Starego Marynarza i wreszcie Doktorową, wdowę po okrętowym lekarzu, prowadzącą bar, odgrywający w przedstawianym świecie ogromną rolę. W spisie osób także figury epizodyczne pojawiają się jako Kapelmistrz, Pan z Komitetu, Student. Takie nazywanie sporej części postaci wyklucza wszelkiego typu problematykę psychologiczną, sprowadza je do wykonawców pewnych społecznych zadań i pewnych społecznych ról; ich indywidualne właściwości schodzą na daleki plan i w istocie nie mają większego znaczenia, bądź mają je w minimalnej dawce. Gdy patrzy się na *Żeglarza* z tej perspektywy, można zasadnie powiedzieć, iż jest zaprzeczeniem dramaturgii zorientowanej psychologicznie, a więc także tego, co uznano za manierę i nazwano szaniawszczyzną.

Lista bohaterów wyposażonych w imiona własne jest zdecydowania krótsza. Młody historyk, który nie zadowala się tym, co głosi legenda, i chce się przekonać, jak rzeczy miały się naprawdę, nosi imię Jan, jego narzeczona nazywana jest Med, ten, który miał być bohaterskim kapitanem Nutem i zginąć w czasie pożaru na statku, bo heroicznie ratował pasażerów, to Paweł Szmidt. Pozostały jeszcze dwie młode kelnerki, odgrywające doniosłą rolę w zakończeniu sztuki; są one czymś więcej niż tylko epizodycznymi figurami, pisarz obdarzył je imionami zdrobniałymi: Felcia i Iza. To im właśnie, młodym, naiwnym i niedoświadczonym, przyznana została – jak zobaczymy – ważna funkcja w rozwoju fabuły, a także istotne miejsce w ideowym przekazie, z niej się wyłaniającym.

Trzej prominenci pragną opowiadać o tym, co miało być faktami historycznymi; manipulowanie fałszywą narracją, a w konsekwencji świadomością społeczną, nie jest oczywiście bezinteresowne, chodzi o narzucenie społeczności, w której żyją i której przewodzą, pewnych przekonań i równocześnie o skłonienie do pewnego rodzaju zachowań. Ci dostojni panowie, przedstawiciele establishmentu, w istocie nie pytają o prawdę historyczną, nie zabiegają o to, by do niej dotrzeć, ona w istocie znajduje się poza zasięgiem ich zainteresowań, dla nich ważny jest aspekt socjotechniczny. Szukają świadectw rzeczowych i dokumentów nie po to, by na ich podstawie stwierdzić, jak było w istocie, ich stosunek do nich nie ma charakteru poznawczego. Wszelkie ślady życia i czynów kapitana Nuty, którego wybrali na bohatera, są dla nich ważne tylko z tego względu, że mają uprawdopodobnić i umotywować przedstawianą przez nich wersję historii. To zaś, że w pewnej mierze sami wierzą (czy raczej chcą uwierzyć) w legendę, którą konsekwentnie budują i narzucają mieszkańcom (kraju, metropolii, miasteczka), ma znaczenie zgoła niewielkie. Bo to właśnie lud prosty ma przyjąć z dobrą wiarą, czy po prostu „kupić”, to, co ci trzej ważni mężowie głoszą i czemu podporządkowują swoje mitotwórcze działania. Niezwykłość i nowatorstwo sztuki Szaniawskiego polega na tym, że elementem fabuły czyni to, jak się podchodzi do zdarzeń przywoływanym z przeszłości, jak się modeluje i przekształca „prawdę”, jak się do niej wprowadza elementy niesprawdzone i jak się ją lekceważy i ma w pogardzie, podporządkowując ideologicznym założeniom; nie można oczywiście zapominać o tym, jakie socjotechniczne cele chce się osiągnąć, odwołując się do tego rodzaju praktyk. W połowie lat dwudziestych, kiedy *Żeglarz* powstał i był z sukcesem wystawiany, nie funkcjonował termin „polityka historyczna”, choć oczywiście ją na różne sposoby uprawiano, bo czy się chce, czy nie chce, bywa ona dziejów cieniem. Nowatorstwo i oryginalność tej niezwyklej sztuki polegają na tym, że przedstawia – jak na przypowieść

przystało – jej mechanizmy. To, co miało być historią, czyli wierzytelną relacją o przeszłości, zrównało się ze zmyśleniem, sprowadzone zostało do statusu fikcji.

Ten niezwykle efekt osiągnął Jerzy Szaniawski środkami ściśle dramatycznymi, nie ma bowiem w tej sztuce żadnych dywagacji na ten temat, choć chodzi przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, o tę sprawę. Pisarz żadnego z bohaterów nie uczynił plenipotentem, upoważnionym do wyrażania poglądów, które mogłyby być traktowane jako jego przekonania, te, które aprobeuje i chciałby przekazać teatralnej publiczności. Uczynił to w inny sposób. Elementy groteski pojawiają się w toku utworu tu i ówdzie (na przykład wtedy, gdy mowa o zabytkach, jakie miały być związane z bohaterskim kapitanem Nutem), podstawową wagę ma wszakże to, iż groteskowe okazuje się zakończenie. Uroczystość ku czci mniemanego herosa, któremu wystawiono spiżowy pomnik, odbywa się, ale w istocie staje się domeną zamieszania, z którego wyparowuje wszelki patos. Czytelnik i widz poznaje ów żalony finał w sposób znany w sztuce dramatycznej od czasów antycznych. Starożytni Grecy nazywali ten teatralny chwyt terminem *teichoskopia*. Niezmiernie ważne wydarzenia dzieją się poza sceną, widz (a także czytelnik) poznaje je dzięki relacji postaci, która je obserwuje i niejako na żywo o nich opowiada. Ta doniosła funkcja nie została powierzona żadnej z ważnych postaci dramatu, nie została zlecona Janowi, który – jako jedyny – starał się dotrzeć do prawdy uroczystość oglądamy z perspektywy prowadzonego przez Doktorową baru, przyglądają się jej przez okno dwie młode pracownice, o których już wspominaliśmy: Iza i Felcia. Dla nich jest to ważne wydarzenie nie z takich czy innych merytorycznych powodów, po prostu staje się ono urozmaiceniem nudnego życia (w zakończeniu miejscowość, w której przebiega akcja sztuki, jest raczej małym, niezapewniającym atrakcji prowincjonalnym miasteczkiem niż metropolią z uniwersytetem i ambasadami). Dowiadujemy się, że patetyczna muzyka rozbrzmieć nie może, bo zbuntowali się muzycy, którym za występ w czasie uroczystości nie zapłacono. Czy kapitan Nut, który dożył późnego wieku pod innym nazwiskiem, nie mając na swym życiowym koncie – delikatnie mówiąc – żadnych bohaterskich czynów, przypatra się uroczystościom, czy rzeczywiście został bohaterem społeczności, której przewodzą Rektor, Admirał i najważniejszy z tej trójki Przewodniczący, tego nie wiemy. I się nie dowiemy. Komedia skończona?

KATARZYNA BOLEC

Wielka noc

Gromada ludzi, nawet nie przyjaciół
Siedzi na polanie
Chcą słuchać opowieści, bo opowieści chcą słuchać
Ludzie w każdym wieku
Przypominasz mi się, nawet nie ty, ale moje wyobrażenie ciebie w tamtych czasach
Chłopak idący przez osiedle i rzucający pustą butelkę przez skwery, parkany
Na nasz widok zbiegają się dzieci i psy,
Stare kobiety kiwają głowami
Jest Wielki Piątek
W powietrzu czuć święto, ale jesteśmy za granicą
mamy swój kalendarz
i żadna siła nas nie zmusi, aby pójść do cerkwi
Nie mogę już powstrzymać biegu tamtych zdarzeń
Isniących jak skrzydła samolotu w nieczynnym hangarze,
Opustoszałe pola ciągną się kilometrami
Widzę siebie,
W porannym słońcu,
Rozpostartą na kocu, gotową do drogi,
Dziewczynę, która myśli, że słowo to najlepsza broń
Trzymam je w zanadrzu, szukam po kieszeniach
jak reszty,
ale reszta ponoć jest milczeniem...
Słowo już nie działa, zupełnie nie działa
jak rowerek z dzieciństwa, huśtawki na placu,
Dziewczynę, która robi wszystko,
aby należeć do drużyny
drużyny pierścienia
nawet jeżeli pierścień to kawałek blaszki, która dużo kosztuje, a jest mało warta

Przypływy

Lot ptaka zdarza się rzadko
Widzę dwa ważne miejsca,
Tak jakbym była mewą, która ogląda świat z za burty statku
ze wszystkich huśtawek na placu zabaw,
najbardziej fascynująca była ta na planie koła
kręciła się niebezpiecznie, można było zatrzymać się przy niej dłużej
i wyobrazić sobie, że jest się na okręcie płynącym w nieznanie
kołysanie statku przypomina
ruch tamtej karuzeli
łagodny obrót, lekcję gimnastyki
zielona woda ustępuje pod naporem łodzi

patrzę na ludzi tłoczących się na Ellis Island
tymczasowych wyspiarzy
podpatrujących życie na stałym lądzie,
kiedy mieszkałam w Anglii,
za moim oknem pływały barki
o słodka zielona Anglia i jej niezmqcone niczym wody
raz zobaczyłam w wodzie martwe ciało lisa,
ale częściej widywałam ślady nocnej zabawy
wyrzucone nad ranem gwałtownie do wody
Lot ptaka zdarza się rzadko
o wiele częściej jest się pływakiem
albo nurkiem
wstępującym do zielonej wody,
aby płynąć szybko
po srebrny księżyc

Obrazki z wystawy

Ptaki i zwierzęta
Wszyscy są tutaj
Rozciągnięci na płótnach
W jaskrawych kolorach
Nie umiem namalować nawet koła
W oddali idą ludzie
Niosą prowiant, wodę
Jakby szykowali się na dalszą wyprawę
Dziewczyna, z którą jesteś, przechodzi przez ogień
I przeciera szlaki
Nie umiem namalować nawet koła
Po lewej stronie cietrzew rozkłada swój ogon
Jakby wachlował się od skwaru upalnego dnia
Dziewczyny w białych bluzkach
Zdają dziś egzamin, bilet pierwszej klasy
Zapewni im podróż długą i szczęśliwą
Dziewczyny w białych bluzkach mają czarną kreskę
namalowaną równo pod powieką
nie przetrą dla mnie szlaków do szczęśliwych niedziel
może chociaż kobieta, której dobrze nie widać
o wklęsłych biodrach i szarych policzkach
przeniesie mnie w wiklinowym koszu
na drugą półkulę
po drugiej stronie płótna

ALEKSANDRA FRANCUZ

roboty malarskie

jesteśmy więźniami jednego krajobrazu

w morenowym światłocieniu
przeszukuje malachitu

zanurza pędzel w mętach dawnego
nie odsąca poniechanych mów
pozostawia mocno sklezione skorupy resztki farb
fetysze arkadii

nawiasem mówię

ujmuję w
nawias
treść węższą
to co wypada
z wiązań ogniwa łańcucha
przekładnie duszy

międzywęźla

mierzę tętno
pulsuje ból –
na szczęście –
przewierca się
na drugą stronę
potrąca słowami
liniami wiersza

w ilu dnach

w ilu dnach
będziesz się odbijać jeszcze
żeby dojrzeć
w końcu
siebie

wyczuję pod stopami
poziomicę historii i życia
rytm pokoleń
alfabet niepiśmiennych
odmierzających igłą
odstęp od krzyżyka i koronki
mroku i jasności
zwabię
tych co wprawni w mowie utraconej
tulą
bez pieśczoł języka
do snu do śmierci

Traktaty Miłosza po szwedzku*

Z tłumaczem Jurkiem Hirschbergiem
rozmawia Renata Gorczyńska

Renata Gorczyńska: *Zapytał mnie pan w mailu, czy dostałam „moją książkę”, choć na okładce widnieje nazwisko autora: Czesław Miłosz, opatrzone nieco demonicznym zdjęciem poety i tytułem po szwedzku: Traktater på vers. Pana wkład złożono dużo mniejszą czcionką. Uściślijmy więc – jest to ponad czterystustronicowa księga zawierająca poezję traktatową Miłosza w pana przekładzie, z pańskim wstępem, przypisami oraz rozmowami o niej, przeprowadzonymi swego czasu przez Aleksandra Fiuta, Andrzeja Franaszka i niżej podpisaną. Rozumiem to uczucie, kiedy tłumacz poniekąd zawłaszcza dziełem poety w innym języku. Czy tak było w pana przypadku?*

Jurek Hirschberg: Interpretacja wielkich tekstów, czy w tłumaczeniu, czy na scenie, to również jakaś forma bezkrwawego kanibalizmu. Interakcja z cudzym piórem, wczucie się w cudzą myśl są tak silne, że prowadzą do owego „zawłaszczenia”, do transformacji cudzego utworu w „mój”. Tłumacz patrzy się podejrzliwie na rezultat i zadaje odwieczne pytanie: *Czuję ty, moj ili jewo?* Ale kto w końcu kogo zjadł, to tak na pewno nie wiadomo. A zresztą rodzice przecież nie protestują, kiedy nauczycielka mówi z czułością i dumą o „moich dzieciach”, więc może Miłosz wybaczyłby mi „moją książkę”.

R.G.: *Ale – mówiąc serio – co pana skłoniło do tego ambitnego przedsięwzięcia? Sądziłam, że po Noblu dzieło poetyckie Miłosza niemal w całości doczekało się przekładów na szwedzki. A tymczasem wygląda na to, że pan pierwszy podjął się przełożenia w całości Traktatu moralnego, Traktatu poetyckiego, Traktatu teologicznego oraz Sześciu wykładów wierszem.*

J.H.: Przekładów poezji Miłosza na szwedzki opublikowano rzeczywiście sporo, włącznie z ambitnym, acz nie w pełni uzasadnionym tytułem *Wiersze*

* Czesław Miłosz, *Traktater på vers (Traktaty wierszem)*, wstęp i przekład Jurek Hirschberg, Bokförlageth:ström – Text & Kultur, Umeå 2016.

zebrane 1931–1987. Być może jego uniwersalizm, oszczędność środków, odraza do wszelkich ozdóbek i fajerwerków przemawiają do rzeczowego, choć wrażliwego ludu Północy. Wydawnictwo Brombergów przez lata konsekwentnie tworzyło i podtrzymywało zainteresowanie Miłoszem. Zajmowało się nim wielu tłumaczy, a przede wszystkim nieoceniony Anders Bodegård. Pozostaje jednak sporo do przetłumaczenia, szczególnie wśród utworów wcześniejszych, form obszernych, często metrycznych, rymowanych – a i opublikowane tłumaczenia trudno przecież zawsze traktować jako definitywne. Poezja tej rangi pozostaje dla tłumacza studnią bez dna.

Traktatu moralnego i *Traktatu teologicznego* dotychczas po szwedzku nie było – jednego, bo zbyt wczesny, drugiego, bo względnie niedawny. Z *Traktatu poetyckiego* przetłumaczono pięć strof wstępu i jeszcze parę stron. *Sześć wykładów wierszem* prosiło się o nową próbę, tak jak się będzie prosiło moje tłumaczenie, bo tego cyklu, tak jak sonetów Szekspira, nikt nie przetłumaczy po raz ostatni. Ciekawe jednak, że nikt w Polsce czy w innym kraju jakoś nie wpadł na pomysł zwartej publikacji tego trzonu Miłoszowej poezji dyskursywnej z zebranymi komentarzami autorskimi. Imperatyw zaistnienia takiej publikacji docierał do mnie powoli, ale kiedy już dotarł, przemówił bardzo mocnym głosem.

Co skłoniło mnie do tego przedsięwzięcia? Ależ nie! – nie było mowy o żadnym przedsięwzięciu. Nie było żadnego „podjęcia się przełożenia”. Nie odważyłbym się przyrzec wydawcy, że coś takiego mi się uda i będzie się nadawało do publikacji. Dam drastyczny przykład, ostatnie dwa wiersze *Traktatu moralnego*:

Idźmy w pokoju, ludzie prości.
Przed nami jest
– *Jądro ciemności*.

Nie ulega wątpliwości, że tytuł – po szwedzku *Mörkrets hjärta* – musi wylądować na końcu ostatniego wiersza. Że nie można go zmienić. Że po metrycznym rymowanym tłumaczeniu czterystu trzydziestu czterech wierszy muszę znaleźć wiersz numer czterysta trzydzieści pięć, który w ramach swoich dziewięciu zgłosek jako tako rymuje się z ostatnim i jest wierny oryginałowi. A jeżeli nie znajdę, to całe tłumaczenie do szuflady.

Trochę napięcia sprzyja kreatywności, więc przepchałem się przez te czterysta trzydzieści cztery wiersze, cały czas będąc świadomym, że na końcu czeka mnie translatorskie jądro ciemności. Kiedy w nim wylądowałem, spłodziłem

bodajże osiemdziesiąt wariantów i wybrałem najmniej zły, który uznałem za dostatecznie dobry. Ale z góry nigdy bym się do tego nie zobowiązał, szczególnie biorąc pod uwagę, że to nie *Traktat moralny* nastęrcza w tym zbiorze największe trudności.

R.G.: *Jak się więc to tłumaczenie zaczęło i jak znalazło swoją końcową formę?*

J.H.: Pod koniec 2011 roku tłumaczyłem dla wydawanego w Sztokholmie ambitnego dwujęzycznego czasopisma „Suecia Polonia” artykuł Zbigniewa Bidakowskiego o *Traktacie poetyckim*. Było w tym tekście kilka krótkich cytatów, które oczywiście musiałem starannie przetłumaczyć. Szczególnie zafascynowało mnie zgłębianie jednego fragmentu:

Tak, połączyć w jedno
Kosmatość bobra i zapach sitowia
I zmarszczki dłoni leżącej na dzbanie,
Z którego ścieka wino.

Jaka potężna wizja spójności natury i kultury, zawierająca w jednym zdaniu siłę wymowy płótna Rembrandta czy Picassa i sens wysiłków całej armii myślicieli. Bardzo mnie to zaciekawiło. Dla czystej przyjemności przetłumaczyłem tuzin wierszy między dwoma cytatami. Potem stronę wstępu, i następną stronę, i tak dalej. Wpadłem w nałóg i nie mogłem się z niego wyzwolić. Po zakończeniu tego tłumaczenia zabrałem się oczywiście za obszerny komentarz autorski, po czym pomyślałem: „No dobrze, udało mi się, ale *Traktat moralny* przecież jest niemożliwy do tłumaczenia – bardziej metrycznie skoncentrowany i w dodatku rymowany. Spróbuję przetłumaczyć pierwszą parę wierszy, żeby to sobie udowodnić”.

Jest dla mnie dosyć niezrozumiałe, że przebrnąłem przez te trzy teksty w ciągu trzech miesięcy, ślęcząc nad nimi głównie wieczorami i zarywając noce, bo miałem inne rzeczy na głowie w ciągu dnia. Wydaje mi się to teoretycznie niemożliwe. Była to jakaś forma twórczego transu, połączenie szaleństwa i euforii. Po paru tygodniach zacząłem zauważać, że czasem mówię wolniej niż zwykle, zwracając się do moich dzieci w formie:

„Dlaczego ciągle muszę wam powtarzać,
Że mleko trzeba wstawiać do lodówki?”

Cały ten stan ducha bardzo trafnie opisuje Natalia Gorbaniewska w swoim wspomnieniu o tłumaczeniu na rosyjski właśnie *Traktatu poetyckiego*.

To była oczywiście tylko pierwsza wersja. Pół roku później zacząłem szukać wydawcy. Proces ten okazał się na szczęście tak niemrawy, że dał mi możliwość wielokrotnego przeprowadzenia „ostatniej” rewizji tekstów i uzupełnienia ich tłumaczeniami *Traktatu teologicznego* (bo jak dwa, to czemu nie wszystkie), *Sześciu wykładów wierszem* (bo nie potrafiłem sobie tego odmówić) i trzech rozmów z autorem (bo takie ważne dla zrozumienia traktatów). I tak powstała ta cegła.

R.G.: *Jak zdołał pan znaleźć w Szwecji wydawcę, chętnego do sfinansowania dwujęzycznej edycji poematów Miłosza? I jak pan sobie wyobraża ich czytelnika?*

J.H.: Znalazienie wydawcy nie było łatwe. Szwecja to w porównaniu z Polską kraj duży, ale rzadko zaludniony, a więc nakłady proporcjonalnie mniejsze. Wydawnictwa konkurują nie tylko z sobą, ale i z nowymi mediami. Skończyły się dobre czasy, kiedy wydawca mógł używać dochodów w bardziej intratnych pionach do finansowania ambitnych wydań książkowych w ramach tak pojętej misji kulturalnej. Miłosz jest w Szwecji wielkim nazwiskiem dlatego, że po prostu jest wielki, i dzięki Nagrodzie Nobla, i licznym tłumaczeniom, ale trzeba pamiętać, że nie wszyscy czytają poezję, a jeżeli już, to niekoniecznie tłumaczoną z obcego języka. Wszystko to prowadzi do dużej wybiórczości w podejmowaniu decyzji wydawniczych, dla czego po spędzeniu wielu lat w świadomej ryzyka branży informatycznej mam pełne zrozumienie. Z pewnością byłoby łatwiej, gdyby Miłosz pisał kryminały.

Nie chcę uogólniać, ale wydaje mi się, że mój projekt interesował wydawnictwa, które były dostatecznie małe, żeby się dać unieść pewnej dozie idealizmu, a dostatecznie duże, żeby móc podjąć ograniczone ryzyko. Znalazło się w końcu wydawnictwo, które było bardzo zainteresowane i miało w mojej opinii odpowiedni profil. I kiedy spodobał im się mój wtedy już kompletny manuskrypt, wytoczyłem demagogiczną argumentację: liryka w innych większych językach literackich, jak również ta pisana po malajsku, sycylijsku i w narzeczu kanadyjskich Inuitów doczekała się w Szwecji znaczących wydań dwujęzycznych. Jeżeli nie tak centralne utwory Miłosza, to jaka polska poezja będzie w tym stuleciu zasługiwała na szwedzkie wydanie dwujęzyczne? Widocznie argument uderzył w ową strunę idealistyczną, bo więcej na ten temat nie rozmawialiśmy, a kiedy dostałem pierwszą korektę, była dwujęzyczna.

Kto będzie czytał? Kto wie, może nawet polscy skandynawiści? Mam oczywiście nadzieję, że książka dotrze do czytelników szwedzkich zainteresowanych Miłozsem, poezją, kulturą, historią jednego z najbliższych sąsiadów, losami Europy i świata. Szwecja obchodzi w tym roku dwustupięćdziesięciolecie ustawy o wolności prasy, która dzisiaj stanowi część szwedzkiej konstytucji. Ustawa ta figuruje w historii prawa jako pierwsza nowoczesna gwarancja wolności słowa. O czym traktują poematy dyskursywne Miłozsa, jeśli nie o odpowiedzialności poety za słowo i język, o trudnych wyborach w czasach, kiedy wolność wypowiedzi nie jest oczywista? Wystarczy otworzyć rano gazetę, żeby się przekonać o aktualności i uniwersalności przesłań tych utworów. To powinno zainteresować czytelnika. A kiedy już otworzy książkę, to mam nadzieję, że niedoskonałości mojego tłumaczenia nie przesłonią mu siły wyrazu poetyckiego zawartej w oryginale.

R.G.: *Dołożył pan starań, by odbiorcy tego tomu pomóc w zrozumieniu wielu odniesień kulturowych zawartych w tych traktatach. Bez przypisów byłoby to chyba niemożliwe. Czy dziś może pan powiedzieć, że traktaty Miłozsa nie stanowią dla pana tajemnicy interpretacyjnej?*

J.H.: Podejrzewam, że nawet dla Miłozsa pewne fragmenty pozostały tajemnicą interpretacyjną.

Tam brud subiektywny,
Obsesja, chronią na zawsze dostępu.

Sądzę, że odnosi się to nie tyle do czytelnika, co do autora. Niektóre rzeczy pozostają utajone. W końcu naturą poezji jest wieloznaczność, zachowanie chwiejności, migotliwości i owego lustrzanego przenikania układów, które uruchamiają nam utajoną zdolność do odczuwania transcendencji, zadziwienia czymś niedopowiedzianym. Drzwi do siódmej komnaty otwierają się zawsze na nowy korytarz.

Zrozumiałem wiele sensów, które były niezauważalne przy pierwszej lekturze. Ogromna literatura krytyczna była w tym wielką pomocą. A tego, czego nie zauważyłem, na szczęście nie jestem świadomy.

R.G.: *Każdy z traktatów reprezentuje inną skalę trudności dla tłumacza. Technicznie chyba najtrudniejszy jest Traktat moralny, z uwagi na rymy. Ale*

rymowanych fragmentów nie brakuje też w Traktacie poetyckim. Czasami tłumacz staje przed wyborem: albo rym, albo sens. Jak pan sobie z tym poradził?

J.H.: Interpretacyjnie najtrudniejszy jest oczywiście *Traktat poetycki*, bo co się w nim nie kryje? Technicznie natomiast sprawa nie jest taka oczywista. A więc forma: metryczna i rymowana, biały wiersz, wolny wiersz, wersety biblijne, archaizmy, stylizacje, dialekty, oczywiste i zakamuflowane cytaty. Im bardziej forma jest wiązana, tym więcej czasu zabiera tłumaczenie, ale czy trudniejsze? To paradoks, ale ściśle metryczna rymowana para wierszy przemawia pod koniec moich wysiłków bardzo wyraźnym głosem: – Jesteś gotów. Poetyka wypowiedzi dosyć prężna, oddałeś sens, zachowałeś intencję autora, prawidłowo policzyłeś zgłoski, rymuje się jako tako, melodia wiersza zachowana – daj sobie spokój, rób następną. Im forma wolniejsza, tym mniej wyraźne jest to potwierdzenie, że tłumaczenie działa – a zatem taka forma wydaje mi się w pewnym sensie trudniejsza, bo pozostawia więcej niepewności. Tak to w każdym razie działa u mnie.

Wierność treści czy formie? Sympatyzuję z pozycją Barańczaka, którą odbieram mniej więcej tak: Trzeba zidentyfikować i zachować to, co jest dominującą cechą wiersza, przetłumaczyć dobrą poezję w jednym języku na dobrą poezję w drugim i nie iść na zbyt wiele kompromisów w wyborze między wiernością treści a doskonałością formy. A jeżeli to nie wychodzi, to dlaczego nie tłumaczyć czegoś innego?

We wstępie do wspólnego z Robertem Hassem tłumaczenia *Traktatu poetyckiego* na język angielski pisze Miłosz: „W partiach lirycznych kierowaliśmy się przeważnie wskazówką Władimira Nabokowa: »Lepiej surowe tłumaczenie dosłowne niż najładniejsza parafraza«. Nabokov wyraził to jeszcze dosadniej: „Najbardziej nieudolne tłumaczenie dosłowne jest tysiąc razy bardziej przydatne niż najładniejsza parafraza”. Trudno mi się z tą formułą zgodzić, szczególnie spoglądając na *Eugeniusza Oniegina* w przekładzie Nabokova na angielski: ciekawy eksperyment translatorski, ale nie do czytania.

Biorąc pod uwagę tę dla mnie kontrowersyjną strategię tłumaczy *Traktatu poetyckiego*, wierność angielskiego tłumaczenia *Traktatu poetyckiego* i jego partii lirycznych i rymowanych pozostaje ważnym wskaźnikiem: oto, co Miłosz uważał za świetne tłumaczenie, powinienem więc starać się nie być gorszy. W rymowanym *Traktacie moralnym*, którego nikt na angielski (ani na prawie żaden inny język) niestety nie przetłumaczył, można chyba pozwolić sobie na troszeczkę więcej swobody, ale oczywiście nie zmieniając sensu wypowiedzi.

Jeśli natomiast chodzi o formę, oryginał pozostaje normą. Metryka *Traktatu moralnego* i *Traktatu poetyckiego* jest bardzo konsekwentna, a więc trzeba ją uszanować, bo Szwed, wspólnie z Polakiem i w odróżnieniu od Anglika, liczy zgłoski przy pomocy oka raczej niż ucha. Pozwalam sobie na przesunięcie średniówki nieco częściej, niż robi to sam Miłosz. *Sześć wykładów wierszem* i *Traktat teologiczny* są trochę swobodniejsze w formie. *Traktat moralny* roi się od asonansów, a więc moje tłumaczenie też. Ale dosłowne cytaty z Mickiewicza w *Traktacie poetyckim* już by nie pozwoliły na takie rozwiązania.

Kompromisy są jednak niezbędne. Jakiegokolwiek nie będą, ich efektem musi pozostać przyzwoita poezja, która nie koliduje z domniemaną intencją autora. W moim poprzednim życiu zawodowym (bo miałem ich kilka) formułowałem współpracownikom etykę biznesu jako: „Nie rób nic, o czym nie chciałbyś opowiedzieć mamie”. Starłem się nie zrobić niczego, o czym nie chciałbym opowiedzieć Miłoszowi.

R.G.: *Czyli w trakcie pracy nad traktatami Miłosza zaglądał pan do ich przekładów na inne języki?*

J.H.: A jakże, ale nigdy przed przetłumaczeniem utworu, bo nie chciałem, żeby cudze rozwiązania brzęczały mi w uchu i ograniczały wyobraźnię. Natomiast po przetłumaczeniu chciałem poznać strategie moich prekursorów i podać w wątpliwość moje własne interpretacje i rozwiązania, co mi się czasem udawało. Ale tych przekładów nie ma tak wiele. Przeczytałem *Traktat moralny* po rosyjsku i niemiecku, *Traktat poetycki* w tych językach i po angielsku, *Traktat teologiczny* we wszystkich tych językach i po francusku, a *Sześć wykładów wierszem* nawet po szwedzku. Poza tym mógłbym tylko mieć pożytek z hebrajskiego, który znam zbyt słabo, z węgierskiego i paru języków słowiańskich. Zdążyłem zadać kilka pytań natury interpretacyjnej Natalii Gorbaniewskiej, która przecież jako tłumaczka między innymi *Traktatu poetyckiego* miała wiadomości z pierwszej ręki. No i oczywiście zapoznałem się z całą piramidą książek, esejów i artykułów na temat tych wierszy, jak również z utworami Miłosza i wielu innych autorów, do których trzeba się odnieść w trakcie tłumaczenia. To już zabrało znacznie więcej czasu niż te pierwsze trzy miesiące.

R.G.: *Jest pan z wykształcenia inżynierem, a z obecnie wykonywanego zawodu – tłumaczem przysięgłym (polski, szwedzki, angielski). Czy ta specjalizacja w naukach ścisłych mogła okazać się pomocna w przekładach poezji?*

J.H.: Nieszczerólnie. Może najbardziej w samym projekcie wydawniczym, w którym potrzebna mi była duża doza uporów i nieugiętości w dążeniu do celu – cechy, które trenowałem przez wiele lat w trudnych warunkach bojowych, ale które można oczywiście wynieść z wielu innych zawodów. Być może zamiłowanie do matematyki i praca w niektórych domenach informatyki zakładają i rozwijają pewien zmysł kombinatoryczny, zdolność definiowania i badania alternatyw, wywracania kota do góry ogonem, zaczynania od drugiego końca, zmiany hipotezy, podawania w wątpliwość tego, co oczywiście – a wszystko to chwytły, bez których trudno cokolwiek przetłumaczyć. Ale trzeba przecież także przypomnieć, że uczucie transcendencji w obliczu zadziwiająco prostej formuły fizycznej czy doskonałego wywodu matematycznego nie jest zupełnie różne od reakcji na zapierający dech wiersz.

A może moje dążenie do publikacji dwujęzycznej było uwarunkowane moją inżynierską postawą? W świecie techniki wszystko powinno być udokumentowane i poddane krytycznemu wglądowi. Zakładając znajomość języków, łatwiej się odnieść do tłumaczenia, jeżeli *Traktatowi moralnemu* po lewej stronie otwartej książki towarzyszy *Traktat om moralen* po prawej stronie. Jest to też oczywiście dokumentacja pewnej doktryny translatorskiej. Każde nowe tłumaczenie literatury to także wypowiedź programowa: Uważam, że tak można tłumaczyć.

Mam nadzieję, że czytelnicy będą się chcieli do tej wypowiedzi ustosunkować.

R.G.: *Czy ma pan jeszcze jakieś zamiary translatorskie wobec twórczości Miłosza lub innych polskich poetów?*

J.H.: Oczywiście, co jednak nie znaczy, że mam konkretne plany. W mojej szufladzie leży kilka przekładów starszych utworów Miłosza. Może będę je kiedyś mógł skompletować i wydać. Jest tylu świetnych polskich poetów, dawnych i współczesnych, do których świat nie ma dostępu. Przetłumaczyłem kiedyś *Skrzeble* Leśmiana i odkryłem, że to pierwsze tłumaczenie tego poety na szwedzki. Znajdowanie zainteresowanych wydawców wydaje mi się jednak być większym problemem niż samo tłumaczenie (no, absolutnie nie w przypadku czegoś tak karkołomnego jak Leśmian). W lepszym świecie wydawcy dzwonią i mówią: Bardzo nas interesuje taka i taka poezja, czy ciebie też? Może tego kiedyś doczekamy.

R.G.: *Został pan wyemigrowany z Polski po '68 roku, zapewne w bardzo młodym wieku. W jaki sposób kultywuje pan język polski? Czym on jest dla pana?*

J.H.: „Wyemigrowany” to bardzo adekwatne określenie. Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat. Byłem dostatecznie stary, żeby – niewątpliwie dzięki moim rodzicom i nauczycielom – móc wywieźć z sobą coś, do czego celnik nie mógł się przyczepić jak do wszystkiego innego: język. I dostatecznie młody, żeby przyswoić sobie nowy. Pojechałem do Polski na parę dni dopiero po dwudziestu latach. W ciągu pierwszych trzydziestu pięciu lat mojej emigracji spędziłem w Polsce w sumie trzy tygodnie. Pracowałem ze Szwedami, językiem moich najbliższych jest szwedzki, po polsku mówię stosunkowo niewiele, głównie z przyjaciółmi i z bratem przez telefon.

Wydaje mi się, że zachowanie języka nie jest kwestią jego aktywnego kultywowania, a aktem woli. Zacząłem co prawda studiować na szwedzkiej uczelni pół roku po przyjeździe, ale przez wiele lat zakładałem, że nigdy nie opanuję szwedzkiego dostatecznie dobrze, żeby go traktować jako „mój” język. Jeżeli więc pozwoliłbym sobie na zdegradowanie mojej polszczyzny do kaleczzonego żargonu emigranckiego, to przeistoczyłbym się w końcu w człowieka bez języka. Postanowiłem do tego nie dopuścić i dbać o mój język. Wydaje mi się, że to nie musi być bardziej skomplikowane.

Polski jest moim pierwszym językiem w sensie chronologicznym, polski i szwedzki w sensie stopnia opanowania. Nie wiem, w jakim języku klnę po uderzeniu się młotkiem w palec – ale w języku szwedzkim nie ma przekleństw godnych tej nazwy, więc to nic nie mówi. Oba języki są dla mnie równie ważne, ale listy mojego ojca, który zmarł w 1964 roku i spoczywa na będącym w smutnym stanie cmentarzu żydowskim w Katowicach, są napisane po polsku.

R.G.: *Czy pamięta pan, co pan robił 10 grudnia 1980 roku?*

J.H.: Tak! Jak co roku szwedzka telewizja poświęciła wiele godzin transmisjom z uroczystości noblowskich. Oglądałem ceremonię wręczenia nagród. Nie byłem dumny, bo nie miałem przecież w zasługach Miłosa żadnego udziału. Byłem bardzo zadowolony. To był nasz poeta, nie ich. Wieczorem Miłosz przemawiał na uroczystym bankiecie. Powiedział mniej więcej tak: „Przede wszystkim myślę o miłośnikach polskiego języka i literatury, gdziekolwiek by mieszkali, w Polsce czy za granicą”. To o mnie! A potem: „Jestem

składnikiem literatury polskiej, stosunkowo nieznaną światu, jako że jest ona raczej nieprzetłumaczalna". Nie wyobrażam sobie, że bym wtedy przywiązywał do tego ostatniego jakąkolwiek wagę. Dwadzieścia lat później, wspominając powstanie *Traktatu poetyckiego*, pisał: „Nie przychodziło mi oczywiście na myśl, że poemat mógłby przemówić do niepolskiego czytelnika”.

I pomyśleć, że w innych czasach i w tak innym świecie jest mi dane upierać się, że nieprzetłumaczalna polska poezja potrafi przemówić po szwedzku. Czy życie nie gotuje czasem cudownych niespodzianek?

PIOTR PIASZCZYŃSKI

Do wyobraźni

Bądź przeklęta,
ciemna wyobraźnio!

Gdy lecę samolotem
(linii Germanwings),
torturujesz wizją
straszliwej katastrofy.

Gdy z cudną beztrąską
pędzę samochodem,
mruyczysz: jestem Senna.

W każdym miodzie bytu
łyżka twego jadu.

Na niewinnie białym tle
piszesz swe złowieszcze
czarne scenariusze.

Kiedy zaś naprawdę
ciebie potrzebuję
– jak właśnie w tej chwili –
ty przepadasz... Znikasz

bez słowa!

Chwile
nie chcą trwać.

Dni
nie dają się schwytać.

Tygodnie, miesiące...
– gdzie one?
– Minione.

Lata
przelatują jak odrzutowce:
smugi ulotne
na nieboskłonie.

Czas...

(się modlić)

F.H. – dwa haiku

Pragnienie: nie być.
Przez resztę lat być widmem,
jak on w Tybindze.

I marzenie: mieć
choć w ułamku tak piękne
życie pośmiertne...

MICHAŁ CZORYCKI

Nad oceanem

Jechaliśmy drogą nad brzegiem oceanu.
Deszcz ciął ukośnie. Zaciekły, gwałtowny.
Przed nami w sinych strugach gasły
Tylne światła ciężarówki.

Spod kół prószycło gęstą mżawką.
Jęczały wycieraczki. Za oknem widać było
Skraj łąki, przydrożny rów, cienie
Drzew, niejasny zarys wzgórza, dalej nic:

Ciężka kurtyna deszczu. I nagle,
Za zakrętem drogi, niewidoczny,
Wyczuwalny jednak bezmiar oceanu.
I pod białą wstęgą mgły, uchylony na mgnienie,

Rąbek jego żywej, błotnisto-płowej magmy.
I coś delikatnego w tobie – złudzenie,
Nadzieja sensu – ukrywa się, zamiera,
Ustępuje przed furią żywiołu.

Wariacje na temat ojczystej geografii

*„Or di': sarebbe il peggio
per l'uomo in terra, se non fosse cive?”*
Dante Alighieri, *Boska Komedia: Raj, Pieśń VIII*

Wyobraź sobie, może wciąż potrafisz,
Że kredowe wzgórza nad doliną rzeki
To ślady kontynentu, który poszedł na dno
Zabierając ze sobą odległe prowincje,
Rosnące pod niebo kopuły kościołów,
Uśpione nasiona wciąż możliwych składni,
Ukrytą w pamięci gramatykę przyszłości.

Wyobraź sobie (widziałeś to we śnie!)
Strome, niebotyczne skały, górę Athos
Twojego pragnienia, tam gdzie była dotąd
Szara, powolna rzeka, gęsty muł i łoży
Piaszczystych brzegów dzieciństwa.

I w nagłym świetle przecucia
Niech się zjawi przed tobą zapowiedź
Innego lądu. Pewnego, pod stopami,
Bazaltu i granitu. Kambryjskiego sedna
Twardego stopu tej mowy. Tej Republiki,
Która tli się wciąż pod powierzchnią słów
Udzielając im swego niknącego blasku.

I zanim zatrą obraz długie dni bezwładu,
Przykryje skałę warstwa mułu i popiołów,
Powtórz półgłosem to krótkie pytanie:
Co dla nas gorsze niż jej nieobecność?

Ta Republika. Łagodnych wzgórz,
Cienistych wąwozów. O której białe skały
Biją czarne wody północnej równiny.
Co gorsze niż nie być już jej obywatelem?

JULIA HARTWIG

Z notatnika

Czesław Miłosz: „Tam, gdzie jest pełna wiedza, poezja jest już niepotrzebna. Poezja trwa, dopóki jest awangardą wiedzy jakiejś epoki o sobie – z całą resztą ślepych prób”.

Podobno, gdy w 1969 roku Samuel Beckett dostał Nagrodę Nobla, jego żona powiedziała: „Katastrofa”. Podobnie zareagowała żona Miłosza po Noblu dla Czesława.

Umysł afirmuje świat przy pomocy obrazu. Obraz, piękno, utwierdza nas w poczuciu istnienia. Gdybyśmy zdani byli jedynie na sferę umysłu – zapanałyby w nas rozpacz nicości, choćby i zakomponowanej przez umysł. Z tej potrzeby potwierdzenia piękna świata, wydobywania słów wyrażających piękność zmysłową i z próby pogodzenia porządku umysłu z porządkiem i nieporządkiem piękna – rodzą się te zdania.

listopad 2015

Kartka z Pensylwanii

1.1.2017

Drogi Krzysztofie,

Dzięki za liścik, pamięć i dobre życzenia. Dzisiaj siedzimy w bieli, bo spadł śnieg i od razu zmienił krajobraz: czyli następna faza zimy. Piękny widok z okna, cisza jeszcze głębsza, śnieg przykrył okolice domu. Ten śnieżny krajobraz mówi białą ciszą.

Przyszedł nowy tom „Krytyki XX i XXI wieku”. Temat: „Centra, prowincje, zaułki”. Tym razem mowa o książkach o Apollinaire i Nervalu. Opowieść o autorze *Kaligramów* otwiera opis spotkania z przyjacielem poety w jego domu, kończy relacja Jacqueline Apollinaire.

Zaciekawiło mnie to, bo miałam okazję odwiedzić mieszkanie Apollinaire’a w Paryżu, na zaproszenie jego żony.

Napisz słówko. Ściskam, serdeczności i życzenia dobrego samopoczucia

Julia

P: Czytelnikom – wiele dobrego.

STEFAN CHWIN

Dziennik 2017

Przygoda w Salzburgu

Właśnie dostaliśmy zaproszenie do Salzburga – więc jedziemy do Salzburga. Przez Słowację, Bratysławę, Wiedeń, potem na zachód, pod samą granicę niemiecką, pod samą Bawarię.

Na miejscu jesteśmy wczesnym przedpołudniem. Powietrze rzeźwe, K. promienna, żartująca, poprawia szminką usta w wagonowym lustrze. To-czymy walizki chodnikiem do niedalekiego od dworca hotelu, a nad nami, nad drzewami, nad domami – wielka błękitna góra z cukrową posypką świeżego śniegu – choć dzień ciepły! Jakby nam sto lat ubyło, tak nam lekko i pogodnie.

Trochę po świecie podróżowałem sam, ale nie były to podróże promienne. Samotne rozpakowywanie walizki rzuconej na hotelowe łóżko, potem samotny stuk samotnej szczoteczki do zębów wstawianej do samotnej szklanki na szklanej półce pod lustrem w łazience. Ale teraz nic z tych rzeczy. K. potrafi w parę chwil pokój hotelowy zamienić w dom. Sama jej obecność, gdy wychodzi spod prysznicza owinięta w gruby ręcznik *frotté* i śmieje się do mnie zaczepnie. Potem parę ruchów rąk – i przedmioty z walizki znajdują miejsce na stole i półkach, jakby tam mieszkały od zawsze. Kanapki, które zostały nam z podróży, ułożone na haftowanej serwetce w kaszubski wzór, zmieniają się w drugie śniadanie. A zza okna wyziera ku nam zza błękitnej mgiełki błękitna góra, która wznosi się nad Salzburgiem.

I ta piękna chwila, gdy K. przed hotelowym lustrem waha się, co włożyć na siebie dzisiaj – jaką sukienkę, jaki naszyjnik. Powiedz – przymierza – czy będzie lepiej tak, czy tak?

A potem na miasto, w stronę rzeki, na kamienny most, potem bulwarem na stronę góry z białym zamkiem, za którym majaczą zębate kontury niemieckich gór. Na salzburskim rynku złota kula pięciometrowej średnicy, amerykańsko-francuskie tłumy, Japończycy, Chińczycy, Rosjanie, tłumy niemieckich uczniów, Mozart w oknach.

Wieczorem – występy w Literaturhausie przy Strubergasse, w pomarańczowo-kawowym domu, w żywej zieleni. Najpierw jesteśmy na popisach Michała Witkowskiego. Marta Kijowska prowadzi spotkanie, a Witkowski – zabawny, zgrywny, lekki, ironiczny, sprytny, chytry, obrotny, bawi się publicznie swoim gejestwem, wydziwia, parodiuje gejowskie gesty, naśladuje pokracznie samego siebie, oczami wywraca, pieje, pokrzykuje, gejem się staje na naszych oczach stu pięćdziesięciopięcioprocentowym, puszy się, żydłaczy swoim homoniewiadowsko beczelnie, z rozpędem, publiczność się zaśmiewa, my też się mocno śmiejemy. O, Michał Witkowski wie dobrze, jak eksploatować skutecznie swoje skłonności, jak je skutecznie sprzedać z talentem. Ale bez jego głosu, bez tego jego wydziwiania nosem, głosem, włosom, palcem, okiem, smalcem, bez tego tańca zwariowanego, to wszystko wydrukowane na papierze dużo słabsze. Takie pisanie jak jego performensu żywego potrzebuje. Bez performensu gaśnie jak iskra w popiele.

Potem ja występuję z Martą Kijowską i Martinem Pollackiem. O wojnie, o literaturze opowiadamy, a każdy swoje, Martin o ojcu esesmanie, co w bunkrze się zabił. Sala pełna, K. w pierwszym rzędzie w białej sukni, w kapeluszu z rondem, który tak lubię. Aż tu mowy nasze przerywa jęk kobiecy pełen wzruszenia, bliski rozdzierającemu krzykowi. Pani jakaś starsza wstaje i bije się w piersi, przepaszając cały świat za austriackich esesmanów, co w Auschwitz mordowali. Bo ona tu, w Literaturhausie salzburskim, zobaczyła film Polańskiego *Pianista*, po którym nie mogła spać całą noc. Pani ma prawdziwe łzy w oczach, w uszach wielkie kolczyki bursztynowe, kuliste, ciężkie, na głowie siwe włosy nakręcone w kędziory, pod brodą szyję jaszczurczą, pomarszczoną, z mosiężnym naszyjnikiem indyjskim, dłonie wyschnięte, szponowate, z pazurami długimi, usta wymalowane na fioletowo, w amerykańskiej kurtce z juchtu żółtego siedzi parę kroków przed nami. I na wojnę przeklętą łka publicznie, na całą salę.

Ale ja tu do Salzburga nie po to przyjechałem, żeby słuchać jej szlachetnych łkań, ja wcale nie po to siedzę teraz na scenie w świetle reflektorów w pomarańczowo-kawowym Literaturhausie przy Strubergasse, ja wcale nie po to tutaj jestem, by się mądrzyć na temat subtelno-krwawych związków między wojną a literaturą, do światowego pokoju zachęcając, jak zapowiadały plakaty rozwieszane po mieście.

Mnie tu przyciągnęła ciemna obecność, co ją wyczuwam z oddalenia, ciemna obecność, której doznałem silnie, gdyśmy stali na tarasach zamku

w Salzburgu o zmierzchu i pod słońcem czerwonym patrzyliśmy na łańcuch Alp granatowiejących nad zieloną równiną za miastem, którą przecina jasna rzeka.

Więc już następnego dnia uprzejmie Lothara S. z Literaturhausu zagaduję, czy mógłby nam pokazać okolicę, bo jesteśmy ciekawi, jak tu w okolicy jest, ale gdzież tam, to tylko puste takie gadanie, bo o żadną okolicę salzburską mi nie chodzi, tylko o tę ciemną obecność, która promieniuje ciemnym światłem zza gór. – Czemu nie... – odpowiada spokojnie Lothar S. – mogę podwieźć samochodem gdzie chcecie. – Ale my byśmy Alpy chcieli obejrzeć z bliska – podrzucam nie za mocno. – Czemu nie... – odpowiada Lothar S. – Pod Alpy też mogę zajechać. – Nie wygląda na zmartwionego. Pogodny, rudawy, wysoki, chudy, w koszuli dżinsowej, na luzie. Będzie miał przerwę w biurowej robocie na czas przeznaczony dla gości, to sobie trochę wypocznie za kierownicą, a potem świeżym słońcem odetchnie na alpejskim powietrzu.

Więc jedziemy. Samochód duży, czarny, wygodny. Salzburg opuszczamy, przez dzielnicę willową wyjeżdżamy na zieloną równinę, a przed nami ściana Alp – coraz bliżej. Na drogowskazy uważnie rzucam okiem. Nazwy różne, austriacko-niemieckie, a naraz na jakimś leśnym skrzyżowaniu, pod górą jakąś porośniętą świerkami widzę tę nazwę i liczbę kilometrów ze strzałką... – A gdyby tak tam nas pan podrzucił? – mówię do Lothara S. On się tylko do siebie uśmiecha, widzę w lusterku wstecznym, bo wie, co to znaczy. – Czemu nie... Mogę i tam...

Przyspieszamy. Szosa czarna, wilgotna, po obu stronach ściany skalne i lasy świerkowe, potężne, z welonami mgły. O, ciemna obecność w nich siedzi, tak samego siebie przekonuję, bo to się niby składa w całość. Zakręt za zakrętem mijamy, łąki, barierki czerwono-białe, postawione, żeby nie runąć w przepaść. Potem skręt w prawo z szosy głównej i otwiera się przed nami dolina, łagodna, zakłęśnięta jak kołyska wysłana zieloną pościelą, miękka, z kępami drzew, a dokoła góry kamienne, ostre, poszarpane. Droga wąska, asfaltowa, pod prawym zboczem idzie, jeszcze kilometr, jeszcze pół i zatrzymujemy się.

W samym środku ciemnej obecności. Osiem kroków od podmurówki zburzonej kwatery Hitlera Berghof, na samym zboczu Obersalzbergu, trochę za Berchtesgaden, które widać za nami w dole. Tak, domu samego nie ma, zdmuchnięty zupełnie, ale podmurówka jest. Betonowa, ośliźła, omszała, z zaciekami, popękana, z ziemi brudnej się jeszcze wynurza jak przetrącona młotem płyta nagrobna bez żadnych napisów. A ziemia ziarnista, pokruszona, z kawałeczkami żużlu po pożarze, pocięta odsłoniętymi korzeniami drzew. Idziemy pod górę. Schylam się mimochodem, kawałek ostrej cegły odłamanej

biorę w palce – rudawy, poczerniały – i chowam do kieszeni. Na co mi to? A do mojej kolekcji minerałów. Taki Minerale Ciemnej Obecności z samego zbocza Obersalzbergu będzie sobie leżał obok moich agatów i ametystów na moim świętym stole, na którym Jerzy Janiszewski z żoną Krystyną namalowali czerwoną farbą po raz pierwszy znak Solidarności. Jak ta muszla wyłowiona z oceanów minionego czasu, obok moich muszli prawdziwych.

Staję na podmurówce, oczami zmrużonymi patrzę. – A więc on widział dokładnie to, co my teraz widzimy? – mówię do K., która mi wiernie towarzyszy, ale bez ekscytacji, która mnie z lekka ogarnia. Czuję się tak, jakbym się znalazł we wnętrzu starej kroniki filmowej Josepha Goebbelsa. Stoję na podmurówce, dokładnie w miejscu, gdzie było olbrzymie okno w głównej sali Berghofu. I patrzę na góry po drugiej stronie doliny dokładnie tak, jak on patrzył. Chytrze to sobie wymyślił. Naprzeciw nieistniejącego okna, przy którym stoję, łańcuch Alp rozcina przełęcz. A w przełęczy widać za mgiełką – daleki Salzburg. Więc on tu siedząc po niemieckiej stronie, cały czas chciał widzieć austriackie miasto? Odgradzony i połączony?

Podmurówkę korzenie drzew podgryzają. K. pogodna, spokojna, toleruje moje fanaberie. Rozgląda się, bo okolica piękna. A ja patrząc dokoła, jakbym lornetką lustrował okolicę, rozpoznaję topografię starych kronik filmowych *Die Deutsche Wochenschau* z wytwórni UFA z Harrym Giesem, lektorem, i szwabskich albumów, które w dzieciństwie znalazłem pod podłogą naszego mieszkania, w mroku piwnicy na Poznańskiej. Ciemną obecność czuję, czy mocno chcę czuć, stojąc tak w samym jej środku? Czy tylko nakręcam w sobie teraz ekscytację, powracając do smaków dzieciństwa, gdy w oliwskim kinie Delfin – paroletni, w czarnych spodniach na szelkach, w białych podkolanówkach, w sandałkach – z zapartym tchem oglądałem na płóciennym ekranie Hitlera i jego drani? Więc teraz to dzieciństwo w sobie jak górnik wydobywam na wierzch błyskami pamięci, lecz na co, po co?

Potem Lothar S. pyta: – A pod ziemię chcecie zejść? – Też pytanie! Jasne, że chcemy. Najpierw trochę pod górkę, w stronę kępy drzew, za drzewami nieduży domek jak stara knajpa niemiecka, przydrożna, z dachem gontowym, a tam – zejście do piekieł. Żadne tam windy! Tunel biegnie w dół, okrągły, kanałowy, pochyły, setki schodków betonowych, ściany żółtawe, śliskie, z naciekami, napisy czarne, niewyraźne, wilgoć. Góra Hitlera podziurawiona od środka jak ser szwajcarski. Idziemy, woda chlupie, na ścianach lśni. Wnęki, pokoje, bunkry, przejścia, zakręty, śluzy, bo bali się amerykańskich nalotów.

Potem do muzeum, drogą przez klonowy las. Góry dokoła, że zapiera dech. Grają lekkim błękitem nad zielenią bawarskich łąk. W muzeum za szkłem potworności. Kolekcja podręczników niemieckich, które uczyły, jak odróżnić Żyda od nie-Żyda. Szkolna lekcja – trening prześladowania, tropienia, donosicielstwa. Kolorowe obrazki, zabawne, przerażające. Wykrywanie Żydów wśród nie-Żydów jako zabawa dla dzieci. Zagadki, krzyżówki, rebusy pomagające w ściganiu, wyłapywaniu, chwytaniu. Obok zdjęcia rozstrzeliwanych nagich kobiet w wąwozach Ukrainy. Setki, tysiące ciał wrzuconych do piaszczystych dołów jak kawałki zgniłego mięsa na wysypisku koło rzeźni. A na końcu muzeum – otwarta sztolnia, tunel tak wielki, że mogą się w nim zmieścić całe pociągi. Cała góra drążona robaczywymi kanałami, w których oni się kryli, gdy nadlatywały latające fortece z bombami.

Kiedy wracaliśmy do Salzburga, słońce już zachodziło. Drzemałem z policzkiem na zagłównku. Tyle wrażeń! Fale dzieciństwa powracały i odpływały. Dziecięca fascynacja z dawnych lat, która się we mnie budziła i gasła, miała w sobie słodki jad. W oczach dziecka Hitler był osobą, w której ulokowało się zło. Dziecko mogło go zabić. Jak by go zabiło, zło by znikło. Patrząc na potężnego drania ze swastyką na rękawie, dziecko też czuło się potężne. Wierzyło, że zło na świat sprowadzają takie potwory jak Hitler. Wystarczyło takiego potwora zabić, a wszystko będzie dobrze. Dziecko bojąc się zła, ulegało magii zła. Ciemna obecność była w jego myślach podobna do baśni. Swoją pojedynczością nadawała sens światu, nawet jeśli była przerażająca. Jak osobowy szatan katolików.

Ale teraz wracając z Obersalzbergu, byłem już dorosły. Między falami drzemki i falami wspomnienia przeblyskiwała chłodna świadomość odczarowania. Hitler rozpytywał się jak grudka brudnego śniegu. Nawet nie był pospolitym, wrednym bandziorem, który poprowadził ludzi do zbrodni. Przestawał być osobą. Był emanacją tłumu zwykłych, pospolitych Niemców. Cała magia jego germańskich obrzędów opadała z niego jak przegniłe ubranie z trupa. Wszystkie te chorągwie, szpalery, defilady, przemarsze, wiece. Był emanacją narodu-suwerena. Większości Niemców, którzy na niego zagłosowali w demokratycznych wyborach. Nie był żadną jednostką z własnym charakterem, tak jak własny charakter ma osobowy diabeł katolików. Był schrypiętym od wrzasku głosem demokratycznej większości. Wrzaskliwym głosem tłumu niemieckich pracowników najemnych, urzędników, nauczycieli, rolników, murarzy, ślusarzy, tramwajarzy. Głosem zbiorowej obrzydliwości. Mówił dokładnie to samo, czego chciały usłyszeć od niego niemieckie gospodynie domowe, studenci i robotnicy fabryczni. Mówił: macie rację, skoro jest was większość.

Urządzał swoje pogańskie msze zwane Parteitagami po to, by zamaskować obrzydliwość zgodnej woli zbiorowej, która przez niego mówiła. Nie był żadnym wodzem. Robił dokładnie to, co mu demokratyczna większość narodu kazała. Był z nią zgodny jak rękawica bokserska z dłonią boksera.

Bo to ona – demokratyczna większość – chciała, żeby zrobił porządek z Żydami, Polakami, Rosjanami, gejami, lesbami, intelektualistami, pisarzami, dziennikarzami, uchodźcami, imigrantami, którzy samą swoją obecnością tylko psuli atmosferę dobrej zmiany, jaką chciał wprowadzić. Obrzydliwość woli demokratycznej większości ozdobił patetyczną scenografią polityczno-religijnego obrzędu. Mówił Niemcom: wasza demokratyczna wola jest święta dlatego, że jest wolą większości. Niczego nie ma ponad nią. Bo to ona jest najwyższym prawem. Wykrzykiwał głośno to, czego oni sami nie potrafili otwarcie powiedzieć. Zapewniał: macie rację, świętą rację, że chcecie tego, czego chcecie, dlatego że to wy tego chcecie. Uświęcał ich narodowy egoizm, na co tylko czekali. Egoizm przerabiał na powód do narodowej dumy.

Salzburg zbliżał się do mnie w ciemnościach nocy, a ja mieszałem drzemkę z odczarowaniem. Ale ciemna obecność wcale nie chciała ustąpić. Żadne odczarowanie jej nie osłabiało. Dopiero teraz stawała się jeszcze ciemniejsza. Błogosławiony byłby świat, gdyby źródłem zła były pojedyncze potwory, takie jak Hitler. Gdyby Hitler jako podły drań zmusił Niemców do zbrodni, byłoby to stokroć bardziej do wytrzymania. Ale tu wszelka nadzieja gasła. To oni, to sami Niemcy, zwyczajni Niemcy, głosujący na niego demokratycznie, zmusili go do zbrodni po to, by ich zmusił do zbrodni i nadał jej wyższy, święty, narodowy sens. Do tego był im potrzebny. I tańczył tak, jak mu zagrali. Podobało mu się, że tak tańczy, bo wmawiał sobie, że to oni tańczą w rytm jego przemówień. A to on wygłaszał przemówienia w rytm ich tańca.

Kostki dzieciństwa rozsypywały się. Światła Salzburga pojawiły się przed nami na końcu drogi. Zamek był biały, oświetlony, na tle nocnego nieba. Obejrzałem się. Za tylną szybą samochodu nie było widać Alp.

Nic. Sama ciemność.

Naród i Tłum

Jedziemy z Ujeściska na demonstrację, pod Pomnik przy Centrum Solidarności. Niecodzienny tłok w tramwajach, ludzie stoją przy drzwiach ze zwinętymi chorągwkami, znaczki wpięte w klapę. Szóstką na dworzec, potem

piechotą pod samą bramę Stoczni. A przed nami ludzi mnóstwo. Ciągną całe rodziny, przyjaciele, znajomi. Czasem się z kimś witamy. Za gmachem Komisji Krajowej Solidarności, pod żelaznymi krzyżami Pomnika – tłum się rozlewa szeroko, tysiące ludzi, młodzi, starzy, średni. Nad głowami flagi, transparenty, na dykcie naklejone plakaty z twarzą Wałęsy. Za Pomnikiem, na tle Żelaznej Arki Centrum Solidarności, trybuna z metalowych rur, na trybunie aktor Kiszki, echo jego głosu odbija się od ścian budynków przy ulicy Jana z Kolna, czarne kolumny głośników na scenie drżą, żona Wałęsy, Danuta, przy niej tramwajarka Krzywonos w czarnej garsonce, mocna, stanowcza.

Wchodzimy coraz głębiej między ludzi, w chłodny cień pod Pomnikiem. Słońce powoli zachodzi. I nagle – co ja tu właściwie robię? Z moją przyrodzoną awersją do tłumu stoję w tłumie jak ziarno ikry w łyżce kawioru? Z moją potrzebą osobności, z moim sekretnym dążeniem do nieobecności, z poczuciem solidarności i potrzebą zupełnej obcości, ze skrytym pragnieniem bycia tutaj i byciem gdzie indziej, z mieszaniną sympatii i antypatii w sercu, z okiem lodowatym, bezlitosnym, które przeświewa żywą materię tłumu jak promień Roentgena, wśród tych ludzi ściśniętych na placu przed Żelazną Arką?

Dusza rozumna nakazuje mi być w tym tłumie, bo demokracji trzeba bronić, usta chcą krzyczeć razem ze wszystkimi, ale ciało wzbrania się, gdy czuje wokół siebie inne ciała, gęsty tłum tysięcy ciał, który mnie otacza. Budzi się we mnie lęk z dzieciństwa, kiedy to tłum wychodzący z kościoła na Przymorzu, święty tłum wiernych, omal mnie nie stratował i zadusił w kruchcie. Cudem mnie wtedy odratowano. Walcząc w tłumie o demokrację pod pomnikiem Stoczniovców, cały czas myślę o tym, co się może stać, jeśli ten wielotysięczny tłum nagle zostanie czymś przestraszony i zacznie biec, uciekać, tratować... K. patrzy na mnie spod czarnej woalki. A we mnie żadnej radości, tylko nagi dylemat:

– Jak kochać Naród, obawiając się Tłumu? I gdzie zaczyna się Naród, a kończy Tłum?

Wczoraj dałem wywiad do „Newsweeka” o teczkach Wałęsowych. Ale ile osób z tego placu przed Żelazną Arką ten wywiad przeczytało? Ile z nich uważnie obejrzało zawartość tych teczek w Internecie – tak jak ja je uważnie przeczytałem – by sprawdzić, co jest w nich naprawdę? Bo wszystko można sobie obejrzeć w Internecie dokładnie. Dokument po dokumencie. Strona po stronie. Ile osób z tego tłumu to zrobiło? I ile kiedykolwiek to zrobi? Patriotyczne lenistwo tłumu walczącego o demokrację? Patriotyczny wstręt do nudnego ślęczenia nad dokumentami? Wieczne lenistwo każdego, nawet

najszlachetniejszego tłumu, który zamiast mrówczego poszukiwania prawdy woli cielesną przyjemność głośnego, rytmicznego wykrzykiwania w kółko dwóch tych samych, mocnych słów?

Tylko jak długo można wykrzykiwać wciąż te same dwa słowa – nawet gdy są najbardziej patriotyczne i demokratyczne? I to jeszcze przez godzinę? Stoję pod Pomnikiem, fale krzyku omywają mnie, jakbym się znalazł w środku mojej powieści, którą niedawno napisałem. *Srebrzysko* – tak się ta powieść nazywa. Tłum krzyczy w kółko: – Lech Wa-łę-sa! Lech Wa-łę-sa! De-mo-kra-cja! Repertuar skromny, surowy, zgrzebny, wybijany gardłowym rytmem – ale jak długo można krzyczeć w kółko parę sylab? Żeby mieć złudzenie skutecznego działania, przestępując z nogi na nogę? Prorządowe demonstracje zresztą takie same. „Cała Polska z was się śmieje, komuniści i złodzieje”. Zawsze to samo. Jak zdarta płyta. Taka to i twórczość narodowa. Tysiąc razy wrzeszczeć na ulicy jak nakręcone automaty: „Raz sierpem, raz młotem, czerwoną hołotę”. I zawsze tak będzie? Do końca świata? Wszędzie? Na całej Ziemi?

Po Kiszkie przemawia Danuta Wałęsowa. Tłumaczy, że sam Wałęsa nie przyszedł, bo powiedział, że przyjdzie dopiero, jak będzie więcej ludzi. Ale ludzie krzyczą nadal o demokracji. Jedni kończą dla złapania oddechu, zaczynają drudzy. Fale krzyku wzbijają się nad Pomnik, nad którym krąży bzykający dron TVN-u, filmujący wszystko z góry. Potem na trybunę wychodzi jakaś szczupła dziewczyna, która wzywa młodych, by odeszli od Internetu i wyszli na ulicę, by bronić demokracji. Potem jakiś artysta awangardowy zawodzi jak zraniony kot coś, czego nikt nie rozumie. Ludzie kiwają transparentami, wprowadzając do nieruchomej sceny wątły element ruchu.

– Idziemy! Wracamy do domu! – mówię do K., bo już nie wytrzymuję tego wszystkiego. Demonstracja ciągnie się jak rozwodniony kisiel, brak wyrazistych liderów, bzykcy telewizyjny dron, który filmuje nas z góry. Coraz to nowe grupki odrywają się od tłumu, rośnie odpływ żywych cząstek, ludzie zwijają sztandary, wsadzają pod pachę, idą do domu. Twarze spokojne, uśmiechnięte, poczucie spełnionego obowiązku, mimo że tak naprawdę niewiele zrobiono. Chociaż to, że chciało im się jednak przyjść i stać przez godzinę na zimnie, doceniam. Oderwali się od słodkich zajęć i jednak przyszli. To wcale nie tak mało.

Demonstracja duża, parę tysięcy pod Pomnikiem, w Gdańsku, gdzie mieszka sto tysięcy ludzi, albo i więcej. Idziemy, z daleka dobiegają niknące przemówienia, których słów już nie rozumiemy. Skracamy w ulicę Gnilną, idziemy przez most nad Radunią w stronę śródmieścia, pod rękę, nareszcie sami. Dochodzimy na Długą, do sklepu z herbatami. K. kupuje małe torebki, dziwne, egzotyczne

smaki. Kaktusowa, ananasowa, anyżkowa... Idziemy Długim Targiem w stronę Zielonej Bramy, wchodzimy w cień nad Motławą, na Długie Pobrzeże i dobrze nam ze sobą, ach, jak dobrze, że jesteśmy – tylko ona i ja.

Bo przecież niedługo już nas nie będzie.

I ciepło jej ręki pod moim łokciem.

A reszta to pył i proch.

Oliwskie lasy

Czytam Timothy Snydera *Skrwawione ziemie* – i dreszcze mi chodzą po plecach. Przekleństwo geopolityczne, Hitler, Stalin, rzeź czternastu milionów ludzi na terenach Drugiej Rzeczypospolitej i w przyległych krajach. Nigdzie indziej na Ziemi – pisze Snyder – w całych dziejach świata nie było równie straszliwego stężenia zbrodni i ludzkiej krzywdy na tak niewielkim terenie. Niemcy i Rosjanie – tak samo przerażający. Żadnej różnicy. Mordowanie, zsyłanie, duszenie gazem, rozstrzeliwanie, głodzenie na śmierć, a wszystko skupione na niewielkiej równinie pomiędzy Estonią a Krymem, Poznaniem a Moskwą. I pytanie zbijające z nóg: dlaczego właśnie tutaj? Jaką to kalkulację miał w swoich planach Bóg czy Los, że skazał te ludy płowowłose na takie cierpienia – w których jaki sens?

Jak naiwne w świetle tego wszystkiego są religijne opowieści o Piekle, którymi straszono mnie od dzieciństwa. Prawdziwe Piekło jest tutaj, na Ziemi. Wystarczy poczytać sobie o historii naszego gatunku, by zobaczyć żywe, otwarte rany świata posypywane solą. Jak zmierzyć ilość bólu, który zalał te kraje środkowej Europy ogniem i jadem śmierci? Zupełna nieważność pojedynczego ludzkiego istnienia. Miliony udręczonych, zamęczonych, zagłodzonych, spalonych. Po których nie został żaden ślad. Monotonne kolumny cyfr w sprawozdaniach zbrodni. Śmiertelna nuda badania statystyki mordu. Wyblakłe maszynopisy. Liczenie, dodawanie, sumowanie. W końcu czy to nie wszystko jedno, czy w jakimś ukraińskim wąwozie zabito sto tysięcy czy trzysta tysięcy ludzi? Kogo właściwie obchodzi ta różnica? Jakie właściwie ma znaczenie?

Pytam K., gdy wychodzimy na balkon, by popatrzeć na miasto i daleki las za Jasieniem: – Jak myślisz, czy te straszne rzeczy, o których pisze Snyder, przytrafią się także nam? Czy raczej na szczęście zdążymy umrzeć przed czasem Wielkiego Powtórzenia, które zdarzy się na pewno?

Stoimy obok siebie na balkonie, późne popołudnie, słońce pięknie świeci, białe obłoki nadpływają ku miastu od zachodniej strony, nad sosnowym lasem krąży jastrząb, setki samochodów spływają ulicą Rakoczego w dół, w pustą otchłań sinawej mgły, w której nikną Dolne Młyny, do lądowania na lotnisku w Rębiechowie podchodzi srebrny odrzutowiec z pomalowanym na fioletowo nosem. Oliwskie lasy nie wiedzą o niczym. Czubkami sosen delikatnie dotykają nieba. Jakby chciały z błękitnego powietrza zmasać czyjś ledwie widoczny ślad?

Zachwyty

Nie bić pokłonów przed kimkolwiek. Nie klękać przed kimkolwiek i czymkolwiek. We wszystkim szukać skazy i błędu, gdyż nie ma bytu bez skazy i błędu, a kto upiera się, że istnieje byt bez skazy, po prostu kłamie.

Nie wielbić nikogo. Nie mrużyć oczu z zachwyty. Nic nie zasługuje na zachwyty. Nawet Pan B., który – tak jak Wszystko – jest mieszaniną doskonałości, skazy i błędu. Zachwyty jest zawsze formą kapitulacji. Dusza, która łaknie zachwyty, wmawia sobie, że istnieje nieskazitelne Piękno i Dobro, bo chce się w nim wygodnie usadowić – za cenę kłamstwa.

Ale ona?

Ileż to razy byłem zniewolony przez zachwyty, gdy patrzyłem na nią, czując przy sobie jej obecność. Dziękowałem tylko z niewypowiedzianą wdzięcznością losowi, że mnie obdarował tak niezasłużonym darem – bez najmniejszej skazy, chociaż była pełna skaz, jak wszystko.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Sam

Był czternasty dzień września, słońce stało w znaku Panny i świeciło z wysoka. Mohr szedł na spotkanie z Zużą, której nie widział od dwóch tygodni i bardzo za nią tęsknił. Z Rybiego Rynku wyszedł na Stawy Kaszowe i prosto wzdłuż pruskich koszar z czerwonej cegły dotarł do placu Świętej Katarzyny, minął gmach szkoły po prawej i kościół garnizonowy po lewej, po pasach przeszedł na drugą stronę i wszedł w Świętej Katarzyny, która prowadziła do Nowego Rynku. Na wąskim chodniku był tłok, więc poruszał się wolno, choć wszystko gnało go naprzód.

Ruszył w kierunku zboru, jak zwykle spoglądając w stronę Świętego Jakuba i wtedy go zobaczył, na wschodniej pierzei, przed szybą antykwariatu. Stał jak wryty. Niemożliwe, żeby to był on. Wyglądał jak on, był bardzo do niego podobny, ale skąd mógłby się tutaj wziąć. To było jak przywidzenie, ale on tam rzeczywiście stał i wpatrywał się w wystawę.

Ubrany był w szarą kurtkę, ciemne spodnie, jasny półgolf i białe czy kremowe buty. W lewej ręce trzymał czarną skórzaną teczkę. Miał okulary, chyba lekko przyciemnione. Był chudy, właściwie kościsty, z siwą czupryną zaczesaną do góry.

Mohr cofnął się na róg i wpatrywał się w niego. To był on! Niemożliwe, żeby ktoś był aż tak bardzo do niego podobny. Nie odrywał od niego wzroku.

Ruszył w prawo, w stronę Świętego Jakuba, stanął przed wejściem, zadął głowę do góry i patrzył na wieżę i niebo, które pogodnie i jasne rozciągało się w jej tle. Mohr wpatrywał się w niego jak zaczarowany, stojąc tam, gdzie przed chwilą stał on, przed wystawą antykwariatu.

Wzdłuż południowej pierzei przeszedł w stronę „Gospody pod Modrym Fartuchem”, minął ją z prawej, wszedł w Ślusarską, doszedł do Wielkich Garbarów i skręcił w prawo, kierując się w stronę zbiegu Królowej Jadwigi i Szerokiej z rozchodzącymi się od nich Strumykową i Przedzamczem.

Szedł ze spuszczoną głową, ale raz po raz podnosił ją i rozglądał się na prawo i lewo i patrzył na szczyty domów. Teczkę trzymał w lewej ręce, a prawą miał w kieszeni. Cień deptał mu po piętach i kręcił się wokół niego, to przed nim, to za nim, to po bokach.

Mohr szedł za nim, jakieś siedem, dziesięć kroków, bo to jednak się zmieniło, byli wśród ludzi, w ruchu. W każdym razie nie tracił go z oczu.

Zatrzymał się na rozstaju i mężczyznę, który stał przed wejściem do Empiku, zapytał o drogę. Patrzył na niego uważnie, tamten pokazał mu ręką w kierunku Szerokiej, on powtórzył ten ruch, ale chyba bardziej w stronę Strumykowej, tamten więc ponowił, w stronę Szerokiej i coś mu jeszcze wyjaśniał. Ukłonił się, uśmiechnął i odchodząc, znowu się ukłonił. Mohr stał za słupem z plakatami i pilnie wszystko obserwował. Widział, jak ten mężczyzna patrzy za nim, a on już się oddalał, wchodząc w Szeroką.

Z cienia wyszedł na światło i nagle zrobił się świetlisty, z tańczącym wokół niego cieniem.

Szedł wyprostowany, swobodnie, nawet jakby trochę niedbale, ale z determinacją, widać było, że to nie jest ktoś zwykły. Mijał okna wystawowe, wejścia, wyjścia i ogródki kawiarni, przechodząc przez pasma cieni i pasma światła.

Szedł niespiesznie, a nawet zwawo, ale w miarę płynnie, lekko się kołysząc, równym krokiem posuwał się do przodu. I było to tak jak klatki filmu, ruch i bezruch, jedno i drugie, ściśle ze sobą połączone i siebie inspirujące, wynikające z siebie.

W ulicznym zgiełku wydawał się jak w kokonie ciszy, osobny, wmieszany w tłum i z niego wydzielony, jakby nie z tego świata, w zmieniających się pasmach, w pełnym blasku i w szarości cienia.

Równym, miarowym krokiem, w rytmie, chociaż zupełnie go niepilnujący, nawet nim niezainteresowany, ale ani na chwilę z niego nie wybity.

Na rogu Podmurnej skręcił w lewo, wszedł do „Dziewiątki” i po chwili wyszedł z gazetą, butelką piwa i szklanką. Usiadł przy stoliku, wypił kilka łyków, zapalił papierosa i zatopił się w lekturze. Gazetę trzymał blisko oczu, przekładał to na jedną, to na drugą stronę i wpatrywał się w nią jak ornitolog w ptaka.

Mohr stał po drugiej stronie, jakieś dziewięć czy dziesięć kroków od niego, przy wystawie księgarni i w szybie, lub odwracając się, bezpośrednio, obserwował każdy jego ruch czy poruszenie.

Wstał i ruszył dalej, prosto, w stronę Starego Rynku. Na skrzyżowaniu z Łazienną i Szczytną przystanął, zawahał się, i skręcił w lewo, w Łazienną, doszedł do Kopernika, skręcił w prawo i przez furtkę w murze wszedł na dziedziniec katedry, która wznosiła się jak wielka arka. Po kocich łbach przeszedł w stronę wejścia, uchylił drzwi i wszedł do środka.

Mohr odczekał chwilę i wsunął się do wewnątrz. Rozglądając się, przeszedł do lewej nawy, usiadł i zaraz go zobaczył.

Przesuwał się wolno, z podniesioną do góry głową, to jedną, to drugą nawą, chodził dookoła i przez nawę główną, od kruchty do ołtarza i z powrotem, lekko kołysząc się, swobodnym krokiem, niby lekkim i ostrożnym, ale przecież naturalnym, jakby dla niego wymyślonym czy przeznaczonym.

Znikał i znowu zjawiał się, wśród filarów i ołtarzy, a Mohr, w mroku, zajęty był tylko nim.

I gdy nie pojawił się za kolejnym obrotem, wstał i szybko skierował się w stronę wyjścia. Po chwili był już na Żeglarskiej i zobaczył go, jak wzdłuż domów po lewej idzie w stronę Bramy, wchodzi w jej główne wyjście i wychodzi na nadbrzeże, na zewnątrz.

Promień i cień

Był dziewiętnasty dzień września, słońce stało w znaku Panny i świeciło z wysoka. Mohr czekał na Horma przed kawiarnią na rogu rue Mandar i rue Montorgueil. Widział, jak w głębi rue Montorgueil w szarej kurtce idzie w jego stronę.

Doszli do Świętego Eustachego, który jak wielka arka wznosił się obok Hal, wsiedli do metra i dotarli na Montparnasse.

Z bulwaru Saint-Jacques weszli w aleję platanów i wśród gołębi szli po popękanym asfalcie.

Mohr znał te miejsca ze zdjęć i z filmu, który nakręcił Horm, ale to było co innego, widzieć je na żywo i być w środku, w ich kolorach i świetle i mieć wszystko na wyciągnięcie ręki. Był tak przejęty, że nie rozpoznawał topografii, którą przecież dobrze znał z kolorowych map i zdjęć.

Przeszli na drugą stronę, minęli kawiarnię „La Vie d’Ange” i zatrzymali się w „Le Moderne Saint-Jacques”. Pili kawę i Horm opowiadał o spotkaniach z nim tu obok, w hotelowej restauracji, której już nie było.

Znaleźli się na rogu rue Jean-Dolent i rue Messier, przed wysokim szaroczarnym murem, który otaczał budynek z kratami w oknach. Przed bocznym wejściem pod daszkiem stały ławki dla czekających na widzenie.

Niebo było pogodne, bez jednej chmurki, a słońce oświetlało ponurą bezwzględność tego muru i znajdującego się za nim budynku. Był naszpikowany ostrzami z szarych i czarnych kamieni i miał zalepione pęknięcia, które powtarzały się regularnie co kilka metrów.

Mohr pomyślał, że on powinien gdzieś tu mieszkać, w jednym z tych domów po drugiej stronie ulicy, które stały w cieniu rosnących przed nimi drzew.

Miejsce było jakby oddzielone i zamknięte w tej pełnej ruchu, otwartej na wszystkie strony przestrzeni.

Przeszli na róg rue de la Santé, do bramy wjazdowej, przy której znajdowała się tablica upamiętniająca wojenne egzekucje. Wrócili z powrotem na

róg rue Jean-Dolent i rue Messier i poszli w lewo, w stronę alei platanów i na drugą stronę.

Wtopieni w to miejsce i jakby w jego obecności, bo może gdzieś tu był i patrzył na nich, z góry albo z boku.

Szli, przechodząc przez pasma blasku i cienia równym miarowym krokiem, jakby w rytmie, który ktoś im naddawał z zewnątrz.

Cienie deptały im po piętach i kręciły się wokół nich, to przed nimi, to za nimi, to po bokach, a może był to jeden cień.

Doszli do mostku nad torami metra, które nagle wynurzały się spod ziemi. To tu, powiedział Horm, wskazując biały wysoki dom, dwa pierwsze z lewej, na ostatnim piętrze.

Dom miał dziewięć pięter.

Mohr zmrużył oczy i patrzył na nie jak zaczarowany, odłączony od otaczającego go zgiełku pędzących samochodów, motocykli, skuterów i wagonów metra.

Pomyślał, że on miał z góry widok na ten ruch, a z drugiej strony na mur i budynek więzienia.

I stojąc tak, w środku wiru, pędu i szumu, Mohr nagle zobaczył, jak żywy promień światła padł na te okna i przesywając je, przeniknął do środka, a jednocześnie był na zewnątrz, tworząc w odbiciu pasmo blasku. I wydało mu się, że w głębi tego prześwietlonego mroku widzi cień, jakby ktoś przechodził, czy odchodził od okna.

Doszli do drzwi wejściowych, przed którymi były głębokie wykopy ze zwojami kabli. Przez szybę widzieli hol, z prawej skrzynki pocztowe, na dole tę z numerem 38 i jego nazwiskiem i z lewej duże lustro. W rogu stał kosz na śmieci, a na wprost były drugie drzwi i wejście do windy.

Stali tam, a potem kręcili się, chodząc w jedną i w drugą stronę, jakby na kogoś czekali i w końcu ruszyli w stronę alei General Leclerc.

LESZEK SZARUGA

Nowa Polska (9)

22.

Wracam z Powązek, gdzie pojawiło się sporo zniczy z symbolem Polski Walczącej i orłem w koronie. Zaglądam do kolejnego numeru „Newsweeka” (nr 45/2016) i czytam sprawozdanie (nie wywiad) z rozmowy z Hertą Müller, jakie pod tytułem *Literatura nas nie obroni* napisał Łukasz Saturczak. Mówi autorka *Nizin*: „Kto to jest optymista? Literatura potrafi zmienić zaledwie pojedyncze osoby. Żadna literatura czy sztuka nigdy nie zapobiegła największym zbrodniom. Próbuję sobie uporządkować świat, ale wiem tylko tyle, że nadchodzi wielka zmiana”. Cóż – optymistą nigdy nie byłem, chyba że takim z dowcipu, w którym pesymista powiada, że jest już tak źle, iż gorzej być nie może, a optymista na to, że owszem, może być. I zapewne będzie. Z drugiej jednak strony, tak na dobrą sprawę nie bardzo wiadomo, czym ma być owa „wielka zmiana”: nie ulega i dla mnie wątpliwości, że musi nastąpić, ale jednocześnie można założyć, że będzie ona oznaczać raczej przesilenie niż zapaść. To założenie dość ryzykowne, lecz bez niego trudno w ogóle myśleć o przyszłości, szczególnie krajów takich jak Polska, gdzie wciąż borykamy się nie tyle z problemami tożsamościowymi, co przede wszystkim z nieumiejętnością odczytania własnej przeszłości tak, by nie była obezwładniającym balastem, a jest nim wówczas, gdy zakorzeniona zostaje wyłącznie w spuściznie romantycznej, a zwłaszcza w polskim mesjanizmie. Dziś ten mesjanizm to misja radykalnej rechrystianizacji Zachodu, zeświecczonego, wyzutego z fundamentalnych wartości, pozbawionego męstwa, zbyt już rozmiękczonego, zatracającego tożsamość rozplywającą się w tyglu multikulti, wzmocnionego groźnym dżenderem, pozbawionego hierarchii. Tak przynajmniej widzą to pierwcy kontrewolucji kulturalnej.

Warto w tym wszystkim uprzytomnić sobie okoliczności. Rzeczywiście – Europa (wyjąwszy obrzeża, takie jak Bałkany czy pogranicze z Rosją) od roku 1945 wolna jest od wojen, co nie jest dla niej stanem historycznie normalnym. Powołanie Wspólnoty Węgla i Stali, załączka obecnej Unii Europejskiej, było dążeniem do stworzenia struktury, która by pozwoliła wyeliminować w Europie wojnę stanowiącą dotąd, wedle znanej formuły Clausewitza, prowadzenie gry

politycznej innymi środkami niż dyplomacja. By to umożliwić, konieczne było, co doskonale rozumiał kanclerz Adenauer, swego rodzaju „obezwładnienie” Niemiec, których potencjał, czego dowiodły obie wojny światowe, skłaniał do prób narzucenia dominacji na kontynencie (by przypomnieć tylko projekt „Mitteleuropy” Naumanna z 1915 roku). To obezwładnienie polega na związaniu Niemiec z innymi krajami europejskimi siecią zobowiązań i traktatów, które wymuszają poszukiwanie konsensu. Innymi słowy: to system, którego istotą jest dochodzenie do kompromisów. W praktyce dotychczasowa historia Unii to nieustanne przewyciężanie kolejnych kryzysów i dochodzenie do porozumień często niemal w ostatniej chwili. Jak dotąd, ten mechanizm działał, lecz nic nie przesądza o tym, że będzie funkcjonował w przyszłości, tym bardziej że do gry, po zmianach z roku 1989, weszli partnerzy, dla których wszelki kompromis jest z natury „zgniły” i oznacza porażkę. W szczególności kultura polska jest wobec tego mechanizmu oporna z tego względu, że – właśnie za sprawą dziedzictwa romantycznego – jest to raczej kultura walki niż kultura gry: w tej kulturze nawet klęska jest, głównie w sferze moralnej, zwycięstwem, gdyż oznacza trwanie przy swoim (inni powiedzą, że przy wartościach). Stąd pojawiający się postulat renegocjacji traktatów unijnych, które wstępnie, przystępując do wspólnoty, zostały zaakceptowane, co, jak się okazuje, dla części polityków było jedynie posunięciem taktycznym.

Kolejna okoliczność ważna, jeśli nie wręcz fundamentalna dla zrozumienia obecnego kryzysu, to kwestia pojęcia suwerenności. Polska – podobnie jak inne kraje regionu – nie miała swego wieku dziewiętnastego w tym rozumieniu, w jakim owo stulecie formowało społeczeństwa Zachodu. Wiek dziewiętnasty to na Zachodzie umacnianie kształtowanych z wolna wcześniej struktur nowożytnego państwa narodowego. Polska, jak i inne kraje – dziś określane mianem „nowej Unii”, pozbawiona była podówczas bytu politycznego (zastępowały go kultura, religia i mity utraconej wielkości: I Rzeczpospolita, Wielka Serbia, Wielkie Węgry, Wielkie Księstwo Litewskie, Księstwo Wielkomorawskie, Wielka Bułgaria – to zresztą dobry punkt odniesienia dla interpretacji pojawiającego się w publicystyce polskiej po 1989 roku nurtu „neosarmatyzmu”), nie mogła zatem uczestniczyć w procesach przemian, które doprowadziły w dwudziestym wieku do modelu świeckiego państwa liberalnej demokracji, z trójpodziałem władz jako fundamentem wywiedzionym zresztą z tradycji prawa rzymskiego. Nadto – co niezwykle ważne – kraje te nie ustanawiały w dwudziestoleciu międzywojennym i po drugiej wojnie światowej swych granic w bilateralnych układach z sąsiadami, lecz musiały przyjmować te granice, jakie im

narzucały mocarstwa, co wpływało na narastające poczucie braku podmiotowości. Wejście do Unii – fakt, iż dobrowolne, potwierdzone w referendum – traktowane jest przez część polskiej klasy politycznej jako podporządkowanie się dyktatowi traktatów, na których kształt Polacy wpływu nie mieli, gdyż negocjowane były bez ich udziału, a które, by zyskać choćby tylko unijne fundusze rozwojowe (traktowane zresztą jako coś „należnego”), trzeba było uznać, co odczuwane jest jako dotkliwe ograniczenie suwerenności.

Wreszcie okoliczność także mająca znaczenie – rozumienie pojęcia polskiej racji stanu. Część naszych elit politycznych polską rację stanu utożsamia z interesem rządzącej w danym momencie ekipy (formacji, partii). To w oczywisty sposób rzutuje na pojmowanie prawa i procedur: nie przypadkiem ponad nimi stawia się „dobro narodu”, które siłą rzeczy definiuje władza reprezentująca, wedle znanego określenia Ludwika Dorna, „lud pisowski”, a sama określa mianem „suwerena”. By taki system sprawnie funkcjonował, konieczne jest zredukowanie prawa do instytucji politycznej, a tym samym podporządkowanie go władzy wykonawczej. Podobnie z procedurami – w ostateczności obsadzanie stanowisk państwowych podporządkowane jest nie konkursom, lecz partyjnej czy formacyjnej nomenklaturze. W wymiarze stosunków międzynarodowych oznacza to ustanowienie tak właśnie pojmowanej racji stanu jako podstawowego punktu odniesienia we wzajemnych relacjach z innymi państwami, co w oczywisty sposób znosi interes wspólny oparty na wzajemnym zaufaniu i przestrzeganiu wypracowanych procedur pozyskiwania konsensu – w sprawie racji stanu konsens jest nieosiągalny, nie może być mowy o żadnym kompromisie. To jak w skądinąd fałszywej legendzie Muhlenberga, wedle której o tym, że głosowany w Kongresie USA język urzędowy wygrał jednym głosem z językiem niemieckim – niewielka, ale jednak większość przesądziła o tym, że Stany Zjednoczone posługują się angielszczyzną.

Ale też właśnie wymiar międzynarodowy wydaje się tu mieć podstawowe znaczenie. Ten sposób myślenia bowiem jest motywowany przez zasadę hierarchii jako podstawę relacji. Nie przypadkiem w jednym z wywiadów jednego z najważniejszych polityków polskich pojawia się stwierdzenie, że „istnieje jakaś hierarchia narodów”. W tej hierarchii trzeba potwierdzić – bądź wywalczyć – swoje należne miejsce. To anachroniczne z gruntu – choć przecież wciąż żywe, nie tylko w Polsce – pojmowanie relacji międzynarodowych (czy międzypaństwowych) uniemożliwia relacje partnerskie, gdyż z góry zakłada, choć nie zawsze świadomie, że strony dialogu są sobie z zasady nierówne. Przy czym na uwagę zasługuje samo pojęcie narodu traktowane przede wszystkim

w kategoriach etnicznych, co nierzadko – choć oczywiście nie jest to zjawisko powszechne – nakazuje tropienie obcych jako zagrażających polskości: od Żydów poczynając, na Ślązakach czy Kaszubach kończąc. (Nawiasem mówiąc, w zasadzie, poza wyjątkami, nie traktuje się jako zagrożenie ludzi o pochodzeniu niemieckim, co o tyle zabawne, że każdy Polak w swoim bliższym lub dalszym otoczeniu bez trudu odnajdzie parę osób o niemiecko brzmiących nazwiskach, jak choćby w ostatnich wyborach kandydata na prezydenta środowisk skrajnie narodowych, pana Brauna). Nie przypadkiem jedną z bardzo często przywoływanych kategorii jest określenie mówiące o „prawdziwych” Polakach – ich prawdziwość ktoś przecież powinien potwierdzać, a zatem musi wypracować po temu odpowiednie narzędzia.

Powszechnie mówi się o repetycji postaw nacjonalistycznych nie tylko w Polsce, lecz i w Europie i na świecie, o ich rewitalizacji. W moim najgłębszym przekonaniu – być może mylnym, ale zaryzykuję – jest to obecnie objaw głębszego zjawiska, w dodatku powierzchowny (co nie znaczy, że niegroźny). Gdy Herta Müller – ale nie tylko ona – mówi o nadchodzącej „wielkiej zmianie”, to owa repetycja nacjonalizmów wydaje się jedynie jednym z jej wstępnych przejawów. Te nacjonalizmy bowiem w mniejszym stopniu mają charakter agresywny niż lękowy: trwająca od pewnego czasu i nasilająca się wędrówka ludów, w tej chwili jeszcze stosunkowo mało dynamiczna, budzi obawy przed „obcymi” i nakazuje mobilizację do obrony zagrożonej tożsamości. Problem ten ma zresztą głębsze znaczenie – dotyczy przemian, które sięgają swymi korzeniami średniowiecza. Interesująco pisze o tym historyczka, mediewistka z Uniwersytetu Glasgow Julia M.H. Smith: „Niewątpliwie znana opowieść o szczytowym okresie średniowiecza dobrze przysłużyła się państwom narodowym dziewiętnasto- i dwudziestowiecznej Europy, odnalazły one bowiem w średniowiecznej przeszłości odniesienia do bardziej współczesnych fascynacji. Jednakże na początku trzeciego tysiąclecia, kiedy samo pojęcie państwa narodowego ulega erozji ze wszystkich stron, tej zużytej narracji nie da się już utrzymać. Europa, w której ponownie odkrywa się regionalne tożsamości wywodzące się z wczesnego średniowiecza – jak Mercja, Burgundia, Fife, Lombardia, Karyntia i wiele innych – potrzebuje innej opowieści”.

Przyznam, że te słowa trafiają mi do przekonania – akurat w innym tekście, który od pewnego czasu piszę, zanurzony jestem w średniowieczu – lecz wymagają, gdy chodzi o Polskę, pewnego dopełnienia. Zgadza się z przekonaniem, że następuje erozja państwa narodowego, szczególnie jako pojęcia historycznie przejściowego, warto zwrócić uwagę na fakt, że większość naszych

polityków, a i rzesza politologów i publicystów politycznych pozostaje wciąż w przestrzeni właśnie dziewiętnastowiecznych wizji, dla których kategoria państwa narodowego stanowi podstawowy punkt odniesienia. Dla nich oba obecnie zachodzące w Europie procesy – z jednej strony tendencje unijne, z drugiej regionalizmy – stanowią zagrożenie dla tego, co określają jako tożsamość narodową. W pierwszym wypadku obawiają się rozmycia narodowej specyfiki w europejskości (która zresztą jest wedle nich dominowana przez „silniejszych”: Niemcy, Francję), w drugim – niebezpieczeństwem dla spójności narodu staje się manifestacja śląskości, kaszubskości czy innych tożsamości regionalnych. To musi owocować silnymi tendencjami centralistycznymi, które zresztą znamy doskonale z okresu komunistycznego, gdy usiłowano z Polaków stworzyć homogeniczną, niezróżnicowaną społeczność. Narracja o takiej społeczności musi jej narzucać silną symbolikę, pobudzać nacjonalizm określany mianem patriotyzmu.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (45) Bez tytułu i daty (XXXVIII)

Są pisarze, których można by nazwać samowystarczalnymi, gospodarstwo ich literatury nosi cechy autarkiczne. Julian Strykowski najchętniej nie wychylałby głowy ze sztetli. Znajdziemy odstępstwa, jak *Przybysz z Narbony* czy *Tommaso del Cavaliere*. Ale to w miasteczku były narodziny i śmierć, początek i koniec, najróżniejsze nitki duchowości i ludzkiego życia, namiętności, konflikty, uwiedzenia ideologiczne, słowem wszystko, co dla pisarza ważne i potrzebne jako budulec twórczości. Tadeusz Nowak konsekwentnie pozostał wierny „dolinie Dunajcem rozciętej”, czyli chłopskiemu losowi, który odziedziczył i który znał najlepiej: znakom natury, mowie, trudowi dnia codziennego, wierze i cudownościom wierzeń. Ludowym baśniom, półbaśniom i zaklęciom. Obracał je w wierszach i powieściach jak paciorki różańca, układał psalmy o świecie, który przemijał, czy raczej już przeminął. „Stróż latarnik” Miron Białoszewski najczulszymi narzędziami opukiwał i osłuchiwał Warszawę. Z szumu miasta, rozproszonych głosów, ulic, domów, bliskich i przygodnych osób składał własne miasto, a mówiąc inaczej i chyba trafniej, rysował swój zwielokrotniony, rozproszony autoportret. Autoportret prawdomówny, choć celowo niedokończony i niejednoznaczny. Fascynujący.

W szarzyźnie mokrego październikowego poranka nagle rozświetliło się żółte drzewo. Na poboczu drogi do Lublina jest jak dobry znak, jak pozdrowienie, otucha.

W niedzielny poranek patrzyłem z ósmego piętra na Lublin. Miasto obudziło się wcześniej niż ja, ale nie zdążyło przetrzeć oczu. Ciemne i bezkształtne chmury wisały nisko, w oddali dotykały dachów najwyższych domów. Nie padało i nie miało już tego dnia padać. Nad skrzyżowaniem ulic Narutowicza, Lipowej i alei Józefa Piłsudskiego przeżyły się zasilające trolejbusy linie elektryczne. Jakby to było wczoraj, przypomniało mi się iskrzenie, zgrzyty i krótkotrwałe awarie tych pojazdów na trasie moich codziennych przejazdów między

placem Litewskim a uczelnią w Alejach Racławickich. Teraz cienkie kreski linii elektrycznych zacierała w oddali mgła. Przed miastem był cały dzień, ale ono było naburmuszone, bo nie pozwolono mu dłużej spać, niechętnie faktowi, że i dziś musi podolać swoim obowiązkom, a ktoś taki jak ja podpatruje je w chwili, gdy o wczesnej godzinie „niegotowe” ogląda się w oknach domów i szybach przejeżdżających aut.

Na oświetlonym przez latarnie trawniku przed Pałacem Kultury późnym jesiennym wieczorem zobaczyłem sabat wron siwych. Było ich na pewno więcej niż dwadzieścia. Kroczyły w tę i w tamtą stronę, czegoś szukały i znajdowały. Inne siedziały nieopodal na drzewach przy Marszałkowskiej i krakały.

Jeśli zaczątkiem wiersza jest obraz, fraza, kilka słów (bo nawet nie pomysł utworu), to wiele tych zaczątków gubię, nie podążam ich tropem, może mało roztropnie uznając je za niewarte zainteresowania i kontynuowania. Kiedy zatem wiersz ma szansę powstać? Gdy jestem bardziej skrzętny i pracowity? Gdy obraz, fraza, kilka słów przemawiają tak silnie, że nie mogę ich zatracić? Gdy poczułbym się źle z dalszym ich ignorowaniem?

Mógłbym o sobie powtórzyć za Andrzejem Zawadą: „Nie jestem pedantem, nie mam duszy archiwisty ani bibliofila. Moja biblioteka podlega nieustannemu strzyżeniu, jak żywopłot trochę neurotycznego ogrodnika, który obawia się, żeby wyrosnięte krzewy nie przesłoniły mu światła” (z eseju *Powiat jako format*, w tomie *Drugi Bresław*).

Wrony siwe i gawrony wydostojniały w połowie listopada. Nabraly pełni kolorów, zmieniły upierzenie na zimowe. Kroczą pod drzewami na ulicy Gójawiczyńskiej, rozgarniają dziobami liście. Niektóre stoszą pióra na głowie, jakby chciały zadać szyku.

„Nie trzeba patrzeć, »jak czegoś nie ma«. Było – to najważniejsze” – tak Maria Iwaszkiewicz odradzała przybyłemu z Argentyny przyjacielowi Staszka Lilpopa, syna „wujostwa Lilpopów”, wizytę we „Flegminku”, czyli dawnej posiadłości Lilpopów w Podkowie Leśnej (w tomie *Z pamięci*).

Babcu, 20 listopada skończyłaś dziewięćdziesiąt pięć lat.

„Każda podróż jest w gruncie rzeczy bardzo sztucznie skonstruowaną wyprawą w głąb samego siebie albo w głąb własnego życia” – Jarosław Iwaszkiewicz w szkicu *Rachunki włóczęgi* z tomu pod tym samym tytułem (Warszawa 2016).

Który dziś pisarz, jak Jarosław Iwaszkiewicz w 1979 roku, mógłby tak żarliwie, czule i z właściwą miarą napisać o Janie Kochanowskim? „Postanowiłem [...], że jeszcze przejadę się raz z Sandomierza i Tarnobrzega innymi niż dotychczas drogami” – czytamy w felietonie *Z nowej teki podróży*. „A w Kozienicach była puszcza, taki piękny las, lekko tylko nadszarpnięty zębem elektrowni... A za Kozienicami, w stronę Zwolenia, chcesz czy nie chcesz, mimo woli myślisz sobie o Kochanowskim. Podziw bierze, jak ten człowiek z takich pustaci, z takich dali, jechał do Włoch i Francji. Tu do Lublina zdaje się daleko, a cóż dopiero do cudzych cudnych krain. [...] Zawsze na takim falującym polu myśli człowiek, że to wielkie szczęście polskiej literatury, że jej arcydzieła tak długo żyją, tak długo żywią nas swymi sokami. To życie Kochanowskiego, polne życie Kochanowskiego, zawsze jest tutaj w szczególny sposób obecne. Zamknięte w tamtym pejzażu” (z tomu *Rachunki włóczęgi*, Warszawa 2016).

Przemyślanka Agata Pilawa po lekturze mojego utworu *Amoniaczki* przysłała mi – cóż za niezwykły podarunek! – pudełko upieczonych przez siebie amoniaczków. Nie ma znaczenia, że ciasto wykrawała nieco mniejszymi formami, smak bowiem, zapach, chrupiąca konsystencja odsyłały do wzorca tych ciasteczek, które piekła Babcia.

ARTUR SZLOSAREK

Fragmenty (9)

Ekscesy Diogenesa

Anioł Waltera Benjamina, który nawiedził pisarza (i myśliciela) za pośrednictwem zrealizowanej wizji malarskiej Paula Klee, spełniał w jego życiu wiele zasadniczych funkcji: najpierw był aniołem stróżem – i „ambasadorem” – kabały, by później przeistoczyć się, nie tracąc jednak swej funkcji pierwotnej, w patrona fikcyjnego uniwersytetu w Muri pod Bernem. (Gershom Scholem drukuje za pośrednictwem swoich braci, właścicieli drukarni w Berlinie, „akta” tej fantasmagorycznej uczelni w formie *Filozoficznego alfabetu*). Benjamin i Scholem zakładają taki uniwersytet, aby dać wyraz niechęci i głębokiej rezerwie dla przydatności do p r a d z i w y c h studiów czysto uniwersyteckich metod nauczania, uświęconych wieloletnią (oraz trącąca już myszką) tradycją. W tym odruchu są wyjątkowo bliscy Stempowskiemu, który ponad wszelką metodologię zdawał się stawiać własną, choćby skrępowaną, intuicję, czego dobitnym dowodem było niedoprowadzenie do finału przewodu doktorskiego. „Anioł przywoływany na obrazie Paula Klee – kontynuuje swój wywód Scholem – był z pewnością zagadkowy, choć w zupełnie inny sposób niż anioł z *Elegii duinejskich* czy innych wierszy – ten bowiem całkowicie zatracił żydowski charakter postać, który przynosi jakąś wieść. Wszak w języku hebrajskim to samo słowo (*mal'ach*) oznacza anioła i postać. Wieczne anioły, takie jak choćby archanioły i Szatan – upadły anioł żydowskiej i chrześcijańskiej tradycji – były zapewne dla Benjamina mniej istotne niż owa talmudyczna wizja aniołów powstających i ginących przed obliczem Boga, o których czytamy w *Ocar Hakabod* Todrosa Abulafii (1879), że »znikają jak iskry na węglach«. Do tego motywu dołączyła się jednak w wyobraźni Benjamina inna koncepcja z żydowskiej tradycji – a mianowicie wizja o s o b i s t e g o [podkreślenie moje – A.S.] anioła każdego człowieka, który stanowi jego tajemną jaźń, lecz którego imię nie zostaje człowiekowi wyjawione. W tej anielskiej postaci, częściowo też jednak w formie tajemnego imienia, owa niebiańska jaźń człowieka (podobnie jak wszystkie inne rzeczy stworzone) wpleciona jest w zasłonę, która wisi przed Bogiem. Oczywiście, między tym aniołem a ziemską istotą,

do której został przypisany, może także pojawić się rozdźwięk i silne napięcie”. Wreszcie anioł, o jakim mówimy, stał się głównym źródłem dwóch związanych z sobą tekstów autora *Berlińskiego dzieciństwa wokół roku 1900* – obu odmiennych, choć niezwykle inspirujących szkiców: jednego o charakterze biograficznym, spisane go na Ibizie w 1933 roku przez Benjamina-wygnajca pod tytułem *Agesilaus Santander* oraz rozważań *O pojęciu historii*. Oba te teksty wraz z towarzyszącą im tradycją angelologiczną Talmudu wywarły również (bez wątpienia) wielki wpływ na komentatora i tłumacza Benjamina – Giorgio Agambena. Więcej nawet, warto bowiem tutaj zauważyć, że koncepcja wpisana w krótki esej o fotografii tego ostatniego, jakiego to tekstu implikacjami się tutaj przez dłuższy czas zajmujemy, jest twórczą adaptacją idei spisanych przez Benjamina.

Benjamin pisał też entuzjastycznie o sztuce fotografii. Nie tylko o aniołach. Zachęcał szczególnie pisarzy, ażeby wyciągali twórcze wnioski z wykonywanych przez siebie zdjęć i wyzyskiwali w pełni ich moc, wzmacniając ich siłę wyrazu słowem – przez nadawanie im metaforycznie nośnych tytułów. W takim twórczym podejściu widział, jak się można domyślać, współczesną i kreatywną kontynuację barokowej alegorii, której poświęcił studia (i legendarną pracę habilitacyjną). Byłby więc anioł Benjamina, którego Agamben uczynił aniołem fotografii i Sądu Ostatecznego, aniołem nie tylko uwolnionym z ka-bały i mistycznej spekulacji, ale również aniołem-patronem barokowej dialektyki, nakazującej szukać pod powierzchnią oswajających świat przedstawień świat ciemny i nieokiełznany? Ten anioł, wedle Scholema, jest indywidualnym „stróżem” każdego człowieka, który „przechowuje jego czystą, wzorcową postać”, posiadając również – „ludzki wygląd”. Widać więc tutaj jasno (i niejasno), jakiego rodzaju to przybliżenia. Łatwiej też w tym miejscu zrozumieć, o czym myślał *in concreto* Agamben, dochodząc do swej idei fotograficznego przedstawienia jako reprezentacji „eschatologicznej istoty” ludzkiego gestu. „Obraz fotograficzny jest zawsze czymś więcej niż obrazem” – pisał, zaznaczając, ale już w duchu bardziej Barthesa niż Benjamina, że fotografia jest „przestrzenią interwału i wzniosłego rozdarcia między tym, co zmysłowe, a tym, co intelligibilne, między kopią a rzeczywistością, między wspomnieniem i nadzieją”. Te figury retoryczne należy mieć w pamięci, gdyż stanowią one, mówiąc językiem używanym z kolei przez Susan Sontag, świadectwo istnienia „donkiszoterii fotograficznej odysei”. Wydaje się, że owa „odyseja” jest zmaganiem o charakterze dialektycznym: pomiędzy – by użyć znanego i niezwykle istotnego

rozdzielenia Barthesa, jakiemu dał wyraz w *Świele obrazu* – *punctum* a *studium*. Po między, mówiąc innymi słowy, *sacrum* a *profanum*. Jak ta dystynkcja niesie znaczenia i implikacje? Jak można się nim wesprzeć lub posłużyć do interpretacji fotografii, na której widnieje Stempowski? Jak dzięki owemu rozdzieleniu próbować określić skłonność, która charakteryzować będzie osobę „niespiesznego przechodnia” i jego dzieło, które jest za ledwie częścią, ledwie małym fragmentem projektowanego – czyli: właściwego – dzieła?

Mówiąc najogólniej: *studium* to taki korpus wiedzy zdobytej i u przed niej, jaką pozwala w siebie wchłonać podczas interpretacyjnej procedury interesująca nas fotografia, zaś *punctum* to taka jej treść pierwotna, której obecności nie sposób wcześniej założyć, przewidzieć czy wpisać w nią po prostu, bez dokonania przewartościowania dotychczasowych doświadczeń, nawyków myślowych i mechanizmów poznawczych. *Punctum* obezwładnia i wymusza nowy, bądź odmienny, język opisu, zaś *studium* upewnia i potwierdza prezentowane przez nas racje, umiejętności i dokonania. Oczywiście, rozdzielenie Rolanda Barthesa nie stosuje się jedynie do statycznych przedstawień czy – by myśl tę zaokrąglić – klasycznych dychotomii, bo i przynależy do szeroko pojętego dyskursu o obrazie, którego wielorakie implikacje nakazują akcentować ciasność wszelkich jednostronnych kategorii i łączyć przeciwieństwa w dialektyczne pary o nieprzewidywalnej dynamice własnej, jako że obraz to „coś pośredniego – jak to z mocą podkreśla Jean-Jacques Wunenburger w *Filozofii obrazów* – przedstawienie mieszane, forma paradoksalna”.

Łacińskie *studium* u etymologicznych korzeni nie jest w pierwszym rzędzie, jak mogłoby się dziś wydawać, określeniem czynności czy zatrudnienia, które ma na celu *studiowanie*, *uczenie się* po to, by zdobyć mniej lub bardziej konkretną wiedzę na wybrany temat, lecz postawą pozytywną, która reprezentuje żywione względem czegoś *zainteresowanie ogólne*. Tak też postrzega to Barthes. Dla niego *studium* nie jest w pierwszym odruchu niczym więcej niż „emocją, która będzie się domagać racjonalnego zapośredniczenia” w zetknięciu z takim ujęciem świata, jakie akurat proponuje nam oglądany obraz. *Studium* jest więc pojęciem, z którym należy zasadniczo wiązać zwykłe „ludzkie zainteresowanie”. Ale nie wyłącznie w wąskim zakresie. Słownik łaciński – Roland Barthes będzie szukał skutecznej pomocy w języku łacińskim, nie znajdując w języku francuskim na to odpowiedniego słowa – mówi w związku ze *studium* także o *gorliwym* czy *entuzjastycznym staraniu* bądź *dążeniu*. Łacińskie *studium* – Barthes traktuje przywołane konotacje nieco po macoszemu,

dostrzegając, iż mogłyby one skazić symetryczną czystość przeciwstawienia *studium-punctum* – to najpierw jednak „zapał, żądza, pożądanie” czy wręcz „nieodparta potrzeba, popęd”, później „praca nad czymś, zajmowanie się jakimś problemem” czy „ulubione zajęcia, hobby, pasja”, zaś dopiero na samym końcu tego łańcucha objaśniających pojęć – „praca naukowa”, czyli: dzisiejsze studia, studiowanie.

Barthes zdaje się mówić, że *studium* w percepcji obrazu to cały aparat wiedzy porównawczej, jaki w celu zrozumienia sensu (też: dostrzeżenia bezsensu), zawierającego się w obrazie lub przez obraz sugerowanego, funduje nam kultura, czyli wzajemny (i nierozzerwalny) związek, by przypomnieć innego myśliciela, zachodzący pomiędzy estetyką, etyką i metafizyką. Patrząc na fotografię Saula Leitera, pioniera artystycznej fotografii kolorowej, pod tytułem *Foot on El.* z 1954 roku (jest to chyba dobry przykład, chociaż inny, niż podałby nam Barthes, gdyż podzielał on za Henri Cartier-Bressonem tylko upodobanie do fotografii monochromatycznej, która w pojęciu ich obu, jako jedyna, jest zdolna oddać „istotę rzeczy”), nie dostrzegamy wiele więcej niż pusty przedział kolejki elektrycznej, skadowany pionowo. Właściwie widnieją na zdjęciu obite wytartym sukmem siedzenia, odznacza się drewniana podłoga, jak z przebieralni w kopalni lub pod prysznicem na basenie kąpielowym; widnieją na niej okna, w których odbijają się budynki przystanku, skąpane w przyciemnionej, pastelowej czerwieni. Nie wiemy, czy kolejka ta stoi jeszcze na przystanku czy że właśnie ruszyła – i jedno, i drugie daje się „odczytać” z kadru. Na siedzeniu fotela ktoś wspiera odzianą w czarny męski półbut stopę: wystaje ona z całości przedstawienia tak, jakby na przykład ktoś w teatrze lub wodewilu wystawił obutą i widoczną do kostki stopę zza kurtyny. Tyle. Da się jeszcze stwierdzić, że jest to stopa prawa, wystająca spoza prawej granicy ramy, umieszczona nieco powyżej środka długości dłuższego boku wizualnej reprezentacji. Ten nasz pobieżny opis to już w zasadzie główny zrąb *studium*. Intryguje nas ten but, gdyż to, co najważniejsze (czyli osoba, do której należy ukazany nam fragment ciała), a co zdaje się nam właśnie sugerować Saul Leiter, mieści się poza kadrem, w kadrze pozwalając się ująć tylko jako fragment, sugestia, aluzja, metafora. Nie wiadomo bowiem, co to za osoba ani co ona czuje, gdyż nie dano nam szansy dowiedzieć się więcej, co na przykład moglibyśmy odczytać z rysów twarzy. Tak oto pracuje *studium* (pomijam białą frotową skarpetkę, o której przed chwilą zapomniałem – myślę jednak, że i do niej wrócimy): jest rok 1954 i wygląda na to, że dzień, w którym Leiter

włóczył się z aparatem po Nowym Jorku, był słoneczny. Nie wiadomo jednak, jaka była wtedy pora roku. Dnia 1 marca USA przeprowadziły pierwszą próbę detonacji bomby wodorowej o sile sześćset razy większej niż zrzucona na Hiroszimę. Między RFN a Francją zostaje wprowadzony ruch bezwizowy. Trwa wojna w Indochinach, chociaż równie dobrze interesująca nas fotografia mogłaby zostać zrobiona zaraz po pokojowej konferencji w Genewie, na której 21 lipca zaakceptowano nowy podział Wietnamu. Jeśli jednak był to słoneczny październik w Nowym Jorku, to 2 października na konferencji w Paryżu (po dziewięciu latach od zakończenia drugiej wojny światowej) umożliwiono Niemcom przyjęcie do NATO i pozwolono im się spokojnie zbroić. W zimie doniecki Biełgorod przypadł wcześniej na drodze wymiany Rosji, zaś Krym – radzieckiej Ukrainie. 24 sierpnia prezydent Eisenhower podpisuje *The Communist Control Act of 1954*, na mocy której to ustawy wszelka przynależność, jak również wspieranie Komunistycznej Partii USA równa się działalności przestępczej i będzie ścigane przez prawo. 27 czerwca w podmoskiewskim Onisku zostaje otwarta pierwsza komercyjna elektrownia atomowa. 5 lipca Elvis Presley nagrywa w Memphis *That's All Right*, rozpoczynając karierę gwiazdy rock'n'roll'a, zaś 29 lipca Tolkien publikuje *Władzę Pierścieni*. 6 września, na festiwalu w Wenecji, pokazana zostaje pierwszy raz *La Strada* Felliniego. W 1954 roku Hemingwaya uraczono Noblem. W Trójkącie Bermudzkim (kto taką figurę geometryczną dzisiaj pamięta?) zaginęło pięć amerykańskich samolotów. W Algierii wybuchło powstanie przeciwko Francji. I jak zawsze: miały miejsce trzęsienia ziemi, katastrofy, otwarcia i odkrycia. Rok był obfity, by nie rzec, burzliwy. W Holandii odbyła się pierwsza konferencja grupy Bilderberg. W Polsce nowohucki kombinat metalurgiczny otrzymał nazwę Lenina, zaś premierem został Cyrankiewicz. We wrześniu – po całkowitym zaćmieniu Słońca – na Zachód uciekł Józef Światło i podzielił się swoimi rewelacjami ze słuchaczami RWE, o czym możemy przeczytać w dziele pod tytułem *Za kulisami bezpieki i partii*. 3 sierpnia Milicja Obywatelska przeprowadziła *Akcję X-2*, w wyniku której tysiąc pięćset zakonnic trafiło do obozów pracy przymusowej. Pierwszym sekretarzem PZPR nadal był towarzysz Bierut (Gomułka i Wyszyński siedzieli w więzieniu), a prezydentem RP na uchodźstwie August Zalewski (czy ktoś to jeszcze pamięta?). 31 lipca Ardito Desio stawia stopy na K2 i jako pierwszy w pisanej historii patrzy w dół z tego ośmiotysięcznika. Tylko *studium* może to wszystko pomieścić w pamięci, o której mówi się potocznie, że jest święta – przede wszystkim chyba jednak dlatego, że to matka wszystkich muz. Właściciel stopy odzianej w elegancki but ze zdjęcia Saula Leitera sprawia jednak

takie wrażenie, jakby o tym nie był poinformowany. Wraca pewnie z urzędu pracy, gdzie dowiedział się, że nie otrzyma zasiłku w kolejnym kwartale. Zresztą, istnieje możliwość, że jesteśmy w błędzie. Ta noga, nonszalancko i z dezynwolturą oparta o przeciwległe siedzenie, jest jak ledwie wyczuwalne *clichè*, bo czyż nie przypomina ona owej osobistej sygnatury, jaką wiele wieków temu pozostawiali, jako jedyny znak (malarski) własnego istnienia, starzy mistrzowie na płótnach, których tematem było to, co ich – i nas wszystkich – przeraża? Ta noga w bucie i frotowej skarpetce w słoneczny nowojorski dzień, którą wywiezie w niewiadomym kierunku kursująca regularnie w niepamięci kolejka, to jedyny dowód na to, że „niedostępny rdzeń naszej wyjątkowości – a pisze tak George Steiner, do którego noga w półbucie i wspomnianej skarpetce mogła również przez przypadek należeć – ta najbardziej zinternalizowana, intymna, nieprzenikliwa przynależna nam własność jest zarazem pospolitą powszechnością. Nasze myśli, choć wyrażone, wypowiedziane lub niewypowiedziane w różnych leksykalnych, gramatycznych i semantycznych kształtach, są w najwyższym stopniu powszechne, są wręcz naszą wspólną własnością”. To dlatego *clichè* to zarówno banał, jak i klisza fotograficzna. *Studium* jest więc tu też dowodem na to, że nawet obrazy nie posiadają mocy wyzwalającej nas od upadania w myśli, skoro każdy proces myślowy, ten najbardziej błahy, jak i najbardziej złożony, jest w swoim rdzeniu niekończącą się repetycją wygnania – z niekonkretnego Edenu.

„Nie, nic się nie kończy”

Wiersze zebrane Juliana Kornhausera możemy czytać w kilku przekrojach. Przede wszystkim przeglądając obszerny tom, zastanawiamy się nad ewolucją poety. Widzimy, jak zmieniła się estetyka jego wiersza (idee, metrum, postać graficzna). Mamy też wgląd w to, jak w kolejnych dekadach Kornhauser gospodarował formami i gatunkami lirycznymi. Znajdziemy przecież w *Wierszach zebranych* utwory epigramatyczne (dystychy, tetrastychy) i dłuższe formy (bajkę, odę, elegię, modlitwę, balladę, list poetycki), a także poematy (*Niebo nad górami*, *Biały Murzyn*).

Ale edycja wierszy wszystkich pozwala też porównać wersje utworów publikowane w poszczególnych tomach i w postaci ostatecznej. Co prawda redaktorzy tomu w nocie edytorskiej piszą, że Kornhauser, inaczej niż Tadeusz Różewicz, „nie łamie raz powstałych wierszy i poematów, i nie składa ich ponownie”, to przecież dają przykłady „korekt”. Ich wykaz zajmuje kilkanaście stron książki i trudno je uznać za błahe.

Ponadto, czytając *Wiersze zebrane*, obserwujemy, że w kolejnych utworach i tomikach poeta buduje napięcie pomiędzy myśleniem o literaturze w kategoriach estetyki Nowej Fali oraz pragnieniem wyrażania odkryć indywidualnych. A wiemy, że dla Kornhausera ważne było i jedno, i drugie. Uczestniczył przecież w działaniach zbiorowych, tak krytycznoliterackich, jak i artystycznych. Istotne jest też, że poszczególne wiersze Kornhausera uzyskały status utworów charakterystycznych i reprezentowały pewne tendencje w estetyce wiersza. Liryk *Umrzeć, bracia, za świat* z tomu *W fabrykach udajemy smutnych rewolucjonistów* posłużył Marii Dłuskiej za przykład zasadniczych zmian w poezji pierwszej połowy lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, w której występowała sprzeczność rozczłonkowania na wersy z prawami języka, co sygnalizowało przede wszystkim dzielenie między wersami wyrażen przyimkowych. A *Zegar* z tomu *Nastanie święto i dla leniuchów* stał się w systematyzacji Doroty Urbańskiej wyrazistym przykładem wiersza wolnego antyskładniowego.

Gdy mamy przed sobą poezje zebrane, możemy też na innych zasadach niż chronologia zestawiać kolejne liryki i tworzyć rozmaite cykle, na przykład zestaw wierszy „rodziny”. W rezultacie otrzymamy swoisty album. Znajdziemy w nim utwory o dzieciach, o córeczce, o babci, a zwłaszcza wzruszający i zabawny liryk „sportowy” o synu, który zaczyna się od słów:

Mój syn gra w piłkę,
ale może to piłka gra
z nim?

(*Syn, sen*)

Ciekawe są wiersze „biograficzne” Kornhausera. A to ze względu na to, kogo utrwała poeta w swoich utworach (Friedricha Hölderlina, Franza Kafkę, Jarosława Iwaszkiewicza...), i z uwagi na technikę portretowania. Coś o niej mówi na przykład apokryficzny wiersz o Brunonie Schulzu, zatytułowany *Epoka małości*. W tym kontekście niebagatelne są listy poetyckie Kornhausera. Myślę o utworach rozsianych w różnych tomach, a w *Wierszach zebranych* tworzących wyrazisty cykl rozmów i polemik ze współczesnymi: *Do Adama Zagajewskiego*, *Do Aleksandra Jurewicza*, *Do Bohdana Zadury*, *Do Jerzego Gizelli*, *Do Krzysztofa Karaska*, *Do Piotra Sommera*, *Do Stanisława Barańczaka*. Są to wiersze, w których poeta rozważa rozmaite zagadnienia

społeczne, historyczne i metapoetyckie. Za najciekawsze uznaję te ostatnie. Oto jak Kornhauser broni swojego głosu w poezji, dystansując się wobec innych estetyk, jakie budowali twórcy tej samej generacji. Z Piotrem Sommerem debatuje krakowski poeta o „częściach mowy”:

[...]
Oddałbym ci wszystkie rzeczowniki z moich
wierszy
i te z czasów harcerek, i te z końca stulecia.
Świetnie by się czuły obok twojej *czapki, szalik*
i szczoteczki,
i nie grymas: bierz wszystkie, po prostu jak leci!
Wiem, nie lubisz ich za bardzo. Gdy je czytasz,
zęby cię bolą.
[...]

Nie można powiedzieć, że to przykład polemiki subtelnej. Ale przecież chodzi o sprawy fundamentalne, bo o rozumienie słowa jako nośnika znaczeń w liryce, o pojmowanie tradycji literackiej, o kanon poetów współczesnych... Co jednak myśleć o wersach, z którymi Kornhauser zwraca się do Zadury:

Zbierasz pełnymi garściami żwir i muł języka
jak czerpie się wodę z drewnianego koryta.
Co zostaje z tego pyłu, kurzu, który przenika
do naszych płuc i głośno jęczy jak zdarta płyta?
[...]

Są w *Wierszach zebranych* motywy mitologiczne i mitograficzne. Pozwalają nam one myśleć o tym, jaka jest przydatność starych figur do przedstawiania kolejnych zdarzeń z historii i ze współczesności. Wśród

nich pojawiają się i takie, które są już oswojone przez malarzy i poetów, a niekiedy wykorzystane w tytułach ważnych dzieł. Tak jest z wierszem *Et in Arcadia ego*.

Możemy więc podziwiać sztukę ekfrazy Kornhausera. Takich utworów znajdziemy sporo, i to w różnych okresach działalności poety. Mamy wierszowe konkretyzacje obrazów największych malarzy: Goi, Breughla, Picassa, Kandinskiego, Bernarda Buffeta... Liryki te stają się zwykle okazją do porównań sztuk, do stawiania pytań o to, co z większą mocą uobecnia świat: obraz czy słowo. Notabene sporo o ekfrazie w poezji Kornhausera pisze Adrian Gleń w książce *„Marzenie, które czyni poetą...”. Autentyczność i empatia w dziele literackim Juliana Kornhausera*.

Wiersze zebrane pozwalają nam jeszcze inaczej spojrzeć na dorobek poety. Możemy przy tej okazji raz jeszcze pomyśleć o utworach, które w poszczególnych tomach zostały zauważone, a które pominięte; które były szeroko komentowane, a o których powstały ledwie wzmianki. I tak na przykład wiersz *Tyle słów* z tomu *Zasadnicze trudności* posłużył Stanisławowi Beresiewi za temat autobiograficznego eseju. Znamienne, nie jest to zwykła interpretacja, choć w kilku miejscach historyk literatury precyzyjnie i dobitnie wyklada poetykę wiersza nowofalowego.

Beresiewicz jednak nie tyle odczytuje słowa poety, co wyznaje, jak wielką siłę oddziaływania miały wersy Kornhausera na duchowość i postawę obywatelską niegdysiejszego maturzysty z wrocławskiego liceum. A co charakterystyczne, o tym wszystkim Beresiewicz opowiada – jak sam wyznaje – w wieku przedemerytalnym. Oto ostatni akapit tego hołdu dla poety: „Bo przecież każdy pragnie, żeby papierów, którym poświęcił tyle wysiłku, nie wyniesiono na śmietnik, tylko odnaleziono w nich coś ważnego i wartościowego. W takich momentach czuję skurcz serca i wraca do mnie wiersz *Tyle słów*, spoglądamy w oczy i pyta głosem autora, czy pisałem rzeczy dostatecznie ważne i prawdziwe, czy są one w stanie kogokolwiek obudzić, zafascynować, uwolnić od strachu lub bólu, powalić na kolana. Jego pryncypialność jest porażająca. I ciągle niestety, choć mijają dekady, pozostaje aktualna jego bezceremonialna diagnoza: otacza nas ocean słów niepotrzebnych, fałszywych, mętnych jak sadzawka lub po prostu głupich; słów, które są „ciche lękliwe nieprzejrzyste”, „nie trafiają w sedno”, „patrzają aby nie widzieć” i zachęcają do ucieczki, a nie do lektury. Nie da się tych pytań odsunąć na bok, zagadać, zlekceważyć. Trzeba było mieć odwagę, by je tak prosto i bezpardonowo – innym i sobie”.

Wspominałem o wierszach rodzinnych Kornhausera. Te utwory albumowe łączą się z wierszami dla dzieci. Chodzi mi zwłaszcza o tom *Tyle rzeczy niezwykłych. Wiersze dla Agatki* z 1981 roku. Zestawione z utworami dla dorosłych znaczą trochę inaczej. Tak, ten tomik to wierszowana opowieść o świecie. Poeta wyjaśnia dziecku, co to jest droga. Definiuje wiatr. Tłumaczy, co to jest potok. Troskliwy ojciec pozwala także dziecku oswoić ciemność nocy. Przede wszystkim jednak pokazuje, jak spojrzeć na świat, by odsłaniał swą cudowność. Tak jest w rymowance *Szukanka*. Oto jej początek:

Co jest w koszyku?
Jajek bez liku.
A w wiadrze co tam?
Nic, hipopotam.
W miseczce, co jest?
Dla kurek owies.
Co widać w kubku?
Dzióbek przy dzióbku.
[...]

Ale w tych wierszach jest coś jeszcze; skrywają się w nich takie odmiany poetyki, które poeta praktykował w twórczości dla dzieci, a już ich nie rozwijał w liryce dla dorosłych. Chodzi mi o utwory ikoniczne. *Gwiazdeczka* na przykład to liryk w kształcie choinki. A inny zarysem liter oddaje snop światła. Charakterystyczny jest też wiersz *Co za rumor?*. To zabawny utwór, poznajemy w nim Agatkę, która „kaszy nie je”.

A cały wierszyk to opis poszczególnych przedmiotów biorących udział w śniadaniu córki. Oto kilka wyimków z niego: „Mruga lampka powiekami, / Stół jest miękki jak aksamit, / Z kalendarza lecą kartki, / Na kredensie warczą garnki, / Nożyk świsnął, łyżka brzęczy, / Na talerzu chlebuś jęczy, / Szklanka dzwoni, guzik płacze...”.

To prawdziwy horror. Nie jestem zresztą pewien, czy to wiersz pedagogiczny, bo czy zachęca do spożycia kaszki, czy też do niej zniechęca, a nawet ją obrzydza? Tu jednak pragnę zwrócić uwagę na koncepcyjną poetykę. Kornhauser personifikuje przedmioty w mieszkaniu tak, że stają się one uczestnikami dziecięcego śniadania. A kolejne wersy mieszczą się w trzech zdaniach, z których jedno zostało wyeksponowane, ponieważ poprzedza informację o Agatce niejadce: „Každy przedmiot traci humor!”.

Lecz chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden niezwykły wiersz dziecięcy – *Nic się nie kończy*:

Nie, nic się nie kończy,
nie kończy się niebo,
nie kończy się ziemia, nie kończą się drogi,
las i morza.

Dlatego idź przed siebie,
licz powoli kroki

Widzimy, że wiersz jest odpowiedzią na dziecięce koszmary; na pytanie, czy wszystko się kończy? Poeta

wywiązuje się z zadania. Odpowiada na kłopotliwą kwestię i jako ojciec, i jako poeta. Jako ojciec dlatego, że uśmierza trwogę dziecka. Jak to jednak robi? Zauważmy, że nieco modyfikuje pytanie, na które odpowiada. Dziecko niepokoi zagadnienie „metafizyczne”. Ojciec je porzuca i opowiada o świecie, o jego różnorodności. Można by powiedzieć, że nad „filozoficzną” spekulacją o istotę przedkłada rozumienie życia jako zadania (poznawać bogactwo świata widzialnego). Ale w wiersz wplecione są również zagadnienia poetyki. Czy dwa ostatnie wersy liryku to nie są przystosowane do dziecięcego adresata słowa znanego imperatywu *Pana Cogito*? I nie możemy być tym zaskoczeni, skoro później Kornhauser opublikował książkę o Zbigniewie Herbercie *Uśmiech Sfinksa. O poezji Zbigniewa Herberta*.

Jerzy Madejski

Julian Kornhauser, *Wiersze zebrane*, redakcja Adrian Glerń, Jakub Kornhauser, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2016

Księga Szarugi

Jean-Marie Gustave Le Clézio napisał kiedyś: „Poezja, powieści, nowele to przeżytki, które nie oszukają już nikogo lub prawie nikogo.

[...] Pozostaje po prostu pisanie, sondujące po omacku rzeczywistość, pisanie, które szuka, które opisuje z dokładnością i głębią, które wczepia się w rzeczywistość, rozpracowując ją beznamiętnie”. Przytoczenie tych zdań to z mojej strony wyznaczenie intymne, gdyż od lat traktuję je jako drogowskaz w moim pisaniu, poszukując jakiejś formuły pomiędzy prozą poetycką a narracyjną. Od razu zauważyłam więc, że taka formuła pasuje do tomu Leszka Szarugi, choć nie bez pewnej korekty: rzeczywistością do rozpracowania jest tu także język.

Obszerny tom Leszka Szarugi *Wybór z Księgi. Cykle sylwiczne, fragmenty, wiersze* jest właściwie wyborem poetyckim z całego życia, choć o odwróconej kolejności. Otwiera go cykl zapisków z 2015 roku, kończą wiersze ze zbioru z 1977 roku. Czas biegnie więc odwrócony, cofa się do początków. Nie jest jednak jasne, z jakiej Księgi dokonuje się wyboru i jest to niejasność zamierzona, znacząca: być może jest to jakaś wielka osobista Księga, która obejmuje znacznie więcej, niż da się zamknąć w jednym tomie, uwzględnia bowiem także lektury, co widzimy pod postacią zagarniania cytatów, włączania ich do własnych... wierszy? wierszy nie wierszy?, czyli pisania, zapisywania i myślenia. Księga Książek może zagarniać nawet lektury nieodbyte i książki niedoczytane

jako mit wielkiej całości, wobec której zawsze jesteśmy bezradni po-
znanawczo, mogąc podglądać jedynie
jej fragment.

W polskiej krytyce wymyślono
 pewne uchwyty teoretyczne dla
 zapisów pozagatunkowych; Szaru-
 ga je zna i przywołuje, nazywając
 pierwsze poematy nie poematy
 „cyklami sylwicznymi”. To słowo-
 -przypis w stronę książki Ryszarda
 Nycza *Sylwy współczesne*. Jest to
 jednak przypis przekorny, wciągają-
 cy poezję w problematykę, która zo-
 stała zaproponowana i opracowana
 teoretycznie dla prozy, przekracza-
 jącej granicę między fikcją a osobi-
 stym wyznaniem. Szaruga pokazuje,
 że poetyckie zapisywanie może
 podlegać podobnym zasadom. Jest
 to przy tym wybór z całości dokona-
 ny nie przez samego autora, który
 mógłby mu nadać cechy ostateczne,
 ale przez reżyserkę tomu, Żanetę Na-
 lewajk, co jeszcze bardziej podkreśla
 jego otwarty charakter.

Otwartość oznacza też nieosta-
 teczność, choć poszczególne poe-
 tyckie drobiazgi mogą mieć kształt
 doskonale opracowany i artystycznie
 zamknięty. Jak na przykład fragment
 dwudziesty czwarty w cyklu *Fluktua-
 cja kwantowa*: „na koń // na końcu
 / na końcu wszystkich / na końcu
 wszystkich tajemnic // nic”.

Albo pytanie: „czy nić czy /
 nic” z części zatytułowanej *Blag*

(*języczenie*). Artystyczne zamknięcie
 w postaci symetrycznej formy, opar-
 tej na lingwistycznych grach, nie
 oznacza jednak ostateczności sensu.
 Jeśli dobrze interpretuję głębokie
 założenie, które leży u podstaw po-
 etycznych zapisków, to jest nim zgoda
 na brak możliwości zainscenizowania
 w tekście poetyckim epifanii. Este-
 tycznie domknięte teksty niczego
 nie obwieszczą, nie wyłoni się z nich
 nagły błysk wyjaśniający wszystko.
 To perełki powtarzalnego zaprze-
 czenia, jak taka, nazwana *Równa
 nie*: „rzecz nie w słowie / i nie słowo
 w rzeczy // samej”. W poezji odby-
 wa się ceremonia wielokrotnego
 zaprzeczania, ale pojawia się świa-
 domość, że jeśli świat wyłonił się *ex
 nihilo*, to nicość pozostaje w dalszym
 ciągu jedną z niezbędnych kategorii
 jego pojmowania. Niesprzeczne
 z tym jest, że na poziomie zupełnie
 innym, sugerowanym, symbolicz-
 nym, nadbudowanym i otwartym
 pojawia się Księga, czyli możliwość
 sensu, choć być może jest on nie do
 uchwycenia. To jeden z motywów
 gromadzonych cytatów; Stephen
 W. Hawking ujmuje to na poziomie
 ocenianej w bitach ilości informacji,
 a wypowiedzi Michała Hellera i Carla
 Friedricha von Weizsäckera sugeru-
 ją wątpliwości co do powszechnie
 przyjmowanych kategorii poznania.

Moja lektura tak skomponowa-
 nej książki uświadomiła mi też – po

raz kolejny – konieczność dystansu wobec kategorii, które, łączone z poetą w momencie najbardziej go określającym, w chwili debiutu, zazwyczaj pozostają z nim na całe życie. W przypadku Leszka Szarugi jest to Nowa Fala, tylko że jej już dawno nie ma... Księga Leszka Szarugi, skomponowana w początkach dwudziestego pierwszego wieku, odnosi się do całej poezji dwudziestego wieku, a świadomie nawiązuje przywołaniami na przykład do Juliusza Słowackiego, choć nie posługuje się ani tego samego rodzaju ironią, ani liryzmem. Z wieku dwudziestego dla Szarugi ważni są Leopold Staff, poezja rosyjska, Giennadij Ajgi, Paul Celan, Stanisław Czycz, Tadeusz Różewicz i Krystyna Miłobędzka, poezja konkretna... Gdyby wymieniać dalej, urosłaby lista świadcząca o jakiejś wielkiej syntezie doświadczeń i odniesień artystycznych. I tak jest, to też jeden z wymiarów domyślnej Księgi.

W jednym poetyckim myśleniu Szarugi nie oderwało się od Nowej Fali – nadal pozostaje on poetą zaangażowanym, czułym na wszelkie sytuacje zagrożenia wolności. Auschwitz nie ulega przedawnieniu. Mowa coraz bardziej jest zagrożona przez agresywną manipulację polityków, pomnożoną przez media. Człowieczeństwo to stan niepewny. Kłamstwo zagarnia całe grupy społeczne. W ten sposób w Księdze

następuje powrót do początku, gdy młody poeta nazywał po swojemu kłamstwo i obwieszczał nieufność.

Anna Nasiłowska

Leszek Szaruga, *Wybór z Księgi. Cykle sylwiczne, fragmenty, wiersze*, wybór, posłowie i opracowanie Żaneta Nalewajk, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2016

Dwie natury

Gdzieś na Południu zadziera głowę, żeby wypatrzeć cykadę, „tę brzydulę nadnaturalnej wielkości”, w Krakowie w deszczowy kwietniowy wieczór słucha „ciemnego niskiego śpiewu” Kasandry (chodzi o Kasandrę Wilson), na Wyspach Jońskich przeżywa „krótką wieczność / wakacji”, „w czterdziestą trzecią rocznicę śmierci Taty” modli się w pociągu w drodze do Przemyśla. Jest tam i tu, wtedy i teraz, daleko, na greckiej wyspie, i u siebie, tu, w Krakowie. Bohater liryczny *Zamrozu* Krzysztofa Lisowskiego jest obecny mocno, intensywnie i różnorako. Chciwa widoków, barw, kształtów, zapachów sensualność ma w poezji tego autora stałe towarzystwo głębokiej, acz nieostentacyjnej duchowości. Dwie odmienne natury, dwie z innego kruszcu utworzone połowy. A przecież strona zmysłowa i duchowa

nie stają do wyścigu, nie walczą o pierwszeństwo, w ogóle obca im jest rywalizacja. Uzupełniają się, ich związek ma charakter symbiotyczny, czego dowodem – wiersze. Dlatego nie należy dwóch odmiennych natur rozpatrywać osobno, interpretować jedną w oderwaniu od drugiej.

Ani wtedy, gdy na łące nad Morzem Egejskim napotyka „ryczącego i śpiewającego osiołka”, ani gdy „w zachmurzoną niedzielę w sycylijskim mieście” ogląda „doroczną rzeź motyli morza / tuńczyków”, bohater Lisowskiego nie jest szukającym chwilowych wrażeń turystą. Przemieszcza się nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Odwiedza „dawne” nie dla sensacji ani jakichkolwiek osobliwości. Kupiona od bukinisty antologia opowiadań włoskich trochę nieoczekiwanie dla niego staje się wehikułem, który ma przywilej przenoszenia w przeszłość, gdy dopiero stawała się rzeczywistość napisanych przez nowelistów zdań, a sami ich autorzy żyli pełnią teraźniejszości, bez wiedzy o tym, co za kilkadziesiąt lat stanie się ze światem i z nimi samymi: „Pasolini ma wiele roboty nie planuje / spotkania z chłopcem na plaży w Ostii / Calvino wcale nie czuje niepokojących objawów” (*Antologia opowiadań włoskich*). No i bohater liryczny Lisowskiego jest wtedy i tam, z osiołkiem i z nieznającymi wyroków przyszłości włoskimi pisarzami. *Zamróż* ukazuje

charakterystyczny dla poety dar współbicia, współuczestniczenia, empatii. Rzeczywistość rozszerza się, kultury przekraczają swoje granice, bogactwo natury i ducha cechują zgodność, rozmyślność, może bliżej nieznanym cel.

Gdzie jednak jest najbardziej – bo gdzieś musi być – bohater liryczny tak bardzo „rozprzestrzeniony”, swobodnie przekraczający granice obywatel różnych krain, kultur i czasów? Emocjonalną dominantą tomu *Zamróż* jest smutek i żałoba syna po odejściu matki. I bohater Lisowskiego najwyraźniej, najbardziej „znajomo” (jego smutek i żałobę odnosimy do własnych doświadczeń) jawi się w osobistym, z godnością przeżywanym dramacie. Mierzy się z nim, oswaja, opowiada o nim, szuka najmniejszej pociechy. Dni i chwile, które prowadziły ku kresowi życia matki, paradoksalnie przedstawił jako zabiegi wykonywane przy dziecku: „od kilku miesięcy / myję je i ubieram / rozbiieram i myję / karmię łyżeczką / odpowiadam na pytania / ciągle te same / rozwiązuję problemy / kupuję ubranka / uczę je chodzić / niekiedy denerwuję się i / chudnę // dziecko rozwija się / bardzo powoli / rośnie ku śmierci / jest jeszcze małe / ma 90 lat” (*Mam teraz nieślubne dziecko*). Po zmarłej matce pozostały rzeczy i pamiątkowe drobiazgi. Trzeba i je uszanować, zaopiekować

się nimi, od tej chwili będą matkę przypominały, będą na swój sposób nią. Bohaterowi lirycznemu *Zamrozu* przypadła rola strażnika pamięci rodzinnej: „przyniosłem z mieszkania po mamie / kryształową misę cukiernicę // scalam to co podzieliły siostry / Halina i Barbara / po odejściu mojej babci Heleny” (*Jaka to melodia*). Wymienia „brelok / z Wenecji ze srebrną karnawałową maską”. Teraz oto „prezent wrócił do mnie / w grudniu / powiesiłem go przy kluczach / noszę więc twoje / spojrzenia” (*Breloczek*). I jeszcze – może w racjonalnym geście – „po siedmiu miesiącach / odłączyłem klucz od kompletu” (*Odłączyłem klucz*).

Żaloba ma swoje stadia; póki nas nie dotknie, niewiele o niej wiemy. Zmienia się jej amplituda emocjonalna, na pewno nie jest stanem, z którego wychodzi się łatwo i bez strat. W *Breloczku* czytamy: „trudna jest moja żaloba / nie chce odejść / puste bez tlenu / Himalaje”. Poeta o niej medytuje, refleksy medytacji kładą się na utwory niemające z żalobą nic wspólnego. Ale i w tym fakcie jawi się świat niespodziewany, stale bowiem ma nam coś nowego do powiedzenia. Poezja Krzysztofa

Lisowskiego jest finalnym wyrazem namysłu, ale też, jednocześnie, narzędziem służącym temu namysłowi. A medytuje, zachowując tożsamość, mąż, ojciec, syn, wreszcie, *last but not least*, redaktor w wydawnictwie, pisarz. Medytacji – w tym wypadku poetyckiej – obcy jest pośpiech. Wprawdzie autor *Zamrozu* tego nie formułuje, ale możemy być pewni, że za słuszną uznaje zasadę, iż wszystko ma swój czas. Jest pora kiełkowania, wzrostu, plonowania i obumierania. Pora radości i smutku, pora porządkowania pamiętek po bliskich i pora wyjazdu ku innemu światłu. Czas zmęczenia obowiązkami i czas relaksu przy dobrym winie i muzyce. Trudną umiejętnością, ba, może sztuką, jest zachowanie równowagi pośród następujących po sobie zdarzeń, które dotyczą nas z konieczności lub wyboru. Lisowski tę umiejętność posiadał, czego dowody znajdujemy w jego poezji.

Piotr Szewc

Krzysztof Lisowski, *Zamróż*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Biblioteka Poezji Współczesnej, tom 125, Poznań 2016

Od czasu publikacji przez „Arkę” pierwszego wyboru wierszy Emily Dickinson w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka (*100 wierszy*, Kraków 1990) obserwujemy wzrost zainteresowania twórczością poetki wśród polskich tłumaczy i, jak dowodzą liczne strony internetowe oraz blogi dedykowane poezji, także wśród czytelników. Tłumaczenia Barańczaka poprzedziły przekłady Kazimierzy Iłakowiczówny (PIW, 1975) i mało dostępne w kraju tłumaczenia Wacława Iwaniuka zamieszczone w emigracyjnych periodykach literackich. W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku Ludmiła Marjańska zaczęła tłumaczyć Dickinson, a w latach siedemdziesiątych „Poezja” publikowała jej wiersze w tłumaczeniu Artura Międzyrzeckiego. Andrzeja Szubę jako tłumacza poezji amerykańskiej znamy przede wszystkim z przekładów poezji Walta Whitmana, a także poezji Stephena Crane’a, znacznie bliższych formą i charakterem wierszom Dickinson. Szuba zaczął publikować przekłady z Dickinson na początku bieżącego stulecia w „*Twórczości*” (2003) i w krakowskiej *Miniaturze* (2005), z którą

stale współpracuje i która wydawała także jego własne wiersze. Recenzowany wybór trzystu trzydziestu trzech wierszy zbiera dotychczasowe przekłady Dickinson dokonane przez śląskiego poetę. Tłumaczenia Barańczaka i Marjańskiej to w sumie mniej więcej czterysta wierszy z liczącej prawie tysiąc osiemset pozycji spuścizny poetki, ale szereg utworów zostało przetłumaczonych równolegle przez oboje autorów, co stwarza okazję do ciekawych porównań, jednak ogranicza liczbę oryginalnych tekstów dostępnych w polskiej wersji. Andrzej Szuba ma, jak się wydaje, program tłumaczenia przede wszystkim wierszy dotąd nieprzełożonych, poszerzając dla nas dostępność dorobku poetki uważanej, obok Whitmana, za prekursorkę współczesnej poezji amerykańskiej. Ale wśród trzystu trzydziestu trzech wierszy zebranych przez Szubę pojawiają się także pozycje już tłumaczone przez poprzedników.

Charakterystyczną cechą wierszy Dickinson jest zwięzłość tak radykalna, że nawet rodzimi użytkownicy języka muszą się nieraz natrudzić, rozwijając jej eliptyczną składnię.

Znaczeniowa otwartość i skondensowany język, cechy niezwykle w poezji drugiej połowy dziewiętnastego wieku, stanowią o wciąż współczesnym brzmieniu wierszy Dickinson. Szubie ta zwięzłość odpowiada; wybiera do tłumaczenia krótkie utwory: czterowersy albo wiersze składające się z dwóch czterowersowych zwrotek. To zgodne z charakterem jego własnych tomików, ale przede wszystkim z faktem, że znakomita część dorobku Dickinson ma taką właśnie formę. 333 wiersze w tłumaczeniu Szuby stanowią chronologiczną wędrówkę przez twórczość Emily Dickinson, od najwcześniejszych zachowanych utworów z lat 1858–1859 do tych najpóźniejszych. Podobnie jak Barańczak i Marjańska, Szuba opiera się na krytycznym wydaniu *The Poems of Emily Dickinson* Thomasa Johnsona (Harvard UP, 1955); Johnson pierwszy uporządkował spuściznę Dickinson, numerując wiersze według ustalonej przez siebie chronologii [nowa edycja Ralphi Franklina (1998) zmienia nieco chronologię i w konsekwencji numerację wierszy, a w ostatnio opublikowanej edycji *Emily Dickinson's Poems. As She Left Them* (Cristanne Miller, Harvard UP, 2016) Cristanne Miller prezentuje wiersze Dickinson w porządku, w jakim poetka je zostawiła, bez numeracji, za to z zachowaniem wszystkich wariantowych rozwiązań zapisanych przez poetkę].

Trudno jest mówić o jakiejś wyraźnej drodze rozwoju Dickinson. Zachowane utwory łączy brak zainteresowania autorki formalnym eksperymentem czy choćby różnicowaniem metrycznej formy wierszy. Dickinson bazuje na popularnym standardzie zwrotki balladowej – czterowersu rymowanego abcb, gdzie pierwsza i trzecia linijka są dłuższe (czterooktentowe), a druga i czwarta krótsze (trójakcentowe). To forma anglojęzycznej poezji popularnej – od hymnów kościelnych do dziecięcych wyliczanek, dopuszczająca wariantowość rytmu i układu rymów w zależności od funkcji. Dickinson wykorzystuje i wzmacnia elastyczność standardu, ale zawsze pozwala czytelnikowi rozpoznać podstawowy wzorzec. Słuchowa „swojskość” wierszy Dickinson w istotny sposób przyczyniła się do faktu, że jej poezja nigdy nie straciła kontaktu z tak zwanym zwykłym czytelnikiem. Tematycznie to poezja skoncentrowana wokół egzystencjalnych problemów i psychicznych reakcji samotnej jaźni, intymna w tonie i od wczesnych wierszy przesiąknięta świadomością braku i niespełnienia.

Przekłady Szuby pokazują, że między Marjańską, która zaczęła tłumaczyć Dickinson w latach sześćdziesiątych, i Barańczakiem, który tłumaczył jej wiersze po wyjeździe na Harvard w roku 1980, a czasem,

kiedy Dickinson przekładał Szuba, polszczyzna się zmieniała. Tłumaczenia Szuby odważniej operują eliptyczną składnią i kolokwialnym słownictwem, jakby dzisiejszy język dawał tłumaczowi w tym względzie większą swobodę:

Znaleźć – Rzeczą pierwszą –
Utracić – drugą –
Trzecią – Wyprawa
Po „Złote Runo”

Czwartą – nic nie Odkryć –
Potem – Załoga znika –
W końcu – Runo przepada –

A sam Jazon – to lipa.
(870)

333 wiersze w przekładach Szuby zdecydowanie przekonują, że Dickinson to poetka wciąż współczesna. Szkoda tylko, że wydawca nie opatrzył wyboru spisem treści. To mankament książki krzywdzący poetkę i tłumacza, a dla czytelnika duże utrudnienie. Spis polskich incipitów pozwoliłby bez kłopotu wrócić do tekstu, który się spodobał, a spis angielskich – ułatwiłby odnalezienie oryginałów *online*, gdzie w większości są dziś dostępne, choć często bez numeracji.

Agnieszka Salska

Emily Dickinson, 333 wiersze, przełożył Andrzej Szuba, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2016

Epifanie (The Epiphanies), czyli *Objawienia*, to zapisy młodego Jamesa Joyce’a, którymi zachwycił się największy wówczas irlandzki poeta William B. Yeats. Od nich zaczyna się pisarska droga autora *Dublińczyków*, która kończy się hen daleko, gdzieś na bezdrożach *Finnegans Wake*.

Te niepokojące linie są próbą łączenia tego, co zewnętrzne, z tym, co jest, jak mówi autor, „wewnętrzna istotą rzeczy”. Były dla niego dobrym i ważnym początkiem, skoro poszedł tym tropem (zachowało się czterdzieści takich zapisów, a było ich ponad siedemdziesiąt), czego świadectwem są znane fragmenty *Stefana bohatera* i *Portretu artysty z czasów młodości*, a przede wszystkim jego największe dzieło – *Ulisses*, który jest ich wielkim zbiorem ujętym w żelazną i kunsztowną formę.

Te realistyczne i enigmatyczne artystyczne obserwacje-objawienia, których pomysł wywiódł z pism czytanego wtedy pilnie świętego Tomasza z Akwinu, miały być krokami w duchowym rozwoju młodego artysty. Wmieszały się jednak diabelskie pokusy i wątki, które w efekcie wyprowadziły go na piękne rozległe manowce.

Pamiętam, jaką inspiracją, podobną do tej, jaką przeżyłem, czytając po raz pierwszy *Haiku*, były dla mnie te *Epifanie*, które ukazały

się w 1972 roku w Wydawnictwie Literackim w dwujęzycznej edycji *Utworów poetyckich*, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego, wstawionego już przekładem *Ulissesa*. Wracalem potem do nich nie raz. I teraz, gdy po prawie pół wieku, za sprawą edycji Biura Literackiego, w przekładzie Adama Poprawy, sięgnąłem po nie ponownie, melodyjne frazy Joyce'a wydały mi się drewniane i płaskie, pozbawione iskier i blasku, choć tłumacz, w jakimś dziwnym porywie, stwierdza (patrz: *Posłowie*), że przekład Słomczyńskiego „zaczyna się starzeć” i, „jak mniema”, „niespecjalnie się on [Słomczyński – przyp. K.M.] do pracy nad nim przyłożył”, „zrobił go szybko i dość powierzchownie” i niestety raz po raz wpada w pułapki zastawione przez młodego autora.

Pełen niepokoju sięgnąłem po przekład Macieja Słomczyńskiego i odetchnąłem, odżywając wraz z istniejącymi tam liniami Joyce'a. Porównajmy, na przykład:

„Czas już odejść – śniadanie gotowe. Odmówię jeszcze jedną modlitwę... Jestem głodny; jednak chciałbym pozostać tu w tej cichej kaplicy, gdzie msza nadeszła i minęła tak cicho... Zdrowaś, Królowo najświętsza, Matko Miłosierdzia, żywocie nasz, słodczy nasza i nadziejo! Jutro i co dnia mam nadzieję nieść ci jakiś cnotliwy uczynek w ofierze, gdyż

wiem, że uradujesz się mną, jeśli tak uczynię. A teraz, do widzenia na dziś... O, piękny blasku słoneczny w alei i, O, blasku słoneczny w moim sercu!”.

I druga wersja: „Pora już teraz pójść – śniadanie gotowe. Zmówię jeszcze jedną modlitwę... Jestem głodny, ale chciałbym tu zostać, w tej cichej kaplicy, gdzie msza zaczęła się i skończyła tak cichutko.... Bądź pozdrowiona, Królowo Święta, Matko Miłosierdzia, życie nasze, słodkości nasza i nasza nadziejo! Jutro i w każdy następny dzień pragnę przynosić Ci jakiś dobry uczynek i Tobie go ofiarowywać, bo wiem, że sprawię Ci radość, jeśli będę tak postępował. Tymczasem żegnaj na teraz... O cudowna słoneczna jasności w alei i O słoneczna jasności w moim sercu!”.

Niby to samo, ale przecież szczegóły i różnice znaczące. Zostawmy więc nowego tłumacza w dobrym samopoczuciu, wraz z jego wątpliwymi w tym kontekście „odkryciami” typu: „epifania dość białoszewska” i czytajmy Joyce'a w starych dobrych przekładach, życząc, żeby kiedyś pojawił się tłumacz od niego wybitniejszy, ku naszej wspólnej radości i pożytkowi.

A Poprawie życzę większej staranności także w redagowaniu własnych tekstów, skoro czas od 1972

do 2016 roku to dla niego, bagatela, trzydzieści pięć lat.

Krzysztof Myszkowski

James Joyce, *Epifanie*, przełożył Adam Poprawa, seria „Proza 41”, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2016

Niewiele osób znających nawet niewiele prozę i memuariystykę Sándora Máraiego wie, że bywał także poetą – na początku swojej drogi twórczej, jako młody adept pióra w rodzinnej Kassie (Koszycach) i nieczęsto później, i do niewielu czytelników zapewne dotarła wiadomość, że za sprawą edycji Wydawnictwa Pogranicze i inicjatywy tłumacza Jerzego Snopka z częścią lirycznej twórczości autora *Żaru* możemy się obecnie zaznajomić.

Warto zapoznać się ze wstępem tłumacza do tego dwujęzycznego, węgiersko-polskiego, szczupłego wyboru. Pisze Snopek, o czym wspominałem na tych łamach przy omawianiu innych utworów Węgra, o fenomenie światowej – i to głównie pośmiertnej (pisarz popełnił samobójstwo w USA w 1989 roku) – sławy tego pisarza. O rozprzestrzenianiu się wiedzy o jego ogromnym, zróżnicowanym dorobku, o fascynacji i trafnej przepowiedni Gustawa Herlinga-Grudzińskiego,

który przewidział popularność tego pisarstwa. Pewien *passus* wstępu Snopka domaga się delikatnej polemiki; pisze: „Dopiero na fali trumfów światowych zajaśniały [utwory pisarza] w naszym kraju”. Wydaje mi się, że wiedza o sukcesach zagranicznych, poczytności tych dzieł to jedno, a rzetelna praca i determinacja trojga naszych tłumaczy – Teresy Worowskiej, Feliksa Netza i Ireny Makarewicz, ich nadzwyczajna kompetencja i wierność dla tego pisarstwa to główny powód, dla którego od kilkunastu lat obcować możemy z około dwudziestoma przekładami i ich wznowieniami utworów Máraiego.

Wielki Węgier debiutował jako poeta w wieku lat osiemnastu. Wydał książeczkę wierszy, od razu zwracając na siebie uwagę jednego z najwybitniejszych poetów węgierskich Dezső Kosztolányiego. Pisywał potem wiersze rzadko, kiedy w jego życiu pojawiały się przełomowe zdarzenia, znaczące okoliczności, a więc: emigracja i bolesne odczucia uchodźcy, śmierć ojca i małego synka, rewolucja węgierska 1956 roku, przyływy nostalgii na różnych przystankach emigracyjnej tułaczki. Wtedy widocznie żadna z form ulubionych, pozostających na stałe w repertuarze pisarza, nie wystarczała, aby oddać w skrócie intensywne uczucia, traumatyczne doznania,

tęsknotę za ojczyzną i czasem przeszłym własnego życia.

W wyborze pod tytułem *Wiersze* możemy się zapoznać z dwudziestoma siedmioma tekstami i cyklami utworów poety. Szkoda, że tłumacz i wydawca nie zadbali o to, aby datować poszczególne wiersze, bo łatwiej byłoby przyporządkować czytelnikowi, przynajmniej niektóre, do etapów życia i emigracyjnej wędrówki ich autora.

Już pierwszy dłuższy tekst, nostalgiczny, pisany klasycznymi, rymowanymi dystychami, *Cassovia*, mówi ciepło i wzruszająco o rodzinnym mieście, domu, znajomych, innym czasie, widzianym z pewnego oddalenia:

[...]

Po smakach, woniach, barwach zostało
wspomnienie,
Tylko jakieś pijane, podle omamienie.

I boisz się wychylić za parapet wieży,
W której żyjesz, wiesz dobrze, że tam w dole leży

Jak w upiornym lamusie, między odpadami,
Szereg najdroższych istot, tłum pamiętek za nim;

Z daleka błyszczą trupio ich oblicza sine,
Już straszna pleśń porasta tę starą rycinę,

Pleśń lat uciekających, która wszystko toczy.
Już giną w niepamięci mych przyjaciół oczy.

Z utraconego miasta zostały pozory;
O tym mówi ten stary, naiwny drzeworyt.

A trzeba pamiętać, że większa część dorosłego pisarskiego życia uchodźcy z Kassy przebiegała za

granicą, najpierw na emigracji po węgierskiej rewolcie 1919 roku, potem po drugiej wojnie światowej, kiedy autor *Wyznań patrycjusza* nie wrócił już do zmienionej i okrojonej ojczyzny. Pisze o okolicznościach tego drugiego wygnania jedna ze wspomnianych zasłużonych tłumaczek, Teresa Worowska: „Codzienność i wszechobecność terroru, liczne przykłady kolegów pisarzy, którzy »sprzedali się« systemowi, doprowadziła Máraiego do wniosku, że wkrótce niemożliwe będzie tu nie tyle dalsze pisanie, co po prostu – milczenie. [...] W 1948 roku niemal cudem znów udało mu się dostać paszport na międzynarodowe spotkanie pisarskie, na które był zaproszony z żoną. Tym razem pozostali już na Zachodzie. Po krótkim pobycie w Genewie wyjechali do Neapolu...”.

I po raz drugi nie umiem zgodzić się z Jerzym Snopkiem, piszącym w konkluzji wstępu: „Mimo to nieczęsto wychodziły spod jego pióra utwory wybitne, choć kilka przejmujących wierszy napisał. Jego poezja jest raczej dramatem racji moralnych i rozpoznań intelektualnych [...]. Cechuje ją na ogół retoryczność, zawsze górująca nad »malarskim« obrazowaniem i tylko sporadycznie ustępująca miejsca czemuś, co zwykło się określać jako prostotę wyrazu”.

Ja jednak w tej, zgódźmy się, „niedzisiejszej” liryce widzę w wielu

miejscach niezwykle asocjacje, pe-
wien odcień ironii i humoru, i kunszt,
pomysłowość i niezwykle sensualizm
niektórych realizacji, jak choćby
przytoczonego niżej erotyku (jedne-
go z cyklu *Sonetów manhattańskich*):

Twe ciało jak tajna mapa, promyk w jaskini,
I jak toskańskie wzgórza twe piersi gołe,
Ciemnoniebieskie oczy – okna w germańskiej
świątyni,

Gotyckie awantury za twoim czołem.
Biodra falują niczym brzegi w Bretanii,
Łędźwie stają się drżącym, prącym
wodospadem,
Pulsują nieustannie jak wody Szwajcarii,
A łono się otwiera jak Neapol latem.
Twój brzuch jest jak madziarski snop pszenicy,
Obiekt pożądań i miłości,
W czerwcu dojrzewa do białości,
Pachnący, bujny, smakowity.
Tyle ziem i wód tyle przemierzyłem dotąd
I teraz cię poznaję:

Ty jesteś Europą.

Krzysztof Lisowski

Sándor Márai: *Wiersze*, wybrał, przełożył,
opracował i wstępem opatrzył Jerzy Snopek,
Wydawnictwo Pogranicze, Seria Meridian, Sej-
ny 2016

Jak może niektórzy jeszcze
pamiętają, bohater *Czarodziejskiej
góry* Tomasza Manna, Hans Castorp,
o którego duszę walczyli zwolennik
autorytarnego porządku Naphta
i rzecznik liberalizmu Settembrini,
mówił prozą. Dziś Hans Castorp
mówi wierszem i to jest swego
rodzaju drobna zmiana. Ale też
dziś Castorp, pomny doświadczeń

dwudziestego wieku, jest bardziej
zdystansowany i ironiczny niż jego
dawne wcielenie. Nie jest – po-
kazuje wielkiego *fucka* zarówno
Naphcie, jak i Settembriniemu:
w latach osiemdziesiątych, gdy
wchodził w życie, był współtwórcą
niezależnego od betonu i styropianu
„BruLionu”, potem demonstracyjnie
odmówił przyjęcia prestiżowej na-
grody, jaką jest Paszport Polityki.

Nawiązując do dzieła Manna, Sta-
niław Barańczak ogłosił w połowie
lat siedemdziesiątych głośny wów-
czas szkic *Zmieniony głos Settembri-
niego*, w którym ukazywał broniące-
go swych racji liberała w zmienionych
okolicznościach (powieść Manna
rozgrywa się w przeddzień pierwszej
wojny światowej, gdy totalitaryzmy
są jeszcze w powijakach). W dyskusji
wywołanej tym esejem ważny głos
należał do Krzysztofa Karaska, który
opowiedział się po stronie Castor-
pa jako tego „prostego człowieka”,
o którego zabiegają ideologowie.
Tyle, że przecież Castorp nie był
żadnym „prostym człowiekiem”,
lecz młodym inteligentem (któremu
zresztą interesującą powieść *Castorp*
poświęcił Paweł Huella). Podobnie
i obecnie – głos Castorpa odmawia-
jącego udziału w starciu ideologii jest
głosem inteligenta, który, podobnie
jak niegdyś Tadeusz Różewicz, nie
ma zamiaru opowiadać się po jednej
ze stron: on jest po stronie własnej,

broni suwerenności własnego, niepowtarzalnego życia, własnej wolności. Ma, rzecz jasna, poczucie jej zagrożenia.

Takim współczesnym Castorpem zdaje się być bohater najnowszego tomu Marcina Świetlickiego, zalecającego się doskonale dopasowanym do czasu publikacji tytułem – *Drobna zmiana* to wszak lingwistyczny żart, nawiązujący do hasła „dobrej zmiany”, lansowanego jako sztyld programu politycznego rządzącej ekipy. Te małe narracje budują w całej książce większą opowieść, świetnie zresztą spuentowaną (ale puenty w recenzji zdradzać się nie powinno), podawaną fragmentami: to opowieść o samotności człowieka osobnego, dość czujnie obserwującego otaczającą go rzeczywistość, nieskorego do wspólnotowych działań. Ale jednocześnie te zapisy sygnowane są jako utwory poetyckie: „I to nie jest dzienniczek, pamiętniczek czy inne gówno. To są wiersze” (*Jedenastego lutego*). Tak zapisane stanowią drobną zmianę w stosunku do dotychczasowych zapisów autora, który dzielił swe utwory na wersy, o czym mowa w *Och*: „Och, jakże by to wszystko. Pięknie wyglądało. Rozpisane na wersy”. Są jednak, oczywiście, powody, dla których „to wszystko” na wersy rozpisane nie zostało.

Trudno te wiersze cytować, są tak spójne, iż wyjmowanie

fragmentów – takich choćby, jak ten, z utworu *Już*: „Pani/Pan wybaczy, ale nie uczestniczę w niczych projektach” – jest ich okaleczaniem, swego rodzaju manipulacją, jakiej się na nich dokonuje, ich instrumentalizacją. A tego pragnąłbym tu uniknąć. Z drugiej jednak strony omawianie tego zbioru bez możliwości ilustrowania interpretacji odpowiednimi fragmentami wydaje się bezprzedmiotowe, jest mówieniem obok. Konieczny jest zatem jakiś sensowny kompromis, poprzedzony wszakże zastrzeżeniem, że przytaczane cytaty są zarazem odesłaniem do cytowanego tekstu, którego aforystyczna kompozycja zostaje utraczona w tłumaczeniu całości.

Bo jest to całość niepodzielna, tyle, że jej poetycka struktura, w odróżnieniu od zapisów prozatorskich, w swej fragmentarycznej nieciągłości zachowuje – paradoksalnie – niepochwytną, choć zarazem dojmującą wyrazistą spójność. Świetlicki w tym zbiorze wyciąga ostateczne konsekwencje z logiki wypowiedzi. Choćby to – w pierwszym zdaniu otwierającego całość wiersza *Dwa słowa* czytamy: „Na początku były dwa słowa”. I rzeczywiście – tytuł pierwszego utworu to dwa słowa, lecz przecież na tym nie koniec, gdyż po chwili orientujemy się, że początek przytoczonego zdania składa się z dwóch słów. To mocne wejście.

Ale: „Po jakimś czasie pojawiło się jedno słowo”, a tym samym świat pozornie prosty zaczął się komplikować, tym bardziej że znaczenie tego słowa pozostaje niedookreślone, zagadkowe, tajemne – pamiętać należy bowiem, że „to są wiersze”. Te wiersze opisują świat, w którym porusza się bohater: ulice i knajpy Krakowa, scenki z trasy koncertowej (*Ostatni numer*), spacer z psem (suka to ważna postać towarzysząca bohaterowi). Te peregrynacje pozwalają na kreowanie świata własnego, może nie bezpiecznego, lecz znanego i oswojonego, w którego przestrzeń wpadają słowa z zewnątrz (*Minister kultury i dziedzictwa ma refleksję*). Pojawiają się obcy: „Którzy zapewniają, że ich kłamstwa to jedyna prawda” (*Oczy*). Ważne jest to nazwanie kłamstwa kłamstwem. Przy czym – to ważne – są to kłamstwa różne, nikt nie jest tu wskazany palcem. Przeciwstawia się im własny język, w którym pojawiają się niepodległe, niedające się manipulować słowa, takie jak odczasownikowy „przeczuwaj”, czyli ktoś zajęty przeczuwaniem, czy „pozor”, zajmujący się pozorowaniem swego istnienia (światłe tu zakończenie: „Mam pamięć”, być może nawiązujące do „poeta pamięta” Miłosza), „złonecznik” czy „niemanie”: „Ja w tej niemocie, niemani, mniemam, że jestem” – to zdanie stanowiące puentę wiersza *Niemanie* może być

wdzięcznym obiektem polonistycznej rozbiórki: od rozegrania dwuznaczności słowa „mniemam” (myśle, mnie mam) z Kartezjańskim „*cogito ergo sum*” na czele, po filozoficzne roztrząsania dotyczące kwestii „mieć czy być”, postawionej w tak zatytułowanym eseju przez Ericha Fromma, ale przecież też podnoszonej przez zespół Myslovitz (o tyle tu ważne odniesienie, że jest Świetlicki przecież także bardem zespołu Świetliki).

Świetlicki przekonująco – przede wszystkim poetycko, z niezwykłą, choć dyskretnie demonstrowaną finezją językową – broni suwerenności, niczyjności swego bohatera, jego nieprzysiadalności. To wiersze stanowiące manifestację niezgody na świat taki, jaki pojawia się w narracjach polityków i ideologów, niezależnie od ich proveniencji, a zarazem będące demaskacją tworzonych w nich mistyfikacji. W moim przekonaniu jest to jeden z najlepszych tomów poetyckich ostatniego ćwierćwiecza, bezlitosny w warstwie diagnostycznej, zarazem prezentujący wyśrubowany poziom artystyczny, dyskretną intertekstualność, znakomitą dyscyplinę kreacyjną oraz dojrzałość intelektualną, sprawiającą, że pisanie wierszy staje się czymś więcej niż „tylko poezją”.

Tomasz Mann rozstaje się z Castorem w momencie, gdy opuszcza on czarodziejską górę, z której wyżyn

przyglądał się przez pryzmat ideologii Naphty i Settembriniego życia społecznemu, nie wiedząc, jakie będą jego dalsze losy i wybory. Bohater *Drobnej zmiany*, dobrze wiedzący, na jakim świecie żyje, przekracza w końcu *limes*, jaka dzieli świat poetycki od realiów naszej codzienności. Co będzie, tego nie wiemy. Nie wiemy nawet, czy jest to granica wytrzymałości, zaś jeśli tak, to co to może oznaczać. Jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości: zmiana, jeśli do niej dojdzie, drobna już z pewnością nie będzie.

Leszek Szaruga

Marcin Świetlicki, *Drobna zmiana*, Wydawnictwo a5, Kraków 2016

Cztery „komedie salonowe” Thomasa Stearnsa Eliota, stworzone na kanwie antycznych tragedii i stanowiące realizację jego koncepcji nowoczesnego dramatu poetyckiego, są chyba najbardziej znane spośród wszystkich jego utworów.

Zjazd rodzinny, napisany niedługo po *Morderstwie w katedrze*, najbardziej autobiograficzna ze sztuk Eliota, przeznaczona była już dla szerszej publiczności. Mamy w niej realizm, satyrę i kryminalny wątek, ale także sferę egzystencjalno-metafizyczną, motywy winy i odkupienia, z chrześcijańskim przesłaniem. Harry nie chce udawać,

że jest kimś innym, ani tego przemilczać i żyć pozorami. Mówi o „raku, który pożera jaźń” i że jest to znacznie głębsze niż sumienie: „Nie wiesz, czym jest nadzieja, póki jej nie stracisz. / Wiesz tylko, co to jest nie mieć nadziei”. Mówi o widzeniu, o śpiewie i świetle, o przebudzeniu, o samotnej ruinie swojego życia, o brudzie, który nie chce zejść, bo jest głębiej ukryty, o upokorzeniu oddzielenia od siebie, o ranie, jaką odniósł w walce widm, o tym, że istnieje tylko jedna podróż i jeden jej cel, że jego sprawą nie jest ucieczka, ale pościg, nie krycie się przed odnalezieniem, lecz szukanie, podążanie za promiennymi aniołami.

Wzorcem dla *Cocktail party*, historii małżeńskich i pozamałżeńskich związków i perypetii, jest *Alkestis* Eurypidesa. Ważne jest w nim napięcie „między pocieszeniem a odrzuceniem, ulgą i utratą”. I strach przed miłością, która niesie zniszczenie i jest co najwyżej staraniem zrobienia dobrego użytku z beznadziejnej sprawy. Sprawą nie jest oczyszczenie sumienia, ale uczenie się, jak ciężar sumienia znosić i usilna praca nad swoim zbawieniem. Złudzenia, pozory, wyobrażenia i wymyślenia prowadzą tylko do katastrofy. Reilly tak mówi do Julii o Peterze: „On nie doszedł jeszcze tam, gdzie słowa się liczą”. Trzeba dojść tam, gdzie naprawdę liczą się słowa.

Zaufany sekretarz, dotyczący tożsamości związanych ze sobą rodzinie

osób, odnosi się do *Ijona* Eurypidesa, a głównym motywem jest dążenie do świętości oparte na pokornym poddaniu się woli Opatrzności. „Chcę świata, w którym forma jest rzeczywistością, / Której, co materialne tylko, pozostaje cieniem” – mówi sir Claude, wielki finansista, który nie chce już żyć w nieprawdziwym świecie, w którym tak wspaniale sobie radził.

Mąż stanu, rzecz o starym człowieku, który przemieniając się, dociera do prawdy o swoim życiu, jest paralełą do *Edypa w Kolonos* Sofoklesa. I tu w tle są obecne sprawy z osobistego życia T.S. Eliota. Gomez, protagonista lorda Clavertona, mówi do niego: „Ty nie trwasz w izolacji – tylko w odosobnieniu. / A wtedy tylko, gdy zaczynasz czuć, że *straciłeś siebie*, / Jesteś zupełnie sam”. Mowa jest o pustce, o wydrążeniu, o miłości i o punktach zwrotnych, a także o niszczącym brnięciu w błędy. Spokój przychodzi ze skruchy, a żal za grzechy wynika z poznania prawdy. Lord Claverton przemienia się, odrzuca swoje ja, które udawało, że jest kimś i staje się nikim. Przemiany też doświadczają inni – jego córka Monika i jej mąż, którzy widzą, że stał się zupełnie innym człowiekiem, jakby przeszedł przez „niewidzialne drzwi”. „Stając się nikim, stał się teraz sobą” – mówi Monika.

Teksty dramatów uzupełniają: posłowie Magdaleny Heydel pod tytułem

Chcecie udawać, że jestem kimś innym? oraz glosa tłumacza – *Muzyka u Eliota*.

Krzysztof Myszkowski

Thomas Stearns Eliot, *Cztery dramaty*, przełożył Wiesław Juszczak, redakcja przekładu i posłowie Magdalena Heydel, „Biblioteka Mnemosyne” pod redakcją Piotra Kłoczowskiego, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2016

Opublikowane właśnie przez Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria teksty Wystana Hugh'a Audena z lat czterdziestych ubiegłego stulecia, zebrane w dwóch książkach pod czujnym okiem Agnieszki Pokojskiej, mają kapitalne znaczenie dla naszego rozumienia modernistycznej idei literackiej ciągłości jako procesu niekończących się rewizji i rekonstrukcji. Pokazują też, w jaki sposób dwudziestowieczny poeta piszący w języku angielskim interpretuje dzieło Szekspira. W niewielkim, przyjemnie ważącym w dłoni zbiorze *Szekspirowskie miasto* odnajdziemy kilka meandrycznych i nieco czu-purnych esejów o teatrze Szekspira, tudzież trzy niewielkie, niezwiązane z dziełem Stratfordczyka interludia, dokładnie tak, jak zaproponował autor w swoim najważniejszym tomie krytycznym *The Dyer's Hand* (*Ręka farbiarza*); z kolei wydana nieomal równolegle dwujęzyczna książka *Tym czasem/For the Time*

Being zawiera dwa obszernie poematy przełożone przez Stanisława Barańczaka: *Morze i zwierciadło* i *Tymczasom* (na uwagę zasługuje kompetentne opracowanie krytyczne i duża liczba cennych wskazówek interpretacyjnych, między innymi nader pomocne szkice Arthura Kirscha i Alana Jacobsa, wybitnych znawców pisarstwa Audena). Oba tomy to pyszna i niełatwa lektura.

Szekspirowskie medytacje Audena z tomu *Szekspirowskie miasto* to teksty intrygujące, kapryśne, rzadko kiedy przewidywalne. Poetę niespecjalnie zajmowała krytyczna analiza tekstu literackiego, zaś psychologiczny opis motywów i działań postaci przybiera najczęściej formę dość schematycznych uogólnień, nie wychodząc, przynajmniej zdaniem niżej podpisanego, poza uproszczoną charakterystykę typów osobowościowych. Odmalowane przez poetę portrety szekspirowskich bohaterów, w dużej mierze zaskakujące i nieoczywiste, mają formę raczej szybkich, pobieżnych szkiców niż głębokich studiów. Auden zdaje się traktować Szekspira jak kolegę po piórze – raczej zagląda mu przez ramię, niż próbuje zgłębić sens i ducha poszczególnych sztuk. Żeby było jasne: nie mamy nic przeciwko takiemu podejściu. Rozpoczynając lekturę, trzeba po prostu pamiętać, że o elżbietzańskim dramaturgu mówi

się tutaj bez historycznoliterackiej czy nawet hermeneutycznej intencji. Nie jest to krytyczne wprowadzenie do dzieła Szekspira w sensie ścisłym. Otrzymujemy raczej garść subiektywnych, niezobowiązująco sformułowanych refleksji o wyrażnie, zwłaszcza w utworach poetyckich, autobiograficznym posmaku.

Powiedzmy też od razu, że jest to krytyka w zauważalny sposób manieryczna. Autor porzuca logikę wyvodu na rzecz błyskotliwych, samowystarczalnych zdań o intensywnym, ale dziwnie nieokreślonym wydźwięku. Trafiamy na język abstrakcyjny i nieco mgławicowy, a zarazem deklaracyjny i ciężący ku poetyce aforyzmu. Audenowskie eseje pełne są paradoksów, wyrastających nie tyle z egzystencjalnego poczucia paradoksalności istnienia (choć ten Kierkegaardowski motyw miał dla poety kluczowe znaczenie), co z miłości do pięknych form i eleganckich sformułowań. W najlepszych momentach jest to sentencjonalność wynalazcza, dająca do myślenia, pobudzająca wrażliwość i wyobraźnię uważnego czytelnika. Jednak nawet te fragmenty pokazują, że bliższym aforyzmowi żywiołem jest mowa poetycka. To, co uchodzi w wierszu jako przekonujący chwyt retoryczny, w eseju może się jawić, i często się jawi, jako pustosłowie. Nie do końca przekonują interpretacje oparte

na oderwanych sentencjach, tym bardziej że często ma się wrażenie, iż sztuki Szekspira służyły Audenowi do rzucania luźnych uwag, sformułowanych w duchu ni to pouczenia, ni to budującej przypowieści, ocierających się przy tym o dwuznaczną ironię bądź autoironię (kolejny efekt Kierkegaardowski). „W prawdziwym życiu rozróżniamy dwa rodzaje wyboru: strategiczny i osobisty”; „W tym świecie szczęście jest oznaką moralnego dobra, a nieszczęście – moralnego zła”; „Každy kawał, czy to nieszkodliwy, czy z intencją dopieczenia komuś do żywego, ma w sobie element oszustwa, ale nie każde oszustwo jest kawałem”. Tę aforystyczną litanię można by ciągnąć. Inaczej w tekstach poetyckich. Co prawda i je nawiedza widmo gołosłownej abstrakcji, ale, po pierwsze, angielski poeta potrafi umiejętnie wykorzystywać tryb deklaracyjny, nierzadko czyniąc zeń świadomie ironiczny środek wypowiedzi (na przykład w *Morzu i zwierciadle* mamy wyborną parodię zmanierowanego późnego stylu Henry’ego Jamesa), po drugie zaś – są to wiersze pod względem formalnym tak olśniewające, że nawet w przypadku najbardziej sentencjonalnych partii odczuwamy satysfakcję płynącą ze spotkania z pięknym przedmiotem.

Bez wątpienia fascynacja Szekspirem wiązała się u Audena

ze skłonnością do dramatyzowania własnej osoby, ukazywania jej w różnych przebraniach i wyrażania jej przy pomocy środków kojarzących się z manierą i emfazą. Wyraźnie słyhać to w tekstach poetyckich. Najlepiej w *Morzu i zwierciadle*, fantazji składającej się z monologów wybranych postaci z Szekspirowskiej *Burzy*, tworzących nader skomplikowany, a przy tym typowo modernistyczny labirynt głośów; ale także w oratoryjnym tekście *Tym czasem* (prawdę mówiąc, lepszy wydaje mi się zaproponowany onegdaj przez Leszka Elektorowicza tytuł *Tymczasem*), który na pozór nie ma z Szekspirem nic wspólnego, w istocie jednak odkrywa przed nami świat, w którym chrześcijańskie motywy cierpienia i przebaczenia przepojone są duchem teatralnej baśni. Choć w poematach pojawia się wiele postaci i głośów, to jest też poczucie, że na scenie widzimy jednego aktora odgrywającego kolejne wersje samego siebie. Auden mówi w nich od siebie, poprzez siebie, a czasami najwyraźniej do siebie. Religijny ferwor ustępuje nie raz miejsca psychoanalitycznej przenikliwości (jako analityk własnych fantazji i słabości Auden był nader błyskotliwy), a konwencja dialogu łatwo przechodzi w formę paralelnych monologów. Efekty są frapujące, choć można zastanawiać się, czy zbieżne z intencjami autora.

Nie przeoczmy tych książek. Zwłaszcza że Auden nie jest jakoś mocno w Polsce obecny (na spolszczenie wciąż czeka jego wczesna, prawdopodobnie najwybitniejsza twórczość). Nie wiem, czy jest on najwybitniejszym obok Thomasa Stearnsa Eliota poetą anglojęzycznym – tak stoi w notce zamieszczonej na tylnej okładce *Szekspirowskiego miasta* – jest jednak twórcą na tyle znaczącym, że każda kolejna publikacja, zwłaszcza jeśli jest tak pieczołowicie przygotowana jak omawiane tu przeze mnie tomy, zasługuje na uwagę.

Jacek Gutorow

Wystan Hugh Auden, *Szekspirowskie miasto*. *Eseje*, przekład Agnieszka Pokojńska, Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria, Gdańsk 2016

Wystan Hugh Auden, *Tym czasem/For the Time Being* (dwujęzyczne wydanie krytyczne), przekład Stanisław Barańczak, opracowanie Agnieszka Pokojńska, Fundacja Terytoria Książki, Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria, Gdańsk 2016

Wiek męski to dla polskiego ucha od czasów Mickiewicza – „wiek kłęski”. Jan Błoński, który rzecz Michela Leirisa wraz z żoną przełożył z francuskiego, nazywa autora (w wystarczającym już jako zachęta do lektury posłowiu) wieloznacznie i przewrotnie „intelektualistą nieokrzesanym” z Paryża – w odróżnieniu

od intelektualnie „nadętych *mandarynów*” francuskiej eseistyki. Nie mam pojęcia, kogo Błoński miał tutaj konkretnie na myśli (domyślam się, ale niech czytelnik dokona wyboru na własną odpowiedzialność) – nie jest to jednak najważniejsze. Leiris dzięki Błońskiemu zostanie postawiony po tej stronie barykady, którą historia myśli zarezerwowała dla myślących głośno i bezczelnie i po swojemu filozofujących renegatów czy anarchistów o nadmiernej ambicji ukierunkowanej na przekraczanie wszelkich granic (przyzwoitości i nieprzyzwoitości) z pragnienia indywidualnego – dania świadectwa o prawdzie własnego istnienia. I taki też Leiris jest, wzniosły, bezradny, próżny, zachwycający, dryfujący w stronę śmieszności i aforystycznego uwznioślenia, piszący w żenujący sposób bez żenady, jak w tej dowolnie wybranej próbkę stylu: „pożądał *zadu zimnego i twardego jak rzymska budowla*. Pociąga mnie solenność antyku, a także skojarzenie z łaźniarką, które wywołuje”, ale i też jest Leiris przy tym, co już się rzekło, twardo stąpającym po ziemi sceptykiem, uczulającym (poetów i siebie) dzięki poczynionym doświadczeniom, że „siła i szczerość poety, jego wewnętrzne cierpienie nie ma żadnej wagi w porównaniu z okropnościami wojny, przypomina ból zęba, na który nie wypada

narzekać i stękać”, o czym rzadko myślimy, czytając wiersze. Teraz: między tym jednym i drugim tendencyjnie wybranym przytoczeniem z *Wiekę męskiego* Leirisa znajduje się – nie przychodzi mi inne słowo – szczelina. W tej szczelinie, zgrzycie, w iskrzących się treścią napięciach między sprzecznymi tonacjami mieści się cały Leiris, który frapuje, zastanawia, daje się pośmiać (też: z siebie), który (niekiedy) odpycha i (przeważnie) przyciąga, ale któremu można kibicować jak samemu sobie całe życie – przez cały czas lektury.

Wiek męski to przede wszystkim kopalnia najróżniejszych tematów, nie tylko pamiętnik spisywany przez mężczyznę, który przeżył „połowę życia” i nieodwołalnie wkroczył w „okrutny porządek męskości”, którego nie da się odwrócić, choć można go zrekapitulować, kiedy się „lubi myśleć z piórem w ręku”. Ta rekapitulacja jest siłą tej książki, gdyż dzięki jej podjęciu autorowi udaje się wypowiedzieć myśli niebanalne czy inspirujące i godne pozazdroszczenia, chociaż ceną, jaką zapłacić musi czytelnik, by do nich dotrzeć i z nimi na własny użytek obcować, jest kontakt z bolesną, zaskakującą i zbędną z punktu widzenia dobrego smaku szczerością literata, jak choćby w miejscu, gdzie będzie nam wyznawał – zanim przyzna, iż jego „polem działalności jest literatura,

określenie dziś mocno ośmieszające” – że „kiedy jest sam, drapie się w okolicę odbytu” czy że miał on („skądinąd”) – „wrodzoną skłonność do stulejki”. I problem nie w tym, że to mówi, lecz że nie znajdujemy w tych nader intymnych cielesnych przybliżeniach nawet cienia autoironii, która ten ekshibicjonizm zabarwiony upartym narcyzmem mogłaby podnieść na poziom wyższy. Jeśli tego *stylu*, potrzebnego autorowi z wielu powodów i względów, głównie jednak osobowościowych, nie przyjmiemy, nie zapewni nam Leiris w odwecie nawet namiastki „rozkoszy lektury”. Ta książka jest bowiem (niech będzie) jak jedna z jej kobiecych bohaterek – Judyta z Pięcioksięgu, „wdowa natchniona przez Boga”, która jednak nie tańczy przed nami, żeby nas zdekapitować, lecz by nam pokazać, jak skomplikowane, niejednoznaczne, nieuchwytnie oraz niejasne jest słowo zapisywane przez nasze ciała na papierze, który nas przeżyje.

Dla mnie najciekawsze fragmenty *Wiekę męskiego* dotyczą tauromachii. „O akcie miłosnym – pisze Leiris – albo raczej o posłaniu, które jest jego sceną, powiedziałbym chętnie, że stanowi *miejsce prawdy*, który to termin oznacza w tauromachii arenę, a więc miejsce walki. Tak jak matador – czyli *zabójca* – składa dowód, co jest wart, znalazłszy się z bykiem sam

na sam (na pozycji, którą tauromachiczny żargon trafnie określa jako *zamkniętą*), tak w miłosnej zażyłości, zamknięty sam na sam z partnerką, którą winien poskromić, mężczyzna odkrywa twarzą w twarz rzeczywistość". Spięcie pomiędzy tauromachią a literaturą, do którego doprowadza Leiris i które świetnie wygrywa, wystarcza w pełni jako rekomendacja do sięgnięcia po tę meandryczną lekturę; jest ono również odbiciem wciąż żywego, archaicznego i pierwotnego sposobu myślenia, na który polityczna poprawność stara się spuścić zasłonę milczenia, co też jest zaletą tej pozycji. Dobrze się więc stało, że ten przekład Teresy i Jana Błońskich ujrzał wreszcie po wielu latach światło dzienne. Niewielu bowiem ostatnimi czasy w literaturze mamy takich śmiałków, którzy, zabierając się „za czernienie papieru”, przykładnie starają się udowodnić, jak Leiris, że „zeszli do piekieł i zdołali z piekieł (lepiej czy gorzej) powrócić” – i to: bez mrugnięcia okiem. Nawet jeśli nie wychylili się z ram lustra, powieszzonego w domowej bibliotece.

Artur Szlosarek

Michel Leiris, *Wiek męski*, przełożyli Teresa i Jan Błońscy, postłowie Jan Błoński, Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria, Gdańsk 2016

Jak opisać Zygmunta Haupta?
Jak uchwycić istotę jego twórczości?
I jak przy tym uciec od – wielokrotnie powtarzanych – określeń (nad) używanych przez wypowiadających się wcześniej krytyków, zwracających uwagę na malarskość widzenia, drobiazgowość opisu, piękno stylu, gęstą tkankę tekstu? Zadanie to wręcz niemożliwe, dodatkowo utrudnione oszołomieniem, jakie pozostawia po sobie lektura ponad siedmiuset stronicy nowego wydania *Baskijskiego diabła*.

Haupt przytłacza. Wręcz męczy. To zmęczenie wynika z pewnego rodzaju „nadmiaru” tej prozy. Rozwijająca się niespiesznie, celowo i świadomie spowalniana narracja narzuca się z kolejnymi obrazami, z którymi przyzwyczajona do szybkich przeskoków, myślowego i obrazowego skrótu wyobraźnia czytelnika dwudziestego pierwszego wieku radzi sobie z trudem. Owa „nadmiarowość” tej prozy wynika ze specyficznego, iście Hauptowskiego sposobu oglądu rzeczywistości. Haupt – jak sam deklaruje – kontempluje. Ale w przeciwieństwie do innych nie skupia się na przedmiotach, roślinach czy zjawiskach przyrodniczych. On „okazyjnie kontempluje przeszłość”. Innymi słowy nie interesuje go wywołwana z pamięci rzecz jako taka. Dużo bardziej jest zainteresowany

umiejscowieniem jej w konkretnym, sprowadzonym do momentu czasie, osadzeniem jej w przestrzeni, ukazaniem relacji, w jakie wchodzi ona z innymi elementami (ożywionymi i martwymi) wypełniającymi pole widzenia patrzącego. Często pisze się – o czym już wspomniano – o pieczołowitości, drobiazgowości, szczegółowości, z jaką autor *Szpicy* odtwarza przechowane w pamięci obrazy. Nie mogę się jedna oprzeć wrażeniu, że wektor twórczego aktu jest odwrócony, że to owa zapamiętana i odtwarzana rzeczywistość wymusza na Hauptcie podjęcie trudu opisanego wszystkiego. Tak jakby nie mógł on powstrzymać wymykającemu się jego woli i decyzji natłoku obrazów („pełzające po mym mózgu [...] idą, szeregują się, zaostają w ostrza jak ostrza bagnetów, falują jak ostrza bagnetów niesionych przez piechotę...”). Ma się wrażenie, że one dosłownie wybuchają w jego pamięci, układają się w kaskady kolejnych przeblasków, luźno splecione wiązki skojarzeń zaczepionych o siebie drobnymi haczykami fragmentów przeszłości, którymi nie rządzi logika tekstu czy artystycznego zamiaru, a jedynie chaotyczna przypadkowość następstwa czasowego, przestrzennego lub zwykła asocjacja. Choć – jak sam deklaruje – „najszkwapliwiej i najzachłanniej zbieram ułamki z tamtych czasów

i składam je na nowo”, co oczywiście można uznać za wiarygodną deklarację dotyczącą procesu pisania, to jednak zestawiając ją z pytaniami o impuls i twórczą podniętę, nie sposób – moim zdaniem – przyjąć jej jako pełnego wytłumaczenia.

Wątpliwość ta pogłębia się, gdy zwróci się uwagę na kilka dodatkowych cech tej twórczości. Krytycy często zestawiają Haupta z takimi pisarzami, jak Marcel Proust czy Bruno Schulz. To porównania w dużej mierze zasadne, lecz niewystarczające. Podczas lektury *Baskijskiego diabła* nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że szukając punktów odniesienia pozwalających uchwycić specyfikę pisarstwa Haupta, można by równie dobrze sięgnąć (świadomie pomijając w tym momencie chronologię powstawania poszczególnych tekstów) na przykład po *Pustynię Tatarów* Dina Buzzatię i *Wymazywanie* Thomasa Bernharda. Z tym pierwszym łączy Haupta swoisty bezruch, brak wyraźnej zarysowanej akcji, odsunięcie jej na plan dalszy, nieomal zatrzymanie wydarzeń w czasie, wyraźne spowolnienie, przesypywanie się piasku w klepsydrze. „Nienaruszony przez pośpiech” świat opowiadań Haupta (określenie Józefa Czapskiego) poznajemy w trybie podobnym do oglądania starych zdjęć wklejonych do albumu – przenosząc wzrok

z obrazu na obraz. Z drugim łączy natomiast Haupta bolesny stosunek do przeszłości, specyficzna (choć nie tak dogłębna jak u Bernharda), momentami dość nieprzyjemna zarówno dla autora, jak i dla czytelnika wiwisekcja własnego doświadczenia, przeszłości przechowywanej w pamięci. Jak deklaruje autor *Szpicy*, „najprostszym elementem kompozycyjnym, materiałem, jaki narzuca się z przeszłości, jest wspomnienie chwil i zdarzeń przyjemnych, głaszczących po duszy, a nie – wspomnienie bólu i przykrości, i poniżenia”. A jednak to, co nam, czytelnikom, daje, nie składa się wyłącznie z tych jasnych i miłych elementów. Haupt, co widać zwłaszcza w najwcześniejszych tekstach, przedstawia się jako człowiek (dla uproszczenia uznajmy – niezgodnie z prawidłami rzemiosła – że pierwszoosobowy bohater tekstów Haupta pozwala nam orzekać wprost o nim samym), który niezwykle często odczuwa wstręt i doświadcza znudzenia przechodzącego momentami w prostrację. Choć doznania te nie są tożsame, to jednak w świecie Haupta wydają się nieomal współwystępować, jedno pociąga drugie, jedno z drugim się łączy.

Lektura tekstów Haupta dowodzi, że jego duch twórczy od wczesnej młodości domagał się obcowania z tym, co piękne i wzniosłe, odrzucając to, co popularne,

powszechne, rażące w swej toporności i pospolitości. Każde odstępstwo od piękna, nadmierny kontrast, brak współbrzmienia barw, dźwięków czy zachowań, prostactwo, małomiasteczkowe wzorce i maniery, przewidywalność i powtarzalność, reakcje tłumu, pryncypialność wiary, powielane frazesy i sądy, wzbudzały w nim negatywne reakcje i odczucia. Odrzucał to wszystko, starając się zapomnieć jak najszybciej, i poszukiwał nowych bodźców i wrażeń, które zbliżałyby się do piękna. Już jako dziecko odczuwał „monotonię małomiasteczkowej nudy”, którą przewyciężały jedynie wydarzenia odmienne od oczekiwanych, zakłócające przewidywalny rytm i kolej rzeczy. Bez tego, bez nowych bodźców, lektur, doświadczeń (choćby odbywanych w milczeniu lekcji bilardu w tytułowym opowiadaniu) popadał w stan znudzenia, w którym mógł odczuwać jedynie wstręt.

A jednocześnie – co za paradoks! – mało w tych utworach rzeczywistego, pełnego, wyrażanego wprost zachwyty. Haupt obficie obdarowujący nas słowami, jest niezwykle skąpy w pozytywnych emocjach i uczuciach. I nie dotyczy to tylko kategorii piękna, lecz szerokiej gamy uczuć w ogóle. Wyczuwa się w tym zakresie w jego twórczości pewien rodzaj wstydu czy może raczej ograniczenia. Trudno

jednoznacznie wskazać przyczynę tego stanu rzeczy. Czy był to rodzaj świadomego wyboru autorskiego, czy może raczej trzeba założyć, że mamy tu do czynienia z jakąś niezdolnością odczuwania głębszych uczuć? Bohater wydaje się wskazywać na dom rodzinny jako źródło problemu. Powiada w pewnej chwili: „U nas nie było w zwyczaju czuwanie się. Nie mówiliśmy w domu pieszczotliwych słów, nie uznawaliśmy pocałunków”, a w innym miejscu, gdy ojciec strudzony podróżą kładzie mu głowę na kolanach, dodaje: „Było mi trochę wstrętne od tego i niezwykle – nigdy nie było między nami rozczulających gestów i zbliżeń”. I choć Haupt nie jest tu osamotniony (podobny problem można dostrzec w twórczości i postawie na przykład Jerzego Pietrkiewicza), to jednak wyraźnie zarysowany dystans, jaki bohater jego opowiadań zachowuje wobec innych osób (także tych, z którymi łączy go relacje intymne), nieprzekraczalna linia nakreślona w jego psychice, która nie pozwala mu wejść w głębokie, pełne, dojrzałe relacje, zaskakują, niepokoją, prowokują do stawiania pytań. Śmierć – celowo użyte cudzysłowy – „ulubionego” psa czy rozstanie się z „ukochaną” kobietą kwitowane są jednym zdaniem, pozwalającym odnotować ich zaistnienie w ciągu zdarzeń. I jeśli nawet po kilku latach

bohater wraca do nich myślą, to czyni to powodowany bardziej chęcią sprawdzenia swoich reakcji i przyjrzenia się własnemu wnętrzu niż odczuciem jakiegokolwiek emocji (żał? tęsknota?).

Ta emocjonalna oszczędność, trzymanie dystansu sprawiają, że relacje bohatera z innymi nabierają znamion teatralnego gestu, odgrzywania roli, która jest oczekiwana i społecznie akceptowalna, a na którą wewnątrz on sam się nie godzi. Sztuczność i rodzaj zakłamania, połączone z odczuwanym często wstrętem i/lub znudzeniem sprawiają, że czytelnik dystansuje się wobec bohatera, nie czuje potrzeby i nie ma ochoty utożsamiać się z nim. Momentami nawet – gdy ojciec zabija psa dwoma strzałami z pistoletu za to, że ten biegał po ogrodzie, co mogło się skończyć połamaniem krzaków pomidorów – jego reakcje i niepojęta oschłość (bohater zdarzenie kwituje krótkim: „ktoś może być drażliwy na punkcie psa, inny – na punkcie pomidorów”) wydają się wręcz nieludzkie.

A jednocześnie z drugiej strony, gdy stara się tę postać dostrzec w całej jej złożoności, okazuje się, że gdzieś w głębi okazuje się ona arcy-ludzka. Być może najważniejszym impulsem popychającym bohatera Haupta do podejmowania jakiegokolwiek aktywności (pomijam oddziaływanie czynników zewnętrznych),

a samego Haupta do tworzenia, do skrętnego notowania i opisywania okrucich przeszłości jest... strach. Głęboko ludzki, wspólny nam wszystkim strach przed zatraceniem, przed unicestwieniem. Bohater *Rigor mortis* z jednej strony rozważa na zimno i racjonalnie, czy nie pokochać dziewczyny, która zdaje mu się wulgarna i pospolita, z drugiej natomiast panicznie boi się, że „zupełnie nieznaczące i mechaniczne zmiany mogą ją w każdej chwili przeobrazić w kupę rozkładającego się białka i związków azotowych”. Myśl o tym, że i jego czeka taki los, wstrząsa nim „jak zanurzenie się w zimnej wodzie”. Strach, którego doświadcza bohater-Haupt (powtórzmy ten niezręczny znak równości), nie popycha go w kierunku poszukiwań duchowych, wiara w Boga jest dla niego czymś obcym (scena wymuszonej szantażem emocjonalnym spowiedzi), tym samym obietnica zbawienia nadchodzącego z tej strony jest dla niego niedostępna. Zamiast tego formą ocalenia jest utrwalanie obrazów przeszłości, pamięć przenosząca nas w czasie, pozwalająca udowodnić, że byliśmy i nasze bycie było prawdziwe. I choć owa pamięć okazuje się ulotna i zawodna, a probierz prawda-fałsz nie daje się użyć w odniesieniu do jej wytworów w sposób miarodajny, to zapisanie przechowywanych w niej obrazów wydaje się

jedynym działaniem pozwalającym żywić nadzieję na to, że przetrwamy w jego efektach.

A może jest jeszcze inaczej? Może Haupt ma rację, wskazując, że jedynymi prawdziwymi uczuciami, jakich możemy doświadczyć, są wstręt i znudzenie. Może gra, jaką prowadzi jego bohater, chroni go przed innymi i nim samym. Może ma rację ciotka bohatera, która w pewnej chwili powiada „życie to styl” i jedynym zadaniem jest nieustanne odrzucanie tego, co wulgarnie, wstrętne i nudne.

A może...

Haupt – jak każdy wielki pisarz – wyrasta ponad każdy sąd. Nie pozwala się uchwycić, ująć w klamry, zmierzyć i zważyć. Pytanie postawione na wstępie pozostaje w mocy. Jak opisać Haupta? Może ma rację Andrzej Stasiuk, który we wstępie do wydania przygotowanego przez Wydawnictwo Czarne pisze: „Nie da się opisać tych opowiadań inaczej niż tylko jakimś przewrotnym antyopisem, czyli przemilczeniem”. Może więc trzeba zamilknąć i zrobić jedyną rzecz, którą należy – sięgnąć po *Baskijskiego diabła* i czytać, czytać, czytać...

Rafał Moczkodan

Zygmunt Haupt, *Baskijski diabeł*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2016

Krystyna Lenkowska jest znaną poetką o dużym dorobku (dziesięć książek poetyckich, w tym tomiki dwujęzyczne) i animatorką wydarzeń kulturalnych.

Ta rzeszowska poetka, zapraszana stale na prestiżowe międzynarodowe festiwale i spotkania poetyckie, uprawia dzięki temu – jak to sama określa – „poetycką turystykę”, co znajduje odbicie nie tylko w jej wierszach czy w reportażach z tych podróży.

Babeliada jest ambitnym debiutem prozatorskim Krystyny Lenkowskiej. W tej książce równie ważne jest to, co się opowiada, jak i sposób, czy sposoby, opowiadania. Przemysłna strategia literacka autorki to jej znak rozpoznawczy.

Narracja toczy się w trzeciej osobie liczby pojedynczej, co wskazywałoby na obecność „wszechwiedzącego” oka i pałeczki dyrygenckiej nadrzędnej świadomości. Centralną postacią powieści jest kobieta o symbolicznym imieniu, czy pseudonimie: Babel. *Ta* Babel, jak ją nazywają bliscy, choć nie jest pewne, czy podmiotem jest ta, czy ten, a może nawet to. Wątpliwość taka jednak pojawi się dopiero w finale *Babeliady*, w trakcie którego tożsamość bohaterki ulegnie całkowitej erozji. Imię owo jest wymyślone, nadbudowane nad imieniem i nazwiskiem żyjącej w realu Barbary Kowalskiej, które tylko

raz przeblyskuje przez narrację; prawdziwa – w porządku literatury – jest wyłącznie Babel. Opowieść o Babel – mimo wszystkich meandrów narracyjnych – trzyma się historii o charakterze linearnym, kończy ostatecznym rozrachunkiem myślowym bohaterki, generalnymi porządkami w korespondencji i rozchwianej świadomości tuż przed śmiercią. Gruby szew linearności, podobnie jak zaledwie raz wspomniane imię i nazwisko, zdaje się jednak nie mieć większego znaczenia. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Bo *Babeliada* jest konsekwentną pochwałą wyobraźni, przeżywania życia na wielu poziomach, podróży – fizycznego i mentalnego – w światy wymyślone. Stan bycia gdzie indziej, poza tu i teraz, jest permanentnym stanem bohaterki – pisarki. Babel jest istotą, która nie istniałaby bez pomysłu, a raczej bez całej gamy pomysłów na siebie. Skądinąd jest mężatką, ma męża Maksa, córkę Dianę, brata Tymona, platonicznego, głównie korespondencyjnego kochanka, węgierskiego muzyka „Homera”, który wiecznie podróżuje z koncertami na banjo, pojawia się i znika, a pod koniec tej historii (bo jednak toczy się ona w czasie, rozwija i zmierza do zakończenia) – postarzała Babel jest już prababką! Kres jej życia

odpowiada dokładnie zakończeniu powieści, co podkreśla intencję wytworzenia efektu równoważności treści i formy, rozbudowanej na wielu poziomach narracji. Fundamentalne bowiem dla *Babeliady* jest pytanie: jak się ma samo życie do nadawania temu życiu formy? W ujęciu Lenkowskiej jajko jest równoczesne i równorzędne z kurą. „Oczywiście jest, że w trakcie pisania niepostrzeżenie, atomy [...] z naszego realnego życia prześlizgują się do książki w całej swojej fizycznej krasie i dosłowności. Jakiś grymas, przedmiot, błysk w oku. Nigdy cały, gotowy człowiek. Chyba że pisze się biografię. Ja nie piszę biografii. A na pewno nie tu i nie teraz” – to jeden z autokomentarzy, obecnych w każdym rozdziale powieści (oprócz ostatniego).

Wielowątkowość żywotów Babel – tych w realu i w wyobrażeni – przekłada się na formę *Babeliady* – sposoby zapisywania zdarzeń, myśli, stanów ducha, monologów wewnętrznych, dialogów – a także opowieści wtrąconych, dotyczących ważnych dla bohaterki osób. Właśnie te narracyjne dopływy, w których Babel przestaje być podmiotem opowieści (pozostając podmiotem domyślnym), ustępują miejsca na jakiś czas komuś innemu – budują poszerzoną tożsamość protagonistki, pochłanianej przez

ciekawość inności, poszukującej sensów nieznanych dotąd zdarzeń i opowieści o nich. Przy uważnej lekturze okazuje się, że to bohaterka, równoległe do swojej „babeliady”, tworzy „homeriadę”, czyli wymyśla i opisuje całą historię „Homera” i jego zmitologizowaną postać, jego podróże artystyczne, listy. Możemy domyślać się, że i cała relacja między nimi jest wytworem nieposkromionej wyobraźni Babel i niedosytów, o jakie przyprawia ją codzienność. W pewnym momencie pojawia się „Historia paryska” – wywołana przez podróż Babel do Paryża, miasta młodości ojca bohaterki (a także autorki), romanisty. „Historia paryska” rozgrywa się na wielu stronach *Babeliady* – od czterdziestej ósmej do siedemdziesiątej drugiej i dotyczy prawdziwej postaci wybitnego uczonego – genetyka o światowej sławie, żyjącego wciąż we Francji profesora Franciszka Chrapkiewiczza-Chapeville’a, którego dramatyczna biografia, związana z Podkarpaciem czasów wojny i późniejszych, zafascynowała Babel-Lenkowską (i nie tylko ją). *Historia paryska*, publikowana wcześniej jako odrębne opowiadanie, rozrosła się chyba za bardzo w obrębie powieści.

Główny nurt narracyjny, wraz z jego odnogami, jest cały czas kontrapunktowany zapisywanymi

kursywą rozważaniami odautor-
skimi, komentującymi praktykę
literacką autorki, wnioskami wysnu-
wanymi z najrozmaitszych lektur,
refleksjami podyktowanymi prze-
biegiem zdarzeń. Te oryginalne „di-
daskalia”, ich charakter intymnego
dziennika – podważają dyktat fikcji,
pozwalając na nawiązanie głębszej
więzi z czytelnikiem. Obecność
owej warstwy autotematycznej,
dekonstruującej i zarazem objaśnia-
jącej skomplikowane relacje między
literaturą – sztuką – życiem, stanowi
niezaprzeczalnie wielki, jeśli nie
główny walor *Babeliady*. Bohaterka
jest pisarką, do tego poetką, co nie-
trudno zauważyć, choćby w sposo-
bie oryginalnego budowania przez
nią obrazów i rytmów opowieści.
Babeliada wykorzystuje, i to dość
obficie, motywy autobiograficzne,
także poddane kreatywnym prze-
tworzeniom, co mogą wychwyć
rzecz jasna osoby znające bliżej
autorkę. W tym sensie niuans kryp-
to-autobiograficzny dodatkowo
zagęszcza tę średnich rozmiarów
powieść. *Babeliadę*, przy całym jej
zasygnalizowanym wyrafinowaniu
formalnym, czyta się jednak lekko,
z prawdziwą przyjemnością, dzięki
rozmachowi i bogactwu języka,
a także właściwemu autorce darowi
skrótowi sytuacyjnego i wszechobec-
nemu poczuciu humoru.

Ale o czym tak naprawdę jest
Babeliada? O labiryncie języków
i wątków w obrębie jednego czło-
wieka, jednego istnienia? O rela-
cjach międzyludzkich, sprowadza-
jących się do potrzeby dialogu,
który okazuje się najczęściej grą
pozorów?

O potrzebie ucieczki w zmy-
ślenie (kreację), za którą się płaci
wysoką cenę – utraty złudzeń?
O wiecznym niespełnieniu w sło-
wach – zagadywaniu pustki?

Te i inne pytania nie wyczerpują
rejestrów ambitnej prozy Krystyny
Lenkowskiej. „Jutro poszukam lepiej.
Jutro ono poszuka” – mówi w zakoń-
czeniu powieści Babel-Lenkowska.

Czekam na dalsze ciągi intry-
gujących poszukiwań narracyjnych
pisarki.

Krystyna Rodowska

Krystyna Lenkowska, *Babeliada*, Stowarzysze-
nie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2016

Lekturę *Złej mowy* Michała
Głowińskiego, a wbrew przewijają-
cym się tu i ówdzie sugestiom nie
jest to zbiór sensoryjnych ineditów
(zapiski, prowadzone od połowy lat
sześćdziesiątych do upadku komu-
nizmu w roku 1989, ukazywały się
w kolejnych tomach *Pism zebranych*
profesora, między innymi w zbiorach

Marcowe gadanie z roku 1991 i o dwa lata późniejszej *Peereliadzie*), warto rozpocząć od końca, to jest rozbudowanego blurbu. Na czwartej stronie okładki, zamiast standardowej „polecajki”, przeczytać można między innymi: „Politycy znów wskazują z jednej strony PATRIOTÓW, z drugiej tych, których żywiołem są KNO-WANIA, przywódca rządzącej partii szuka spisków, bo przecież TO NIE PRZYPADEK, ŻE... [...] Wszystkie teksty pochodzą sprzed 1989 roku. A jednak ZŁA MOWA to nieustannie aktualna książka dla każdego, kto nie chce poddać się propagandzie”. Można, rzecz jasna, widzieć w tym prosty zabieg marketingowy. Tego typu nastawienie lekturowe ma jednak dwie konsekwencje. Po pierwsze: wskazuje na uniwersalność mechanizmów peerelowskiej propagandy, a więc ich nieograniczone wprost możliwości adaptacyjne. Po drugie – i tu widziałbym główne nadużycie – świadomie zrównuje przekaz medialny obecnego głównego nurtu (publicznej telewizji, prawniczych tygodników opinii) z językiem „Trybuny Ludu” czy ówczesnego „Życia Warszawy”. Książka, w zamierzeniu wydawcy, wspierać ma bowiem tezę o dokonującym się na naszych oczach autorytarnym przewrocie, który – taki wniosek winien nasunąć się modelowemu odbiorcy – nosi wszelkie znamiona

powrotu do czasów realnego socjalizmu. Rządy Prawa i Sprawiedliwości (mniejsza, że obie strony politycznego sporu posługują się semantycznie nieostrą, ba, wypraną z jakiegokolwiek znaczenia, kategorią „komuny”) jawią się w tej optyce jako swoisty „PRL bis”.

Tego typu podejście, niezależnie od oceny sytuacji w kraju i ideowych sympatii odbiorcy, rodzi jednak niebezpieczeństwo instrumentalizacji. Książka, niejako wbrew intencjom autora, który w otwierającym zbiorze wprowadzeniu uchyla się od odpowiedzi na pytanie o aktualność swoich zapisków, wprowadzona zostaje do roli argumentu w sprawie, staje się elementem bieżącej walki politycznej. Głowiński, upozowany na rzeczniczkę opcji centrowo-liberalnych, siłą autorytetu wybitnego naukowca potwierdza niejako kierunek przemian politycznych i gospodarczych po roku 1989, a tym samym – mandat pewnej części postsolidarnościowych elit do sprawowania wiecznego rządu dusz. Woda na młyn skrajnej prawicy, wskrzeszającej tradycję endeckiego szczucia, która – piórami między innymi Rafała Ziemkiewicza, dawno obsadziła profesora w roli przedstawiciela liberalnego establishmentu.

Dostrzegam jeszcze jedno, poważniejsze niebezpieczeństwo

takiego przyporządkowania – i książki, i autora. Pokusa myślenia *per analogiam*, odżywająca przy okazji każdej erupcji społecznego gniewu czy politycznego trzęsienia ziemi, choć kusząca, utrudnia w gruncie rzeczy socjologiczną diagnozę. Inna sprawa, że skojarzeniom tym nierzadko trudno się oprzeć. Agresywny „marcowy” ton powraca w enuncjacjach prominentnych polityków, podtrzymujących antyuchodźczą histerię, czy antysemickich aluzjach Rafała Ziemkiewicza skierowanych pod adresem działaczy partii Razem. Sztandarowy epitet stalinowskiej propagandy – „lewacki” – odezwany od pierwotnego znaczenia, rozbrzmiewa w ustach rządzących, prawicowych dziennikarzy, a nawet kościelnych hierarchów. W masowym upamiętnianiu tak zwanych żołnierzy wyklętych widzieć można narodowo-katolicką wersję peerelowskiego kultu Armii Ludowej. Na analogie tego typu codziennie wskazują zresztą publicyści centrowych i liberalnych mediów, by przypomnieć tylko wystąpienia Adama Szostakiewicza czy Jana Hartmanna na łamach „Polityki”. Są to jednak, i uważna lektura książki Głowińskiego, to znaczy uwzględniająca zarówno formę przekazów medialnych, jak i ich społeczny kontekst, nie pozostawia co do tego

wątpliwości, podobieństwa czysto zewnętrzne. Zmienił się bowiem nie tylko kanał informacji (wzrastająca rola mediów społecznościowych), lecz także sam odbiorca. Głowiński diagnozował świat, w którym prawda, po arystotelesowsku rozumiana jako zgodność myśli z rzeczywistością, wciąż była wiążącym punktem odniesienia, dzięki czemu nowomowa dawała się przedstawić jako centralnie zorganizowane kłamstwo. Komentatorzy sukcesu wyborczego Donalda Trumpa czy referendalnego zwycięstwa zwolenników Brexitu coraz częściej zwracają uwagę na nieadekwatność tradycyjnych kategorii analitycznych do opisu zjawisk zachodzących na styku polityki, tradycyjnych mediów i nowoczesnych (to jest elektronicznych) środków przekazu, czego efektem – zawrotna kariera neologizmu „postprawda”.

Myślenie analogiami kryje w sobie jeszcze jedną pułapkę: odwracalność. Łatwo wyobrazić sobie bowiem taką lekturę *Złej mowy*, która wyciągając na wierzch pewne aspekty peerelowskiej rzeczywistości, użyje książki jako argumentu w sporze nie tyle z konserwatywnymi „autokratami”, ile z liberalnymi rzecznikami potransformacyjnego porządku. Weźmy taki fragment: „Jest to w istocie wysoce upokarzające, gdy władze wypominają

obywatelowi, że do niego dokładają. [...] W tym użyciu państwo jest czymś oderwanym od pracy ludzi, którzy je tworzą, jest siłą nadrzędną, niepoczuwającą się wobec obywatela do żadnych zobowiązań, wszystko bowiem, co ono czyni, jest aktem łaski". Czy obserwacja ta, sformułowana w pierwszych dniach czerwca roku 1967, nie opisuje równie dobrze istoty „realnego” kapitalizmu? Wystarczy zamienić „państwo” na „pracodawcę”, „obywatela” na „pracownika”, by otrzymać wizję gospodarki wprost z fantazji dorosłych apologetów wolnego rynku, powtarzających (niczym jedenaste przykazanie) Friedmanowski banał o darmowych obiadach.

Najlepiej czytać więc *Złą mowę* jako dokument epoki historycznie zamkniętej. Ekspozować nie aktualność i długie trwanie językowych struktur, lecz ich osadzenie w konkretnym miejscu i czasie. Książka, złożona z luźnych zapisków, przynosi zresztą szereg kapitalnych obserwacji tyleż językoznawczych, co właśnie obyczajowych. Głowiński, wbrew temu, co mogłoby sugerować obiegowe wyobrażenie strukturalisty, nie traktuje nowomowy jako zespołu raz na zawsze określonych chwytów. Śledzi narodziny konkretnych formuł retorycznych, analizuje semantyczne przesunięcia w obrębie języka partyjnych funkcjonariuszy,

rejestruje okresowe odnawianie czy zapoznawanie pewnych treści w publicystyce wiernych władzy żurnalistów. Czytana w ten sposób praca Głowińskiego ujawnia nie tylko historyczny charakter kluczowych kategorii analitycznych (nade wszystko samej nowomowy), lecz także – co nie mniej istotne – oceni i strategii narracyjnych autora. Zakwestionowanie partyjnej mowy-trawy – niebezpieczeństwo to ujawnia się zwłaszcza w zapisach z początku lat osiemdziesiątych, pewne symptomy dostrzec można już po Marcu – prowadzi bowiem nierzadko do automatycznego przyjęcia postaw przeciwnych czy serii ryzykownych uogólnień. Z niebezpieczeństwa tego Głowiński doskonale zdaje sobie zresztą sprawę. Z punktu widzenia przemian dokonujących się w Polsce po roku 1989, a zwłaszcza obserwowanych do dziś społecznych skutków neoliberalnej polityki gospodarczej, uderza jednak krótkowzroczność niektórych diagnoz czy ocen autora. Przykładem: podbudowane inteligenckim poczuciem wyższości epitety, które – w zamyśle piszącego – służyć miały ośmieszeniu prasowych elukubracji Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego i Władysława Machejka, w niewybredny sposób atakujących Leszka Kołakowskiego, rykoszetem uderzały jednak w szerokie warstwy

społeczne (porównaj też późniejsze uwagi o „chłopskiej mentalności” Gomułki). Masom niejako automatycznie przypisane zostają tu nie tylko negatywne uczucia wobec jednostek lepiej wykształconych, zajmujących (przynajmniej symbolicznie) wyższą pozycję w społecznej hierarchii, lecz także intelektualna niesamodzielność, wrogość wobec wszelkiej wolności, w tym – może przede wszystkim – wolności myśli. *Zła mowa*, czytana w kontrze do bieżących sporów ideowych, stanowi przeto dokument podwójny. Z jednej strony demaskuje językowe manipulacje słusznie minionego ustroju, z drugiej, w stopniu chyba nie mniejszym, pozwala śledzić genealogie dzisiejszych konserwatywno-liberalnych mitologii.

Konrad Zych

Michał Głowiński, *Zła mowa. Jak nie dać się propagandzie*, Wydawnictwo Wielka Litera, Warszawa 2016

Bodaj w 1995 roku namówiłem Wisławę Szymborską, aby napisała komentarz do *Dziejów Tristana i Izoldy* Josepha Bédiera. Zechciała obdarzyć tomik z WL-owskiej serii *Lekcja Literatury* związłym posłowiem, w którym możemy między innymi przeczytać: „Jakże daleko

odeszliśmy od wzruszających dziejów Tristana i Izoldy. Trudno nawet powiedzieć, czy kiedykolwiek jeszcze podobna opowieść powstanie. Na razie przeżywamy czasy, kiedy nawet samo słowo »miłość« wymawiane jest rzadko i z wahaniem”.

Teraz, gdy możemy zapoznać się ze wzruszającą, żartobliwą miłosną korespondencją naszej noblistki i jednego z najlepszych nowelistów dwudziestego stulecia, Kornela Filipowicza (1913–1990), widzimy, że nawet w ponurych, siermiężnych, brzydkich czasach PRL-u słowo „miłość” można było wypowiadać na różne piękne sposoby, ilustrować je życiowymi anegdotami, zwykłymi i zabawnymi wypadkami; pisać o rozłące i tęsknocie, konstruować fikcyjne postacie osób, które mogłyby tę miłosną relację w jakiejś mierze zakłócić.

Listy pisywali do siebie od 1966 roku przez prawie dwadzieścia lat (ostatni list datowany jest na październik 1985 roku), a były to „zwyczajne” listy, a także wyklejanki, kolaże, własne rysunki, telegramy. Poetka zafascynowana była pisarzem od dawna, ale dopiero w połowie lat sześćdziesiątych nastąpiło pogłębienie tej znajomości, bliskość. Mieszkali w Krakowie niedaleko od siebie, ale nigdy razem, spotykali się w swoich mieszkaniach albo na wyjazdach (głównie pana Kornela na ryby, pod

namiot), albo w mieście, albo w Zakopanem (Szyborska przebywała tam we wczesnej fazie tej relacji prawie pół roku w sanatorium). Chodzili często do kina albo oglądali seriale telewizyjne, wspólnie rozwiązywali trudne niekiedy sprawy aprowizacyjne. Otaczali się niewielkim kręgiem znajomych. Wspólnie z Adamem Włodkiem (byłym mężem poetki), poetą i tłumaczem, legendarnym opiekunem Koła Młodych Pisarzy przy dawnym Związku Literatów Polskich, prozaiczką Barbarą Czałczyńską i młodzieńką Ewą Lipską założyli nieformalną grupę „Biprostal” (nazwa pochodzi od jednego z wyższych budynków przy dawnej ulicy 18 Stycznia w Krakowie).

Ten zestaw listów to niezwykła „kreacja artystyczna” obojga korespondentów, bo obok prostych informacji o sprawach bieżących znajdziemy tu wymyślne epistoły wymyślonej hrabiny (to Szyborska) i pana Tulczyńskiego (to Filipowicz), a jeszcze łże-anonimy osób zazdrośnych, złośliwych, „życzliwych”, i do tego drugoplanowe zagadkowe postacie. Autor posłowia i jeden z redaktorów książki, Tomasz Fiałkowski, dobrze to objaśnia: „Żartobliwość łączy się tu w niezrównany sposób z dyskrecją, humorem, autoironią. Gra masek i ról, korowód fikcyjnych postaci, od hrabiny Heloizy Lanckorońskiej i Eustachego

Pobóg-Tulczyńskiego po zakochanie w panu Kornelu Gienię i służącą Rózię oraz odwiedzającego panią Wisławę kaprala Józia, żartobliwe sceny zazdrości – na tym bardzo literackim tle jeszcze wyraziściej dostrzegamy to, co najważniejsze, choć nigdy do końca nienazwane”.

A w tle dostrzec czytelnik może dramatyczne wydarzenia polityczne – Marzec '68, inwazję wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, zjazdy literatów i wyczyny przodującej partii, ale i zwykłe bolączki życia na „kartki”, chorób własnych i kłopotów przyjaciół. Wszystko to jednak nie potrafi zbanalizować niezwykłości tego uczucia, intymności wyjazdów i oczekiwań, wspólnych zainteresowań (zbieranie dawnych pocztówek), serdecznych relacji w świecie kilkorga przyjaciół, którzy postanowili żyć i działać na przekór brzydkiej rzeczywistości. I w towarzystwie kota pana Kornela.

Dla próbki tego wyborczego stylu warto zacytować fragment listu hrabiny, pisanego z Abacyi:

„Z nudów wielkich pływać się uczyć pod okiem zwykłego rybaka, który mimo niskiego urodzenia budową swoją Fidyasza zachwycić by mógł. Któż wie, czy w tych – tak zdawałoby się pospolitych – żyłach nie płynie krew szlachetna dawnych Greków czy Rzymian?

Ot – jakie myśli z nudów do głowy mi przychodzą!...

Kończąc – bo na lekcję iść za chwilę muszę – usilnie o parę słów Pana proszę – czyś Pan zdrow, biblioteka czy już do ładu jakiego takiego przysłała i kiedy myślisz Pan zarybić ten staw w Lanckoronie? Jeśli nie jeszcze, to dobrze, bo wolę basen do pływania!”.

Książka ponadto zabawnie ilustrowana, ukazująca talenty plastyczne obojga bohaterów. Z przyjemnością człowiek zanurza się w tej korespondencji, strumieniu pięknego, niezależnego życia, uczucia. Z żalem się opuszcza ten świat dwojga artystów, wiedząc, że to już prawdopodobnie wszystko. A dalszy ciąg został, niestety, dopisany.

Krzysztof Lisowski

Wisława Szymborska, Kornel Filipowicz,
Najlepiej w życiu ma twój kot. Listy, Społeczny
Instytut Wydawniczy „Znak”, Kraków 2016

Dominikanin Jan Tauler, nazywany *doctor illuminatus*, to obok Mistra Eckharta i Henryka Suzona najwybitniejszy przedstawiciel mistyki nadreńskiej, czytany pilnie tak przez katolików, jak i Marcina Lutra i protestantów. Swoje kazania, niekiedy improwizowane, głosił głównie dominikankom w Strasburgu i Kolonii,

które je spisały najlepiej jak potrafiły, ocalając przed zagładą; za autentyczne zostały uznane osiemdziesiąt trzy kazania, a także jeden list i instrukcja, a całość wydano po raz pierwszy dopiero w 1498 roku.

Był autentyczny, żył i postępował tak, jak nauczał. Między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia przeżył tak zwane drugie nawrócenie, co zaowocowało zwrotem ku własnemu wnętrzu i znalezieniem nowej tożsamości. Głosił, że jedność z Bogiem – *unio mystica* – osiągnąć można we wnętrzu siebie, dzięki łasce jedności z Bogiem w Słowie, w głębi duszy. To właściwie jedyny temat, który go najbardziej interesował. Rozum i serce są ważne, ale najważniejsza jest wola, która odpowiednio pobudzona kieruje i prowadzi do nawrócenia.

Stosował podstawowy neoplatonicki schemat *emanatio – trematio*, czyli wyjście i powrót, którym opisywał duchową wędrówkę człowieka, na którą składają się trzy drogi: oczyszczająca (*via purgativa*), oświecająca (*via illuminativa*) i jednocząca (*via unitiva*). Teologia oparta na tej metodzie zwana jest apofatyczną lub negatywną: zakłada niezgłębioną tajemnicę Boga i niewielkie poznawcze możliwości człowieka; w skrajnej wersji głosi, że mówiąc o Bogu, nie mylimy się tylko

wówczas, gdy mówimy, czym i jaki nie jest i śmiało można powiedzieć też, że jest Otchłanią (*Abgrund*), Ciemnością (*Finsterniss*), Pustynią (*Wüste*) i Nicością (*Nichts*).

Według Taulera człowiek składa się jakby z trzech ludzi tworzących jedność, określaną terminami: *Grund* i *Gemüt*. Najgłębszą warstwą duszy, jej rdzeniem i szczytem jest *Seelengrund* – „twierdza wewnętrzna”, w której znajduje się obraz Trójcy Świętej i dokonuje się zjednoczenie mistyczne.

Do *unio mystica* dochodzi się przez kolejne nawrócenia, całe ich serie. Głębia (Otchłań) Boża może być przyjęta tylko w głębi (otchłani) człowieka, który musi się oczyścić, ogołocić (*Gelassenheit*) z wszystkiego, co w nim jest. W ten sposób

spotykają się dwie nicości – stworzona i niestworzona. Wymaga to odpowiedniej stałej dyspozycji woli i ciągłych, następujących po sobie nawróceń, co jest nieustającym zmaganiem się i walką. Koniec tej drogi – *Ein gelassener Mann*, to człowiek, który całkowicie wyzuł się z samego siebie i ze świata i całą nadzieję ma w Bogu. Tak więc asceza jest warunkiem mistycznego zjednoczenia: żeby być wolnym (*frei*), trzeba być pustym (*leer*). Jednak i tak decydujące jest światło Ducha Świętego, któremu, jak mówi, bezwzględnie trzeba być uległym.

Krzysztof Myszkowski

Jan Tauler, *Kazania*, przełożył i opracował Wiesław Szymona OP, tom I i II, Wydawnictwo „W drodze”, Poznań 2016

N O T Y O A U T O R A C H

Katarzyna Bolec, ur. 1981 w Rzeszowie; publikowała w „Toposie”, „Nowej Okolicy Poetów”, „Gazecie Wyborczej”, „Teatraliach”. Mieszka w Rzeszowie.

Stefan Chwin, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Srebrzysko. Powieść dla dorosłych* (2016) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67) i 2016 nr 4 (92)]. Mieszka w Gdańsku.

Michał Czorycki, ur. 1978 we Wrocławiu, historyk sztuki, italianista; wiersze i szkice publikował w „Kwartalniku Artystycznym”, „Italian Studies”, „The Italianist” oraz „Italica”. Mieszka w Londynie.

Emily Dickinson (1830–1886), poetka amerykańska; po raz pierwszy jej utwory wydano w 1890, a ich pełna edycja ukazała się w 1955. Na język polski wiersze Dickinson przekładali m.in. Kazimiera Hłakowiczówna, Ludmiła Marjańska, Stanisław Barańczak i Andrzej Szuba [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1999 nr 1 (21), 2012 nr 3 (75), 2015 nr 4 (88)].

Aleksandra Francuz, ur. 1981 w Drawsku Pomorskim, autorka wierszy, eseistka i krytyk literacki. Mieszka w Poznaniu.

Michał Głowiński, ur. 1934 w Warszawie, prozaik, eseista, historyk i teoretyk literatury polskiej, krytyk literacki, profesor IBL PAN; jako prozaik debiutował w Bibliotece „Kwartalnika Artystycznego” *Czarnymi sezonami* (1998), opublikował m.in. *Kręgi obcości* (2010) [patrz „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 2 (66)], ostatnio: *Carska filiżanka* (2016). Mieszka w Warszawie.

Renata Gorczyńska, ur. 1943 w Warszawie, eseistka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała *Rue de Seine. Biografia paryskiej ulicy* (2014) oraz *Szkice portugalskie* (2014). Mieszka w Gdyni.

Jacek Gutorow, ur. 1970 w Grodkowie, autor wierszy, tłumacz, eseista i krytyk literacki, wykładowca na Uniwersytecie Opolskim; ostatnio opublikował tom wierszy *Rok bez chmur* (2017). Mieszka w Opolu.

Julia Hartwig, ur. 1921 w Lublinie, poetka, eseistka, tłumaczka; autorka m.in. kilku tomów wierszy [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2011 nr 3 (71)]; ukazały się m.in.: *Wiersze wybrane* (2014), *Błyski wybrane* (2014) i *Dziennik, tom 2* (2014), tom wierszy *Spojrzenie* (2016). Mieszka w Warszawie.

Zbigniew Herbert (1924–1998), poeta, dramaturg, eseista [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 1 (17), 1999 nr 2 (22) i dodatek do nr. 2/2008 (58)]; ostatnio ukazały się m.in.: *Barbarzyńca w podróży* (2014) i *Pan Cogito szuka rady. Mr Cogito Seeks Advice* (2017).

Jurek Hirschberg, ur. 1948 w Katowicach, od 1969 mieszka w Szwecji, gdzie ukończył studia inżynierskie; jest tłumaczem przysięgłym. Ostatnio opublikował poezję traktatową Czesława Miłosza w swoim przekładzie na szwedzki. Mieszka w Sztokholmie.

Marek Kędzierski, ur. 1953 w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Samuela Becketta i Thomasa Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Thomasa Bernharda *Korekta* (2013). Mieszka m.in. w Paryżu.

Bogusław Kierc, ur. 1943 w Bielsku-Białej, poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser; ostatnio opublikował tomik wierszy *Karawadże* (2016). Mieszka we Wrocławiu.

Ryszard Krynicki, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria), poeta i wydawca; autor tomów poetyckich, tłumacz poezji niemieckojęzycznej, m.in. Paula Celana, Georga Trakla, Nelly Sachs; edytor tomów wierszy m.in. Zbigniewa Herberta i Wisławy Szymborskiej; ostatnio opublikował *Wiersze wybrane* (2014) i tomik pt. *Haiku. Haiku mistrzów* (2014). Mieszka w Krakowie.

Krystyna Lenkowska, ur. 1957 w Rzeszowie, autorka wierszy, tłumaczka poezji anglosaskiej; ostatnio opublikowała prozę pt. *Babeliada* (2016). Mieszka w Rzeszowie.

José Ángel Leyva, patrz Nota na str. 57.

Antoni Libera, ur. 1949 w Warszawie, pisarz, tłumacz, reżyser; ostatnio opublikował nowy przekład *Trylogii Tebańskiej Sofoklesa* (2014) i *Jesteście na Ziemi, na to rady nie ma! Dialogi o teatrze Samuela Becketta* (wraz z Januszem Pydą OP) (2015). Mieszka w Warszawie.

Krzysztof Lisowski, ur. 1954 w Krakowie, poeta, prozaik, krytyk literacki, redaktor Wydawnictwa Literackiego; ostatnio ogłosił *Zamróz* (2016). Mieszka w Krakowie.

Jerzy Madejski, ur. 1960 w Chlebówku, historyk i teoretyk literatury, krytyk literacki, profesor Uniwersytetu Szczecińskiego; opublikował m.in. *Deformacje biografii* (2004). Mieszka w Szczecinie.

Rafał Moczko, ur. 1975 w Toruniu, historyk literatury, krytyk literacki, wykładowca Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował *Omawiacze, laurkodawcy, publicyści i krytycy. Krytyka literacka na łamach „Wiadomości” w latach 1946–1956* (2013). Mieszka w Toruniu.

Krzysztof Myszkowski, ur. 1952 w Toruniu, prozaik, eseista; autor m.in. powieści *Funebre* (1998); od 1995 redaktor „Kwartalnika Artystycznego”. Mieszka w Toruniu i w Bydgoszczy.

Anna Nasiłowska, ur. 1958 w Warszawie, autorka wierszy, prozaik, eseistka i krytyk literacki, profesor IBL PAN; ostatnio opublikowała tomik *Dyskont słów* (2016). Mieszka w Warszawie.

Piotr Piaszczyński, ur. 1955 w Olsztynie, autor wierszy, publicysta, krytyk literacki; ostatnio opublikował *Moleskino* (2009). Mieszka w Kolonii.

Krzysztof Rodowski, ur. 1937 we Lwowie, poetka, tłumaczka, krytyk literacki; opublikowała *Wiersze przesłane 1968–2011* (2012). Mieszka w Warszawie.

Agnieszka Salska, ur. 1940 w Łodzi, profesor Uniwersytetu Łódzkiego; redaktor i współautor *Historii literatury amerykańskiej XX wieku* (2003). Mieszka w Łodzi.

Joachim Sartorius, patrz Nota na str. 53.

Piotr Sommer, ur. 1948 w Wałbrzychu, opublikował ostatnio wybór wierszy *Po ciemku też* (2013), książkę z fotografiami i pustymi kartkami *Notes otwocki* (2014) oraz poemacik dla dzieci *Fruwajka* (2015). Wznowione po dwudziestu latach szkice *Smak detalu* ukazały się w 2015, a *Ucieczka w bok (pytania i odpowiedzi)*, rozszerzony zbiór wywiadów z różnymi rozmówcami – w 2016.

Ewa Sonnenberg, ur. 1967 w Żąbkowicach Śląskich, autorka kilku tomików wierszy; ostatnio ukazały się eseje *Moi papierowi kochankowie* (2016). Mieszka we Wrocławiu.

Leszek Szaruga, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckiej i rosyjskiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. *Wyjście z utopii* (2016) i *Trochę inne historie* (2016). Mieszka w Warszawie.

Piotr Szewc, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki, redaktor „Nowych Książek”; ostatnio opublikował tom wierszy *Cienka szyba* (2014). Mieszka w Warszawie.

Artur Szlosarek, ur. 1968 w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio ogłosił *Olówek rzeźnika* (2012). Mieszka w Berlinie.

Andrzej Szuba, ur. 1949 w Gliwicach, poeta, tłumacz poezji anglojęzycznej; ostatnio opublikował zbiór wierszy *44 strzępy* (2015). Mieszka w Katowicach.

Adriana Szymańska, ur. 1943 w Toruniu, poetka, eseistka, krytyk literacki, tłumaczka; ostatnio opublikowała tomik wierszy *Złoty dzięcioł* (2015). Mieszka w Warszawie.

R.S. Thomas, (1913–2000), poeta walijski tworzący w języku angielskim (liryka refleksyjna, inspirowana krajobrazem i folklorem Walii; poezja religijna), m.in. zbiory *Welsh Aires* (1987), *Mass for Hard Times* (1992). W Polsce wydano wybór jego wierszy w tłumaczeniu Andrzeja Szuby.

Konrad Zych, ur. 1985 w Wołominie, krytyk literacki, redaktor portalu literatki.com. Mieszka w Strykach.



FESTIWAL CAMERIMAGE 2016 ZAPRASZA

EVOLUTION

DAVID CRONENBERG

14.11.2016 – 26.03.2017

CENTRUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W TORUNIU

www.cronenberg.pl



Wystawa zorganizowana we współpracy z Toronto International Film Festival
Kulasy: Paris Henning, Fresh Center

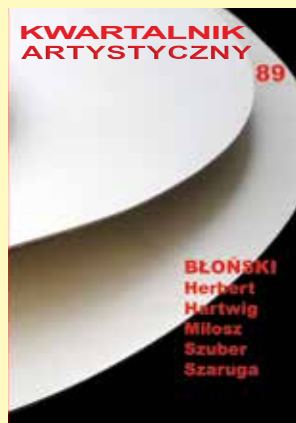
„KWARTALNIK ARTYSTYCZNY” W 2016 ROKU

1/2016 (89)

Zbigniew Herbert – *Toni albo formalista*
w opracowaniu Ryszarda Krynickiego
Julia Hartwig – *Cisza spokój*

Czesław Miłosz – *Na urodziny Błońskiego*
JAN BŁOŃSKI – Listy do Czesława Miłosza,
Krystyny i Stefana Chwinów, Aleksandra Fiuta, Je-
rzego Jarzębskiego

Głosy i głosy na 85 urodziny Jana Błońskiego
– Ewa Błońska, Stefan Chwin, Aleksander Fiut,
Krzysztof Myszkowski, Artur Szlosarek, Łukasz
Tischner



Nowe wiersze Janusza Szubera, Krzysztofa Siwczyka, Zofii Beszczyńskiej,
Joanny Jurewicz i Augusta Stramma w przekładzie Leszka Szarugi

LESZEK SZARUGA – *Trwanie*

Głosy i głosy na 70 urodziny Leszka Szarugi – Jacek Gutorow, Piotr Mitzner,
Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Iwona Smolka
Leszek Szaruga w rozmowie z Piotrem Matywieckim

Wspomnienia: Renaty Gorczyńskiej o Helenie Liberowej i Marka Kędzier-
skiego o Ricku Clucheyu

Varia: Stefan Chwin, Michał Głowiński, Krzysztof Myszkowski, Leszek Sza-
ruga, Piotr Szewc, Artur Szlosarek

Recenzje: Leszek Szaruga o *Gorzkiej godzinie* Jana Polkowskiego, Krzysztof
Myszkowski o *Wybranych fragmentach korespondencji z przyjaciółmi* Mikołaja Go-
gola, Krzysztof Lisowski o *Wszystkich lekturach nadobowiązkowych* Wisławy Szym-
borskiej, Artur Szlosarek o *Lecu. Autobiografii słowa* Lidii Kości

Noty o książkach; Noty o autorach; Nowe książki

2/2016 (90)

Wiersze **CZESŁAWA MIŁOSZA** w 105 rocznicę jego urodzin, esej o nim i Julianie Przybosiu autorstwa Aleksandra Fiuta oraz wspomnienie Renaty Gorczyńskiej na kanwie poematu *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*

Zbigniew Herbert – *Saturnin* w opracowaniu Ryszarda Krynickiego

Julia Hartwig – *Niczego nie można zachować*;
Ryszard Krynicki, Krzysztof Lisowski i Michał

Rusinek – wyklejanki od Wisławy Szymborskiej

Nowe wiersze: Jerzego Kronholda, Piotra Szewca, Tadeusza Dąbrowskiego, Piotra Matywieckiego, ks. Janusza A. Kobierskiego, Wojciecha Brzosi, Piotra Sobolczyka i Dannie Absego w przekładzie Andrzeja Szuby

STANISŁAW JERZY LEC – *Myśli nieuczczane* odszukane przez Lidię Koşkę; *Głosy i glosy w 50 rocznicę śmierci Stanisława Jerzego Leca* – Michał Głowiński, Renata Gorczyńska, Marek Kędzierski, Lidia Koška, Ewa Lipska, Ryszard Lów, Piotr Matywiecki, Leonard Neuger, Leszek Szaruga, Jan Woleński

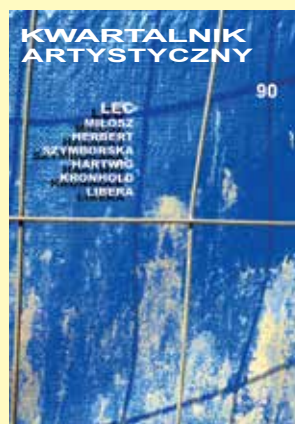
Proza: Antoni Libera – *Kosmos w Dolinie Pysznej (2)*

Eseje: Jacka Gutorowa o Henryku Elzenbergu i Roberta Papięskiego o Leonidzie Cypkinie

Varia: Stefan Chwin, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Artur Szłosarek

Recenzje: Piotr Łuszczkiewicz o *Carskiej filiżance* Michała Głowińskiego, Leszek Szaruga o antologii *O nich tutaj* Piotra Sommera, Artur Szłosarek o *Nic zwyczajnego. O Wisławie Szymborskiej* Michała Rusinka

Noty o książkach; Noty o autorach; Nowe książki



3/2016 (91)

Zbigniew Herbert – *Mandelsztam* w opracowaniu Ryszarda Krynickiego

JULIA HARTWIG – *Podrózny*

Głosy i glosy o Spojrzeniu Julii Hartwig – Renata Gorczyńska, Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Piotr Matywiecki, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Krystyna Rodowska, Leszek Szaruga

JULIAN KORNHAUSER – zdjęcia z *Albumu rodzinnego*, wiersze, opowiadanie pt. *Jak gdyby nigdy nic; Zapiski z podróży*

Głosy i glosy na 70 urodziny Juliana Kornhausera – Stefan Chwin, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Adrian Gleń, Jacek Gutorow, Bogusław Kierc, Jakub Kornhauser, Krzysztof Lisowski, Paweł Mackiewicz, Jerzy Madejski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Krzysztof Siwczyk, Leszek Szaruga, Adam Zagajewski, Andrzej Zawada, zdjęcia Ryszarda Krynickiego

Julian Kornhauser i o Julianie Kornhauserze w „Kwartalniku Artystycznym”

Nowe wiersze: Janusza Szubera, Krystyny Rodowskiej, Krzysztofa Lisowskiego, Kazimierza Brakonieckiego, Krzysztofa Boczkowskiego, Mirosława Dzień i Seamus Heaney w przekładzie Krzysztofa Boczkowskiego oraz aforyzmy Andrzeja Szuby i Andrzeja Coryella

Proza: Antoni Libera – *Kosmos w Dolinie Pysznej* (3); Marek Kędziński – *Warszawa – Chiny* (3); Andrzej Franaszek – opowiadania

Eseje: Anny Demadre-Synoradzkiej o Jerzym Andrzejewskim, Jacka Łukasiewicza o wierszach Krzysztofa Boczkowskiego oraz podziękowanie Kazimierza Brakonieckiego – laureata Nagrody imienia Samuela Bogumiła Lindego

Varia: Stefan Chwin, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Artur Szlosarek

Recenzje: Jacek Gutorow o *Ostatniej gospodzie* Imre Kertesza, Konrad Zych o *Korespondencji* Pawła Hertza oraz Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów, Mirosław Dzień o książce Iwony Misiak o poezji Ryszarda Krynickiego

Noty o książkach; Noty o autorach; Nowe książki



4/2016 (92)

Franz Kafka – *Dziennik 1920* w przekładzie Artura Szlosarka

SAMUEL BECKETT – *Nienazywalne* (fragment) w przekładzie Marka Kędzierskiego; *Z Tekstów na nic (13)* w przekładzie Antoniego Libery; *Pułapka Becketta (5)* – Marek Kędzierski w rozmowie z Krzysztofem Myszkowskim

Zbigniew Herbert – *Prowincjonalna niedziela* w opracowaniu Ryszarda Krynickiego

Nowe wiersze: Krystyny Rodowskiej, Leszka Aleksandra Moczulskiego, Adama Wagi, Stanisława Dłuskiego, Bogny Gniazdowskiej, Alicji Rosińskiej oraz Michaela Krügera w przekładzie Ryszarda Krynickiego

Początkowy fragment nowej opowieści Piotra Sommera – *Z budynku dworca*

Wykład Jana Kotta – „*Dramaturg?! Co to za zwierzę?*” i szkic wspomnienia o nim Renaty Gorczyńskiej – *Zmysłowy umysł*

Rozmowa z Ewą Bathelier i kolorowa wkładka z reprodukcjami jej obrazów

Varia: Julia Hartwig, Stefan Chwin, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Artur Szlosarek

Recenzje: Andrzej Hejmej o *Stanisław Barańczak słucha arcydzieł*, Tomasz Mizerkiewicz o tomiku Janusza Szubera pt. *Rynek 14/1*, Renata Gorczyńska o *Srebrzysku* Stefana Chwina, Paweł Mackiewicz o *Ucieczce w bok (pytania i odpowiedzi)* Piotra Sommera

Noty o książkach; Noty o autorach; Nowe książki





PRENUMERATA

„KWARTALNIK ARTYSTYCZNY”

zawsze

w kraju i za granicą

Wydawca:

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy
przy finansowej pomocy Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**



KUJAWSKO-POMORSKIE
CENTRUM KULTURY
W BYDGOSZCZY

Adres redakcji:

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel. 52 585 15 01, wew. 115
e-mail: kwartalnik@kpck.pl
www.kwartalnik.art.pl

Prenumerata: Barbara Laskowska, tel. 52 585 15 01, wew. 101
Korekta: Hanna Borawska, Barbara Dąbrowa

Projekt okładki i stron reklamowych: Ewa Bathelier

Warunki prenumeraty:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego“:

- krajowej – 40 zł
 - zagranicznej – 40 USD / 35 EUR
- Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):
- krajowa – 12 zł
 - zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 43057874
„Kwartalnik Artystyczny”

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje

Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu,

Urzędowi Miasta Bydgoszczy i Urzędowi Miasta Torunia za pomoc finansową w wydaniu numeru 1/2017



Województwo
Kujawsko-Pomorskie



Miasto
Bydgoszcz



Miasto
Toruń

Realizacja poligraficzna:

Dom Wydawniczy „Margarfsen”
ul. Białogardzka 13, 85-808 Bydgoszcz
tel./fax 52 370 38 00, www.margarfsen.pl

N O W E

Biuro Literackie
Philip Larkin, *Zimowe królestwo*, przełożył
Jacek Dehnel, Stronie Śląskie 2017

Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Ty-
moteusza Karpowicza

Grzegorz Hetman, *Putzłaga i inne wiersze*,
Wrocław 2016

Piotr Janicki, *13 sztuk*, Wrocław 2016

Ewa Jarocka, *Nie ma dobrych ludzi*, Wro-
cław 2016

David Jones, Geoffrey Hill, Charles Tom-
linson, *Wygności z rajy*, wybór, przekład i opra-
cowanie Jacek Gutorow, Wrocław 2016

Silvester Lavrik, *Zu*, przełożył Jacek Bierut,
Wrocław 2016

Ewa Olejarz, *Wszystko jest inaczej*, Wro-
cław 2016

Aleksander Wenglasz, *Zdjęcie inaczej za-
bić*, Wrocław 2016

Fundacja Terytoria Książki

Józef Czapski, Ludwig Hering, *Listy 1939–
1982*, tom I: *4 września 1939 – 16 stycznia 1959*,
posłowie Adam Zagajewski, Biblioteka Mne-
mosyne pod redakcją Piotra Kłoczowskiego,
Gdańsk 2015

Instytut Mikołowski

Antoni Pawlak, *Walizka światła*, Biblioteka
Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 134, Mi-
kołów 2016

Tomasz Pietrzak, *Pospół*, Biblioteka Arka-
dii – Pisma katastroficznego, tom 135, Mikołów
2016

Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszew-
skiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, Instytut
Sztuki Polskiej Akademii Nauk

*PRL. Przedstawienia. Teatr publiczny 1765–
2015*, redakcja naukowa Joanna Krakowska,
Warszawa 2016

Stowarzyszenie Kulturalno-Artystyczne
„Rita Baum”

Ewa Sonnenberg, *Moi papierowi kochan-
kowie*, Wrocław 2016

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział
Kraków

Zofia Zarębianka, *Wiersze dośmiertne*, Kra-
ków 2017

K S I A Ź K I

Towarzystwo Przyjaciół Sopotu

Maciej Bieszczad, *Pogrzeby wróbbli*, Biblio-
teka Poezji/Biblioteka „Toposu”, tom 134, So-
pot 2017

Mieczysław Machnicki, *żeby rzecz zwaną
rzeką uznać za skończoną*, Biblioteka Poezji/Bi-
blioteka „Toposu”, tom 135, Sopot 2017

Teresa Tomsia, *Kobieta w kaplicy*, Bibliote-
ka Poezji/Biblioteka „Toposu”, tom 132, Sopot
2016

Stefan Wadzyński, *Ślady, kroki*, Biblioteka
Poezji/Biblioteka „Toposu”, tom 133, Sopot 2016

Wydawnictwo a5

Zbigniew Herbert, *Pan Cogito szuka rady/
Mr Cogito Seeks Advice*, wybór, redakcja, post-
owie Alissa Valles, tłumaczyli: Czesław Miłosz,
Peter Dale Scott, Alissa Valles, Kraków 2017

Wydawnictwo Agora

Jacek Bocheński, *Blog*, Warszawa 2016

Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury
im. Henryka Berezę

Jan Drzeżdżon, *Pergamonia*, Szczecin –
Bezrzecze 2016

Grzegorz Strumyk, *Kra*, Szczecin – Bezrze-
cze 2016

Wydawnictwo MG

Daniel Defoe, *Przypadki Robinsona Cru-
soe*, tłumaczenie Władysław Ludwik Anczyk,
Warszawa 2017

Fiodor Dostojewski, *Młokos*, przełożył
A. Grodt, Warszawa 2017

Aleksander Dumas, *Hrabia Monte Chri-
sto*, część 1, tłumaczenie Klemens Łukasiewicz,
Warszawa 2017

Aleksander Dumas, *Trzej muszkieterowie*,
tłumacz nieznan, Warszawa 2017

Jonathan Swift, *Podróże Guliwera*, prze-
kład Anonima z 1784 roku, Warszawa 2017

Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mi-
kołaja Kopernika

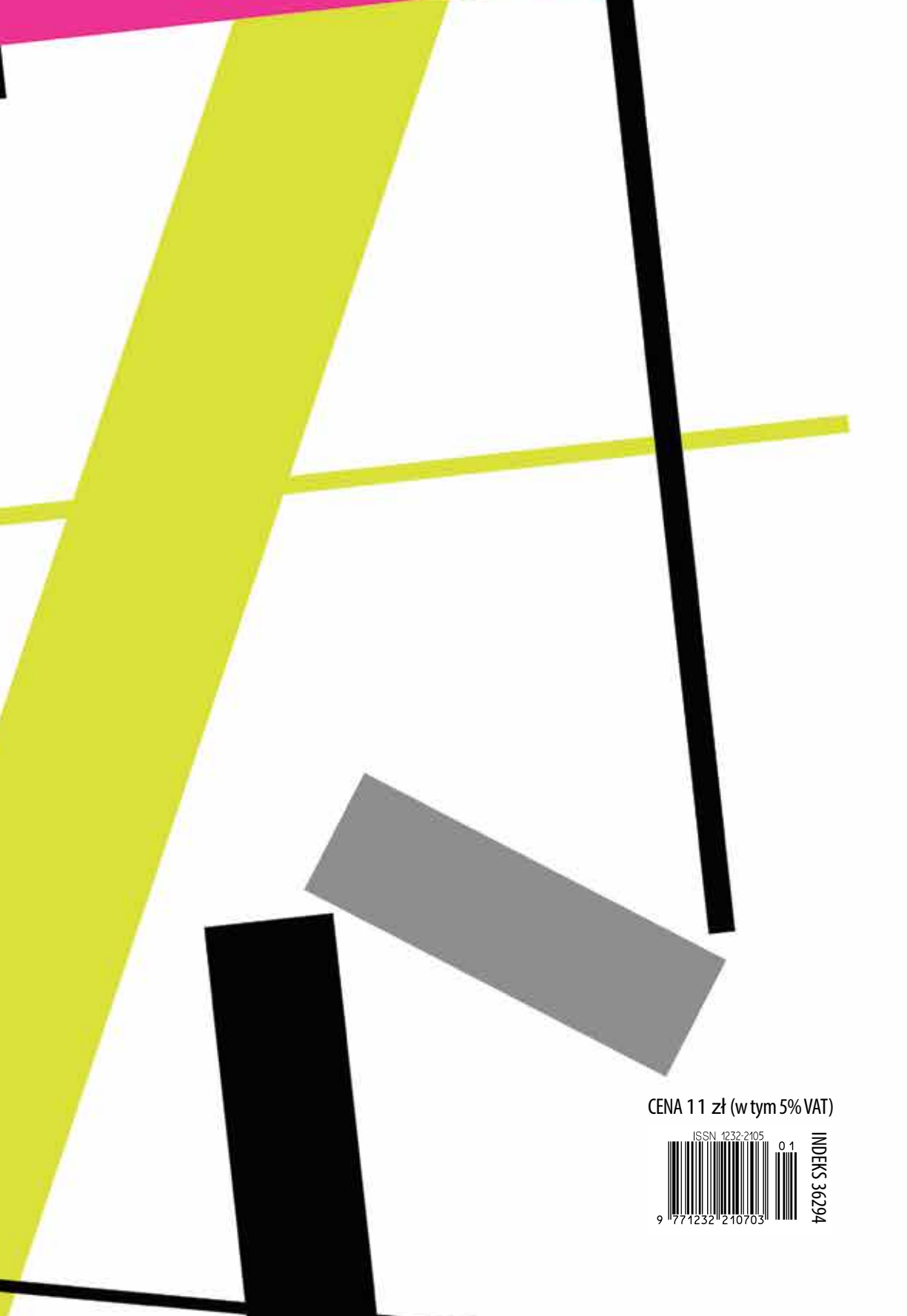
Zygmunt Krasieński, *Varia tekstowe i tek-
stologiczne*, pod redakcją Mirosława Strzyżew-
skiego, Toruń 2016

Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria

Anna Borowiec, *Album Orbis Cypriana Nor-
wida jako księga sztukmistrza*, Gdańsk 2016

An abstract geometric composition featuring several elements: a thick black vertical line on the left; a horizontal yellow line intersecting it; a horizontal black line in the upper right; a grey trapezoidal shape in the lower left; a yellow triangular shape in the lower right; and a grey triangular shape on the far right. The background is white.

www.kwartalnik.art.pl



CENA 11 zł (w tym 5% VAT)



INDEKS 36294

9 771232 210703